

„Literacki fenomen”
„THE NEW YORKER”

„Niesamowita”
„THE NEW YORK TIMES
BOOK REVIEW”

Jedna z najważniejszych
książek roku 2018
według „TIME”, „NEW
YORK TIMES”, „ELLE”,
„KIRKUS REVIEWS”,
„O, THE OPRAH
MAGAZINE”

ASYMETRIA

LISA HALLIDAY



LISA
HALLIDAY
ASYMETRIA

PRZEŁOŻYŁ

Maciej Świerkocki

WYDAWNICTWO
LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

I. GŁUPOTA

II. SZALEŃSTWO

III. ROZMOWA Z EZRĄ BLAZEREM

Źródła cytatów i zapożyczeń nieuwzględnionych w przypisach

Przypisy

Tytuł oryginału: ASYMMETRY

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK

Redakcja: KAMIL BOGUSIEWICZ

Korekta: EWELINA KOROSTYŃSKA

Projekt okładki: DAVID LITMAN

Opracowanie okładki na podstawie oryginału: MAREK PAWŁOWSKI

Zdjęcia na okładce: SUZI SADLER (samolot), LEE SNIDER / Alamy Stock Photo (budynek)

Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ

Copyright © 2018 by Lisa Halliday.

By arrangement with the author. All rights reserved.

© Copyright for the Polish translation by Maciej Świerkocki

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2019

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-06772-7

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla Theo

I **GŁUPOTA**

Wszyscy prowadzimy ślapstikowe życie
w cieniu niewytłumaczalnego wyroku
śmierci...

MARTIN GARDNER, *THE ANNOTATED ALICE*

ALICE CZUŁA SIĘ JUŻ BARDZO ZMĘCZONA, bo ciągle siedziała sama i nie miała co robić; co pewien czas próbowała czytać leżącą na jej kolanach książkę, która składała się jednak niemal wyłącznie z długich akapitów i w której brakowało wyodrębnionych myślnikami dialogów, a po co komu, zastanawiała się, książka bez dialogów?

Myślała (trochę niemądrze, bo nie za bardzo potrafiła doprowadzać swoje projekty do końca), że pewnego dnia może nawet sama coś napisze, gdy obok niej usiadł mężczyzna o cynowych lokach, z lodem w waflu, kupionym w samochodzie Mister Softee na rogu ulicy.

– Co czytasz?

Pokazała mu książkę.

– To ta, w której jest mowa o arbuzach?

Nie było tam dotąd niczego o arbuzach, ale skinęła głową.

– Co jeszcze lubisz czytać?

– Och, głównie starocie.

Przez chwilę nic nie mówili, mężczyzna jadł loda, a Alice udawała, że oddaje się lekturze. Mijając ich, dwaj biegacze kolejno rzucili im przelotne spojrzenia. Wiedziała, kim jest ten człowiek – poznała go w momencie, kiedy usiadł, i jej policzki zaczerwieniły się jak arbuz – ale ze zdumienia mogła tylko wpatrywać się pilnie niczym mały krasnal ogrodowy w tę nieprzebytą książkę, którą trzymała otwartą na kolanach. Jej stronicie były jak z betonu.

– No dobrze – odezwał się mężczyzna, wstając. – Jak masz na imię?

– Alice.

– I lubisz starocie. Do zobaczenia.

W NASTĘPNĄ NIEDZIELĘ siedziała w tym samym miejscu i próbowała czytać inną książkę, o gniewnym wulkanie i nadętym królu.

– Ej, ty – powiedział.

– Alice.

– Alice. Po co to czytasz? Myślałem, że chcesz zostać pisarką.

– Kto tak powiedział?

– A nie ty?

Lekko drżącą ręką odłamał prostokącik czekolady i jej podał.

– Dziękuję.

– Ploszę baldzo.

Wgryzając się w czekoladę, Alice zerknęła na niego pytająco.

– Nie znasz tego kawału? Facet płaci mandat na poczcie. Kasjerka pyta, za co. „Za plucie”. „Plucie chyba nie jest jeszcze karalne”, mówi kasjerka, a facet na to: „Nie, ale ja plułem setką w telenie zabudowanym”.

Roześmiała się z ustami jeszcze pełnymi czekolady.

– Czy to żydowski kawał?

Pisarz skrzyżował nogi i splótł ręce na kolanach.

– A jak myślisz?

W TRZECIĄ NIEDZIELĘ kupił w samochodzie Mister Softee dwa lody i dał jednego jej. Przyjęła podarunek jak przedtem czekoladę, bo zaczynał się roztopiać, a poza tym wielokrotni laureaci Nagrody Pulitzera nie chodzą przecież po ulicach i nie trują ludzi.

Jedli lody i obserwowali parę dziobiących żdźbła zeschłej trawy gołębi. Alice, której niebieskie sandały pasowały do zygzaków na sukience, leniwie prężyła swoją stópkę na słońcu.

– No tak. Panno Alice. Jesteś odważna?

Popatrzyła na niego.

A on na nią.

Zaśmiała się.

- Jesteś odważna? – powtórzył.
- Odwróciła twarz w stronę wafla z lodem.
- No, chyba nie mam powodu się bać.
- Pisarz wstał, żeby wyrzucić serwetkę, i wrócił do Alice.
- Jest mnóstwo powodów do strachu.
- Spojrzała na niego przymrużonymi oczami i uśmiechnęła się.
- Ile masz lat? – zapytał.
- Dwadzieścia pięć.
- Chłopak?
- Pokręciła głową.
- Pracujesz?
- Jestem asystentką redaktora. W Gryphonie.
- Trzymając ręce w kieszeniach, nieznacznie podniósł głowę i chyba doszedł do wniosku, że to by się zgadzało.
- W porządku. Pójdziemy w sobotę na spacer?
- Kiwnęła głową, że tak.
- O czwartej tutaj?
- Przytaknęła raz jeszcze.
- Powinienem wziąć od ciebie numer telefonu. Na wypadek, gdyby coś mi wypadło.
- I znów jakiś biegacz zwolnił, żeby mu się przyjrzeć, a Alice zanotowała swój numer na zakładce, stanowiącej dodatek do książki.
- Teraz nie będziesz wiedzieć, gdzie przerwałaś – zauważył pisarz.
- Nie szkodzi.

W SOBOTĘ PADAŁ DESZCZ. Siedziała na przypominającej szachownicę podłodze swojej łazienki, próbując dokręcić obłuzowaną deskę klozetową nożem do masła, kiedy zabręczała jej komórka: „Numer ukryty”.

- Halo, Alice? Mówi Mister Softee. Gdzie jesteś?

- W domu.
- Czyli?
- Na Osiemdziesiątej Piątej przy Broadwayu.
- Ach, czyli tuż za rogiem. Moglibyśmy ze sobą gadać przez dwie połączone sznurkiem puszki.

Wyobraziła sobie sznurek, zwisający niczym olbrzymia skakanka nad Amsterdam Avenue i drżący za każdym razem, gdy któreś z nich coś mówiło.

– No dobrze, panno Alice. To co robimy? Masz ochotę przyjść do mnie i pogadać? Na spacer pójdziemy może kiedy indziej?

– Przyjdę.

– Przyjdiesz. Doskonale. Wpół do piątej?

Zapisała adres na ulotce reklamowej. Potem zakryła sobie usta ręką i czekała.

– Albo o piątej. To o piątej u mnie?

DESZCZ ZALEWAŁ PRZEJŚCIA dla pieszych i moczył jej nogi. Taksówki, wzbijające na Amsterdam Avenue drobniutki wodny pył, wydawały się poruszać znacznie szybciej, niż kiedy było sucho. Portier w apartamentowcu pisarza przyłgnął do ściany i rozkrzyżował ramiona, żeby przepuścić ją w drzwiach, gdy śmiało wchodziła do środka: stawiała długie kroki, wydymała policzki, strzepywała parasol. Wnętrze windy od podłogi do sufitu pokrywał wypaczony mosiądz. Piętra były bardzo wysokie albo winda jechała bardzo powoli, bo Alice miała mnóstwo czasu, żeby marszcząc brwi, przyglądać się swoim nieskończonym odbiciom niczym w lunaparkowym gabinecie luster i bardziej niż trochę martwić się o to, co będzie za chwilę.

Winda otworzyła się w korytarzu, na którym widać było sześcioro szarych drzwi. Już miała zapukać do pierwszych, gdy uchyliły się drugie, z drugiej strony, i wysunęła się z nich ręka trzymająca szklanę.

Przyjęła ją; była pełna wody.

Drzwi się zamknęły.

Upiła łyk.

Drzwi znów się otworzyły, jak gdyby samoczynnie, tym razem zamasyście i szeroko. Zawahała się, a potem poniosła szklanę z wodą przez krótki hol, kończący się w jasnym, białym pokoju, gdzie oprócz innych rzeczy stały biurko i niezwykle szerokie łóżko.

– Pokaż mi swoją torebkę – odezwał się zza jej pleców.

Pokazała.

– A teraz ją otwórz. Ze względów bezpieczeństwa.

Postawiła torebkę na dzielącym ich szklanym stoliku i otworzyła ją. Wyjęła portfel: męski, z brązowej skóry, mocno zużyty i porozdzierany. Zdrapkę, kupioną za dolara i tyle samo wartą. Ochronną pomadkę do ust. Grzebień. Breloczek do kluczy. Spinę do włosów. Ołówek automatyczny. Kilka monet, trzy tampony, które trzymała w dłoni niczym naboje. I jeszcze jakieś kłaczki. Drobinki piasku.

– Nie masz telefonu?

– Zostawiłam w domu.

Wziął portfel do ręki, przesuwając palcem po rozprutym szwie.

– To wstyd, Alice.

– Wiem.

Otworzył portfel, wyjął jej kartę debetową, kartę kredytową, zdezaktualizowaną już kartę podarunkową z Dunkin' Donuts, prawo jazdy, legitymację studencką i dwadzieścia trzy dolary w banknotach. Podniósł jedną z kart.

– Mary-Alice.

Zmarszczyła nos.

– Nie podoba ci się imię Mary – stwierdził.

– A tobie?

Przez chwilę patrzył na przemian na nią i kartę, jak gdyby chcąc zdecydować, czy woli Alice jako Mary, czy jednak jako Alice. Potem skinął głową, postukał kartami o blat i ułożył je w równiuteńki plik, chwycił leżącą na biurku gumkę recepturkę, spiął nią karty i banknoty, po czym wrzucił je z powrotem do torebki, a portfel posłał lobem do drucianego kosza na śmieci, wypełnionego już białym wzgórkami

niepotrzebnych kartek maszynopisu. Ich widok przez chwilę wydawał się go drażnić.

– No tak, Mary-Alice... – Usiadł, pokazując gestem, żeby zrobiła to samo. Siedzisko jego fotela, obleczone czarną skórą, było zawieszone nisko niczym porsche. – Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

Rozejrzała się wokoło. Na biurku czekał na niego świeży maszynopis. Dalej było widać przesuwne szklane drzwi, wychodzące na niewielki balkon, osłonięty przed deszczem balkonem piętro wyżej. Olbrzymie łóżko za plecami Alice posłano tak starannie, że wyglądało wyniośle.

– Chcesz, żebyśmy gdzieś wyszli?

– Okej.

– Ty nie rzucisz mnie, a ja nie rzucę ciebie. Umowa stoi?

Uśmiechnęła się i siedząc wciąż w odległości pięciu stóp od niego, wyciągnęła rękę w jego stronę. Spuścił wzrok i przyglądał się jej przez długą, pełną wątpliwości chwilę, jak gdyby na ręce Alice widniały zaznaczone plusy i minusy wszystkich uścisków dłoni w jego życiu.

– Chociaż właściwie... – odezwał się. – Chodź tutaj.

MIAŁ POMARSZCZONĄ, chłodną skórę.

Miał delikatne usta – lecz tkwiły za nimi zęby.

W wydawnictwie, w którym pracowała, na ścianie recepcji wisiały w ramach co najmniej trzy opatrzone jego nazwiskiem dyplomy, towarzyszące National Book Award.

Kiedy za drugim razem zapukała do jego mieszkania, minęło kilka sekund bez odpowiedzi.

– To ja – zwróciła się do drzwi.

Otworzyły się nieznacznie i wysunęła się zza nich ręka trzymająca pudełko.

Wzięła je.

Drzwi się zamknęły.

Pudełko ozdobił elegancko wytłoczony złotymi literami napis „Lincoln Stationers”. W środku pod pojedynczą płachtą białej bibułki spoczywał burgundowy portfel z przegródką na monety, zapinany na zatrzask.

– Wielkie nieba! – zawołała. – Ale ładny. Dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiedziały drzwi.

Znowu dostała szklankę wody.

Znowu zrobili swoje, pozostawiając łóżko w nienaruszonym stanie.

Nakrył dłońmi jej osłonięte swetrem piersi, jak gdyby chcąc ją uciszyć.

– Ta jest większa.

– Och – powiedziała Alice i z nieszczęśliwą miną spuściła wzrok.

– Nie, nie; to nie jest niedoskonałość. Nie ma na świecie dwóch dokładnie takich samych piersi.

– Jak płatków śniegu? – podsunęła.

– Jak płatków śniegu.

OD JEGO ŻOŁĄDKA aż do mostka biegła różowa blizna, przypominająca zamek błyskawiczny. Druga przecinała nogę od krocza do kostki. Kolejne dwie zataczały słabe kręgi nad biodrem. A to wszystko tylko z przodu.

– Kto ci to zrobił?

– Norman Mailer.

Kiedy wciągała rajstopy, wstał, żeby włączyć telewizor na mecz drużyny Yankees.

– Ooo, uwielbiam bejsbol – powiedziała.

– Naprawdę? A jaka jest twoja ulubiona drużyna?

– Red Sox. Jak byłam mała, babcia co roku zabierała mnie do Fenway.

– Czy ona jeszcze żyje?

– No. Chcesz, żebym ci dała jej numer telefonu? Jesteście mniej więcej w tym samym wieku.

– Chyba za krótko się znamy, żebyś mogła sobie ze mnie podkpiwać, Mary-Alice.

– Wiem – roześmiała się. – Przepraszam.

Przyglądali się, jak Jason Giambi huknął piłkę w stronę lewego zapolowego.

– Och! – powiedział pisarz, wstając. – Byłbym zapomniał. Kupiłem ci ciasteczko.

GDY SIADYWALI naprzeciwko siebie przy małym szklanym stole albo ona na łóżku, a on na fotelu, i przyglądali się sobie, zauważyła, że głowa pisarza drży ledwo dostrzegalnie, jak gdyby w rytm uderzeń jego serca.

Poza tym przeszedł trzy operacje kręgosłupa, co oznaczało, że pewne rzeczy mogli robić, a innych nie. Nie powinni.

– Nie chcę, żeby stała ci się krzywda – powiedziała Alice, marszcząc brwi.

– Na to już trochę za późno.

Korzystali teraz z łóżka. Miał specjalny materac ortopedyczny, na którym jakby zapadała się z wolna w gigantyczną płytę karmelu. Gdy odwracała głowę, przez wysokie okna widziała wieżowce w centrum miasta, z powagą tulące się do siebie w deszczu.

– O Boże. O Jezu. O Chryste. Co ty robisz? Czy ty wiesz... co... robisz?

Potem, kiedy zjadała kolejne ciastko:

– Kto cię tego nauczył, Mary-Alice? Z kim ty się spotykałaś?

– Z nikim – odparła, podniosła z kolan okruszek i zjadła go. – Po prostu wyobrażam sobie, co może ci sprawić przyjemność, i robię to.

– No to masz naprawdę niezłą wyobraźnię.

NAZYWAŁ JĄ SYRENKĄ. Nie wiedziała dlaczego.

Wsparta o jego klawiaturę leżała złożona jak namiot kartka białego papieru, na której napisał:

„Długo pozostajesz pustym naczyniem, potem rośnie w tobie coś, czego nie chcesz, coś się w ciebie wsącza, ale właściwie nie jesteś w stanie nic zrobić. Aktu twórczego dokonuje w nas Bóg Przypadku... Wszystkie projekty artystyczne wymagają mnóstwa cierpliwości”.

I niżej:

„Sądzę, że artysta to tylko potężna pamięć, która przez wspomnienia pewnych przeżyć potrafi wedle woli poruszać się lateralnie...”

Otworzyła lodówkę, a wtedy przywiązany do rączki złoty medal, który dostał od Białego Domu, zadźwięczał głośno, obijając się o drzwi. Wróciła do łóżka.

– Skarbie – powiedział. – Nie lubię tego robić w kondomie. Nikt nie lubi.

– Okej.

– A choroby weneryczne? Nie boisz się?

– No, ufam ci, skoro...

– Nie powinnaś ufać nikomu. A jak zajdziesz w ciążę?

– Och, o to się nie martw. Zrobiłabym aborcję.

Później, kiedy podmywała się w łazience, przyniósł jej kieliszek białego wina.

KRUCHE CZEKOLADOWE CIASTECZKA „blackout” pochodziły z piekarni Columbus, którą mijał codziennie w czasie spaceru. Sam starał się ich nie jeść. I nie pił; alkohol źle się łączył z jednym z leków, które musiał zażywać. Dla Alice kupował jednak wino Sancerre albo Pouilly-Fuissé i kiedy już jej nalał to, które chciała, wciskał korek z powrotem do butelki i stawiał ją na podłodze przy drzwiach, żeby zabrała sobie resztę do domu.

Pewnego wieczoru po kilku kęsach ciasteczka wzięła łyk wina i na jej twarzy odmalował się lekki niesmak.

– Co?

– Przepraszam. Nie chcę wyjść na niewdzięcznicę. Tylko że wiesz, ciasteczka z tym winem jakoś mi nie wchodzi.

Myślał przez chwilę, a potem wstał i poszedł do kuchni po szklanę i butelkę bourbona Knob Creek.

– Spróbuj tego.

Przyglądał się łakomie, jak odgryza kawałek ciastka i popija knob creekiem. Wydawało się jej, że połyka płomień.

Musiała odkaszląć.

– Niebo w gębie – stwierdziła.

INNE PREZENTY:

Niesłuchanie praktyczny, wskazówkowy i wodoodporny zegarek na rękę.

Perfumy Allure firmy Chanel.

Arkusze znaczków po trzydzieści dwa centy z serii Legendy Amerykańskiej Muzyki, upamiętniających Harolda Arlena, Johnnny'ego Mercera, Dorothy Fields i Hoagy'ego Carmichaela.

Pierwsza strona gazety „New York Post” z marca 1992 roku z nagłówkiem „Dziwny akt seksualny na boisku treningowym (w czasie wieczornego finału)”.

ZA ÓSMYM RAZEM, kiedy znowu robili coś, czego pisarz robić nie powinien, powiedział:

– Kocham cię. Kocham cię za to.

Później, gdy siedziała przy stole i jadła ciasteczko, przyglądał się jej w milczeniu.

Następnego ranka:

„Numer ukryty”.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że pewnie poczułaś się dziwnie, słysząc coś takiego z moich ust. Pewnie ci się zakręciło w głowie... Z-a-k-r-ę-c-i-ł-o, nie z-a-k-n-o-c-i-ł-o, chociaż to też jest fajne słowo. Chodzi mi o to, że powiedziałem to pod wpływem chwili, co nie znaczy, że coś się powinno między nami zmienić. Nie chcę, żeby cokolwiek się zmieniło. Ty rób, co chcesz, a ja będę robił, co ja chcę.

– Oczywiście.

– Grzeczna dziewczynka.

Odłożyła słuchawkę uśmiechnięta.

Potem zastanowiła się chwilę nad tą wymianą zdań i zmarszczyła brwi.

Czytała właśnie instrukcję do zegarka, kiedy zadzwonił ojciec, by po raz drugi w tym tygodniu powiedzieć jej, że ani jeden Żyd nie stawiał się do pracy w wieżach WTC tego dnia, gdy zostały zniszczone. Za to pisarz nie telefonował do niej przez dłuższy czas. Spała z telefonem pod poduszką, a jeżeli nie leżała w łóżku, nosiła go wszędzie ze sobą – do kuchni, kiedy nalewała sobie drinka, i do łazienki, kiedy szła do łazienki. Dostawała szału z powodu deski klozetowej, bo przesuwiała się w bok za każdym razem, gdy na niej siadała.

Przyszło jej do głowy, żeby wrócić na tę ich ławkę w parku, ale postanowiła raczej pójść na spacer. Był weekend, obchodzono święto Memorial Day i Broadway został zamknięty na jarmark. Już o jedenastej w całej okolicy unosił się dym, a dookoła skwierczały falafele, fajitas i frytki; były też kanapki z wołowiną, kukurydza w kolbach, kielbaski z koprem włoskim, ciasteczka z lanego ciasta i smażone placki o średnicy frisbee. Zimna lemoniada. Bezpłatne badania kręgosłupa. Doradcy prawni fundacji We the People – rozwód 399 dolarów, bankructwo 199. Na jednym ze straganów, gdzie sprzedawano artystyczne, domowej roboty ciuchy, kołysała się na wietrze ładna letnia sukienka w kolorze kwiatów maku. Kosztowała jedyne dziesięć dolarów. Indyjski straganiarz zdjął ją z wieszaka, żeby Alice mogła przymierzyć kieckę w jego furgonetce, gdzie przyglądał się jej owczarek alzacki o załzawionych ślepiach, z mordą wspartą na przednich łapach.

Tego wieczoru, gdy była już w piżamie:

„Numer ukryty”.

– Halo?

– Cześć, Mary-Alice. Oglądałaś mecz?

– Jaki?

– Między Red Sox i Yankees. Yankees wygrali czternaście pięć.

– Nie mam telewizora. Kto rzucał?

– Kto rzucał. Wszyscy. Nawet twoja babcia zagrała kilka rund. Co robisz?

– Nic.

– Chcesz wpaść?

Zdjęła piżamę i włożyła tę nową indyjską sukienkę. Od razu musiała odgryźć jakąś sterczącą z niej nitkę.

U pisarza, który leżał w łóżku z książką i szklanką czekoladowego mleka sojowego, paliła się tylko lampa na nocnym stoliku.

– Mamy wiosnę! – zawołała, ściągając sukienkę przez głowę.

– Mamy wiosnę – odpowiedział, wzdychając ze znużeniem.

Podpełzła ku niemu po śnieżnobiałej kołdrze niczym ryś.

– Mary-Alice, czasem naprawdę wyglądasz jak szesnastolatka.

– Pedofil.

– Gerontofilka. Uważaj na moje plecy.

Niekiedy miała wrażenie, że grają w „Operację”, jak gdyby nos pisarza mógł rozbłysnąć na czerwono, a jego obwody zabuczyć, jeśli nie zdołałaby czyściutko wyciągnąć mu nerwu łokciowego z ramienia.

– Och, Mary-Alice. Jesteś niespełna rozumu, wiesz o tym? Jesteś niespełna rozumu, wiesz o tym, i za to cię kocham.

Uśmiechnęła się.

Wróciła do domu zaledwie godzinę i czterdzieści minut po jego telefonie i wszystko było dokładnie tak, jak kiedy wychodziła, ale własna sypialnia wydawała się jej jakoś zbyt jasna i obca, jakby należała teraz do kogoś innego.

„NUMER UKRYTY”.

„Numer ukryty”.

„Numer ukryty”.

Zostawił jej wiadomość.

„Kto czerpie największą przyjemność ze sprowadzania innych na złą drogę?”

KOLEJNA WIADOMOŚĆ:

„Czy ktoś tutaj czuje zapach syrenki?”.

„NUMER UKRYTY”.

– Mary-Alice?

– Tak?

– To ty?

– Tak.

– Jak się masz?

– Dobrze.

– Co robisz?

– Czytam.

– Co?

– Och, nic ciekawego.

– Masz klimatyzację?

– Nie.

– To na pewno jest ci gorąco.

– Owszem.

– W weekend podobno będzie jeszcze upalniej.

- Wiem.
- I co zrobisz?
- Nie wiem. Roztopię się.
- Wracam na sobotę do miasta. Chciałabyś się ze mną zobaczyć?
- Tak.
- O szóstej?
- No.
- Przepraszam. Szósta trzydzieści?
- Okej.
- Może nawet przygotuję ci kolację.
- Byłoby miło.

O kolacji zapomniał albo postanowił jej nie robić. Gdy Alice przyjechała, posadził ją na brzegu łóżka i wręczył jej dwie duże torby z księgarni Barnes & Noble, po brzegi pełne książek. *Przygody Hucka. Czula jest noc. Podróż do kresu nocy. Dziennik złodzieja. Ludzie Julya. Zwrotnik Raka. Axel's Castle. Rajski ogród. Żart. Kochanek. Śmierć w Wenecji i inne opowiadania. Pierwsza miłość. Wrogowie, opowieść o miłości...* Wzięła do ręki książkę jakiegoś pisarza, którego nazwiska nie słyszała, chociaż już jej kiedyś wpadło w oko.

– Oo, Camus! – wymówiła to jak rym do „lamus”. Zapadła długa cisza, pisarz się nie odzywał, a Alice czytała opis na czwartej stronie okładki *Pierwszego człowieka*. Kiedy podniosła wzrok, pisarz wciąż miał nieco zdziwioną minę.

- Mówi się „Ka-mi”, skarbie. To był Francuz. „Ka-mi”.

MIESZKANIE ALICE znajdowało się na najwyższym piętrze starej, wykładanej piaskowcem kamienicy, grzało je słońce i zbierało się w nim gorące powietrze. Jediną lokatorką na tej kondygnacji poza nią była starsza pani imieniem Anna, dla której wejście po stromych schodach na czwarte piętro stanowiło trwającą dwadzieścia minut udrękę. Stopień, odpoczynek. Stopień, odpoczynek. Stopień, odpoczynek. Kiedyś Alice minęła Annę na schodach w drodze do H&H, a kiedy

wróciła, biedaczka jeszcze nie zdążyła wejść na górę. Sądząc po torbach na zakupy, jakie dźwigała, można było pomyśleć, że na śniadanie jada kule do kręgli.

– Mogę ci pomóc, Anno?

– Och, nie, kochanie. Robię to od pięćdziesięciu lat. Dzięki temu jeszcze żyję.

Stopień, odpoczynek.

– Jesteś pewna?

– O tak. Ładna z ciebie dziewczyna. Powiedz mi, masz chłopaka?

– Aktualnie nie.

– No, ale nie czekaj z tym za długo, kochanie.

– Dobrze – zaśmiała się Alice, wbiegając na schody.

–CAPITANA!

Jego portier witał ją już teraz jak dobrą znajomą. Zadzwoił po pisarza, żeby zjechał na dół, a następnie pożegnał ich oboje, kiedy poszli na spacer. Wymachując torebką śliwek od Zingone’a, pisarz zapytał, czy Alice słyszała o planach rady miejskiej, żeby niektórym luksusowym apartamentowcom nadać nowe nazwy na cześć najlepszych ligowych graczy bejsbolowych: Posada, Rivera, Soriano.

– Garciaparra – powiedziała Alice.

– Nie, nie – odparł, zatrzymując ją z ważną miną. – Biorą pod uwagę tylko graczy Yankees.

Weszli do małego parku na tyłach muzeum historii naturalnej, gdzie wgrzając się w jedną z jego śliwek, udawała, że wykuwa nazwisko pisarza pod nazwiskiem Josepha Stiglitz na pomniku poświęconym amerykańskiemu laureatom Nagrody Nobla. Zwykle jednak zostawali w domu. Czytał jej, co napisał. Zapytała go o pisownię słowa „sakwojaż”. Oglądali bejsbol, a w popołudniowe weekendy słuchali w radiu, jak Jonathan Schwartz o mało nie mdleje, zachwycając się Tierney Sutton i Nancy LaMott. *Come Rain or Come Shine. Just You, Just Me.* Doris Day

szczebiotała w zadumie *The Party's Over*: „Przyjęcie się skończyło...”. Któregoś popołudnia Alice wybuchnęła śmiechem i powiedziała:

- Straszny safandula z tego faceta.
- Safandula – powtórzył pisarz, jedząc nektarynkę. – To bardzo ładne staroświeckie słowo.
- Pewnie można by powiedzieć – rzuciła, szukając swoich majtek na podłodze – że jestem porządną staroświecką dziewczyną.
- „Przyjęcie się skończyło...” – śpiewał, ilekroć chciał, żeby już poszła do domu. – „Pora już i-i-i-i-i-ść”.

Potem, kręcąc się wesoło po pokoju, wyłączał telefon, faks, światło, nalewał sobie szklankę czekoladowego mleka sojowego i odliczał cały kopczyk pigulek.

- Im bardziej się człowiek starzeje – wyjaśnił – tym więcej rzeczy ma do zrobienia przed pójściem do łóżka. Ja mam chyba ze sto.

Koniec przyjęcia. Koniec klimatyzacji. Wlokła się do domu na lekko chwiejnych nogach, w upale, z brzuchem pełnym bourbona i czekolady i z majtkami w kieszeni. Na schodach im wyżej, tym duszniej, dlatego po wejściu do mieszkania na czwartym piętrze robiła tylko jedno, a mianowicie przeciągała materac i poduszki przez korytarz do salonu, gdzie na podłodze koło wyjścia na schody przeciwpożarowe przynajmniej istniała szansa na wiaterek.

- Posłuchaj, skarbie. Wyjeżdżam na jakiś czas.
- Odłożyła ciasteczko i otarła usta.
- Wracam na trochę na wieś. Muszę skończyć tę wersję.
- Okej.
- Ale to nie znaczy, że nie możemy rozmawiać. Będziemy ze sobą rozmawiać regularnie, a jak to skończę, to znów zaczniemy się spotykać. Jeżeli zechcesz. Dobrze?

Skinęła głową.

- W porządku.
- Tymczasem... – Położył na stole kopertę i podsunął dziewczynie. – To dla ciebie.

Wzięła ją do ręki – z przodu widniał napis „Bridgehampton National Bank”, a obok niego logo regat żeglarskich – i wyjęła sześć studolarówek.

– Na klimatyzację.

Pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Owszem, możesz. Zrobisz mi przyjemność.

Kiedy wracała do domu, było jeszcze jasno. Niebo wyglądało ocieźale, jak gdyby miała się rozpętać burza, która jednak ostatecznie nie przyszła. Młodzi ludzie pijący na chodniku dopiero zaczynali wieczór. Zbliżała się do swojego domu powoli, niechętnie, trzymając rękę na kopercie w torebce i próbując zdecydować, co robić. Odczuwała dziwne sensacje żołądkowe, jakby ktoś przeciął liny od windy w apartamentowcu pisarza, a ona spadała teraz razem z nią.

Ulicę dalej na północ była knajpa z długim drewnianym barem i klientelą, która wyglądała w większości na cywilizowaną. Alice znalazła stół na końcu baru, tam gdzie stał serwetnik, i usadowiła się tak, jak gdyby przyszła tu głównie dla telewizora, zamontowanego wysoko w kącie sali. Nowy Jork prowadził z Kansas City cztery do zera pod koniec trzeciej rundy.

Naprzód, Royals, pomyślała.

Barman rzucił papierową serwetkę na blat i zapytał Alice, czego się napije. Zastanawiała się nad winami w promocji, których lista wisiała na ścianie.

– Poproszę o szklankę...

– Mleka?

– Nie. Macie knob creeka?

Nabiła rachunek do dwudziestu czterech dolarów. Położyła na barze kartę kredytową, ale schowała ją i wyjęła jedną z setek, które dostała od pisarza. Barman wydał jej trzy dwudziestki, dziesiątkę i sześć banknotów jednodolarowych.

– To dla pana – powiedziała, podsuwając mu jednodolarówki.

Yankees wygrali mecz.

W NIECHĘTNYM, STĘCHŁYM powiewie klimatyzatora, kupionego z drugiej ręki:

„Nie wierzyłem, żebyśmy dali radę takiej kupie Hiszpanów i Arabów, ponieważ jednak chciałem zobaczyć słonie i wielbłądy, nazajutrz, czyli w sobotę, czekałem z innymi chłopcami w zasadzce. Na dany znak wybiegliśmy z lasu i całą kupą runęliśmy w dół pagórka. Ale nie było tam ani Hiszpanów, ani Arabów, ani żadnych słoni czy wielbłądów, tylko majówka szkoły niedzielnej – i to w dodatku malców z pierwszego roku nauczania! Rozpędziliśmy dzieci i pognaliśmy je aż na stok doliny, ale łupy mieliśmy bardzo marne – trochę szynki i pączków; jeden tylko Ben Rogers zdobył lalkę szmacianą, a Jo Harper – śpiewnik i książeczkę do nabożeństwa. Potem przybiegł nauczyciel, więc rzuciliśmy wszystko i w nogi...”^[1].

W nocy deszcz zmoczył tę część klimatyzatora, która wchodziła w otwór wentylacyjny, i bębnił o niego tak, jak gdyby z nieba na ziemię leciały metalowe groty strzał. Burze przychodziły i odchodziły, stukot kropli narastał, zmieniając się w ostre trzaski, a błyskawice wdzierały się pod powieki. Woda leciała z rynien niczym potoki po górskich kamieniach. Gdy przeszła ostatnia burza, wczesnoporanne minuty odliczały pozostałości po niej powolnym, jakby metronomicznym kapaniem...

„Miałem środkową wachtę, ale jak przyszła na mnie kolej, strasznie mi się chciało spać, i Jim powiedział, że mnie zastąpi przez pierwsze dwie godziny; w tych sprawach Jim był zawsze dla mnie bardzo dobry – bardzo! Wpełzłem do wigwamu, ale Król i Książę leżeli z tak szeroko rozłożonymi rękami i nogami, że dla mnie nie zostało ani trochę

miejsca. Więc położyłem się przed wigwamem na deskach; deszcz mi nie przeszkadzał, bo powietrze było ciepłe, a fala dużo teraz niższa. Koło drugiej rzeka znowu się wzburzyła i Jim już mnie miał zbudzić, ale potem pomyślał, że fale są jeszcze małe i nic mi się nie stanie, więc dał spokój. Cóż, trochę się omylił, bo całkiem niespodziewanie przyszła wielka fala i chlup! – zmiotła mnie do rzeki. Jim tak się śmiał, że o mało co nie pękł ze śmiechu. Swoją drogą nie widziałem drugiego Murzyna, który byłby taki prędko do śmiechu”^[2].

Za pieniądze, które jej zostały, kupiła nową deskę klozetową, czajnik i śrubokręt, a na weekendowym targu staroci przy Columbus Avenue małą drewnianą komódkę. Czajnik był smukłym, wykonanym w całości z metalu produktem wzornictwa skandynawskiego. Deskę przykręciła z ogromną satysfakcją, znowu słuchając Jonathana Schwartza.

Praca nigdy nie wydawała się jej nudniejsza i bardziej nieistotna. Przetaksuj to, odłóż do akt tamto, skopiuj to. Pewnego wieczoru, kiedy prawie wszyscy już wyszli, a Alice wpatrywała się w numer telefonu pisarza w notesie swojego szefa, jeden z jej kolegów wsunął głowę do pokoju i powiedział:

– Hej, Alice, *à demain*.

– Proszę?

– *À demain*.

Pokręciła głową.

– Do jutra.

– Och. No tak.

Zanim przyszło ochłodzenie, zrobiło się jeszcze goręcej. Trzy weekendy z rzędu przeleżała na łóżku w zamkniętej sypialni, klimatyzator szemrał i grzechotał, ustawiony na maksymalną moc. Myślała o pisarzu, który siedzi na swojej wyspie, krążąc pomiędzy basenem, pracownią i dziewiętnastowieczną farmą z niczym nieograniczonym widokiem na zatokę.

Gdyby musiała, potrafiłaby tak czekać bardzo długo.

„Nie chcę w tym dzienniku ukrywać innych przyczyn, które zrobiły ze mnie złodzieja, przy czym najprostszą jest głód. Moim wyborem jednak nigdy nie powodowały: bunt, gorycz, gniew czy inne jakieś podobne uczucia. Z maniacką, zazdrosną starannością gotowałem sobie tę podróż, jakbym słał łóżko i szykował pokój dla miłości: na myśl o zbrodni miałem wzwód”^[3].

„Malan był podobny do Chińczyka: miał okrągłą, niemal pozbawioną brwi twarz, lekko spłaszczony nos, równo przycięte włosy i bujny wąs, który nie zdołał ukryć wydatnych, zmysłowych ust. Już samo jego ciało, miękkie i zaokrąglone, i tłuste ręce o grubawych palcach przywodziły na myśl mandaryna, wroga długich marszów. Gdy przymykał oczy, jedząc z apetytem, łatwo było wyobrazić go sobie w jedwabnej szacie, z palczkami w dłoniach. Ale jego spojrzenie zaprzeczało temu obrazowi. Ciemnobrązowe, rozpalone oczy, pełne niepokoju albo nieruchomiejące nagle, jak gdyby cała jego inteligencja skupiała się błyskawicznie na jakimś ściśle określonym punkcie, były oczami człowieka Zachodu, uczonego i obdarzonego niezwykłą wrażliwością”^[4].

„Odór podsmażanego zjełczałego masła nie wpływa zbyt na apetyt, zwłaszcza jeżeli gotuje się w pokoju pozbawionym dopływu świeżego powietrza. Otwieram drzwi i natychmiast zbiera mi się na wymioty. Ale Eugene, słysząc, że nadchodzę, podnosi żaluzje i ściąga prześcieradło rozpostarte na oknie jak sieć rybacka, aby nie wpuszczać słońca. Biedny Eugene! Rozgląda się po pokoju, patrzy na tych kilka mebli, na brudne prześcieradła i umywalkę wciąż wypełnioną brudną wodą i mówi: «Jestem niewolnikiem!»”^[5].

Odebrała telefon.

Wyświetlił się jedynie napis NOKIA.

„Wracając jednak do zapachu zjełczałego masła...”^[6].

PEWNEGO WIECZORU Z OKAZJI odejścia jednego z redaktorów na emeryturę odbyła się impreza, po której Alice przespała się z asystentem z działu praw zależnych. Użyli prezerwatywy, ale została w niej, w środku.

– Kurde – powiedział chłopak.

– Gdzie ona się podziała? – zapytała Alice, zerkając w dzielący ich cienisty wawóz. Jej głos brzmiał dziewczęco i naiwnie, jak gdyby chodziło o sztuczkę magiczną, a chłopak w każdej chwili mógł wyciągnąć z jej ucha nowy kondom.

Ale to ona dokończyła tę sztuczkę – sama w łazience, z jedną nogą na swojej nowej desce klozetowej, wstrzymując oddech. Poszukiwania prowadzone zgiętym palcem po omacku pośród głębokich, śliskich fałd nie były łatwe. Później, chociaż wiedziała, że nie uda się w ten sposób zapobiec wszystkim niepożądanym konsekwencjom stosunku, weszła do wanny i podmyła się wodą o najwyższej temperaturze, jaką była w stanie wytrzymać.

– Jakies plany? – zapytała chłopaka rankiem, kiedy zapinał pasek sztruksowych spodni.

– Nie wiem. Może zajrzę na chwilę do redakcji. A ty?

– Red Sox grają dzisiaj po południu z Blue Jaysami.

– Nie cierpię bejsbolu – odpowiedział chłopak.

„CIESZYMY SIĘ, ŻE WKRÓTCE odwiedzi Pani klinikę RiverMed. Poniższą informację podajemy na Pani użytek. Jeśli nie zawiera ona wszystkich oczekiwanych przez Panią wyjaśnień, prosimy o pytania w trakcie konsultacji.

Czas trwania zabiegu wynosi zwykle od pięciu do dziesięciu minut. W gabinecie spotka się Pani ze swoją osobistą pielęgniarką, lekarzem i anestezjologiem lub jego wykwalifikowaną asystentką, która zaaplikuje znieczulenie dożylne przez kateter, wprowadzony do żyły w ramieniu lub dłoni. Usiądzie Pani na stole zabiegowym, położy się

i wsunie nogi w strzemiona. Lekarz wykona badanie bimanualne (tzn. wprowadzi dwa palce do pochwy i dotknie macicy). Następnie wsunie specjalne narzędzie (wziernik), które zostanie umocowane tak, aby podtrzymać rozwarcie i umożliwić ogląd szyjki macicy. Jej rozszerzenie jest konieczne do usunięcia ciąży.

Kiedy rozwarcie osiągnie odpowiednią szerokość dzięki zastosowaniu przypominających pręty albo rurki narzędzi zwanych dilatorami, lekarz wprowadzi do macicy rurkę lub kaniulę, podłączoną do maszyny ssącej. Po uruchomieniu urządzenia zawartość macicy zostanie wyssana przez rurkę i umieszczona w butelce. Następnie lekarz usunie rurkę, wprowadzi do pochwy długie, przypominające łyżeczkę narzędzie i dokładnie oczyści ścianki macicy, aby nie zalegały w niej żadne pozostałości.

Po zabiegu wziernik zostanie wyjęty i będzie Pani mogła opuścić nogi. Personel przewiezie Panią w pozycji leżącej na salę pooperacyjną, gdzie poddamy Panią obserwacji. Gdy Pani stan okaże się zadowalający i dojdzie Pani do siebie (co zwykle trwa od dwudziestu minut do godziny), personel zaprowadzi Panią do pokoju, gdzie będzie Pani mogła odpocząć i się ubrać. Przed wyjściem z kliniki osobista pielęgniarka udzieli Pani porad i ostatnich wskazówek.

Nieregularne krwawienie po zabiegu może utrzymywać się do trzech tygodni.

Proszę nas powiadomić, w jaki sposób moglibyśmy sprawić, aby poczuła się Pani u nas jeszcze bardziej komfortowo. Mamy nadzieję, że będzie Pani miło wspominać czas spędzony w naszej placówce”.

W DRUGI CZWARTEK PAŹDZIERNIKA, gdy przeciągała szczotkę przez swoje mokre i splątane włosy, usłyszała w radiu, że Akademia Szwedzka przyznała Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury Imre Kertészowi za „pisarstwo, które przeciwstawia kruche doświadczenie jednostki barbarzyńskiej arbitralności dziejów”.

„Numer ukryty”.

Bez tchu, jak gdyby chciała uprzedzić samą siebie, powiedziała mu o wszystkim, co kupiła, o desce klozetowej, czajniku i komódce, którą sprzedawca staroci opisał jako „zabytek z lat trzydziestych XX wieku”.

– Jak ja – powiedział pisarz.

– Mam okres – oświadczyła przeprasającym tonem.

Trzy wieczory później, kiedy leżała w staniku opuszczonym na biodra i trzymała pisarza za głowę, nie mogła się nadziwić, że jego mózg znajduje się tak blisko, tuż pod jej podbródkiem, i że tak łatwo może go pomieścić między łokciami. Zaczęło się to jako myśl filuterna, ale nagle przestała sobie ufać i ogarnął ją strach, że nie zdoła się oprzeć chęci zgniecenia tej głowy, zatrzymania pracy jego mózgu.

Miał chyba podobne ciągoty, bo chwilę później ugryzł ją mocno w czasie pocałunku.

Nie widywali się ostatnio zbyt często. Można było odnieść wrażenie, że jakoś się jej wystrzega. Poza tym bolały go plecy.

– Przez coś, co robiliśmy?

– Nie, skarbie. Nic nie zrobiłaś.

– Chcesz...?

– Nie dzisiaj, kochanie. Dzisiaj tylko *tendresse*.

Czasami kiedy leżeli naprzeciwko siebie albo kiedy siedział zwrócony twarzą do niej przy swoim stoliku, poruszając głową na bok, przybierał minę wyrażającą smutne oszołomienie, jakby zdawał sobie sprawę, że w tym momencie największą rozkoszą w życiu jest dla niego Alice, co przecież było żałosne.

– Jesteś najlepszą dziewczyną na świecie, wiesz?

Wstrzymała oddech.

Z westchnieniem:

– Najlepszą.

– Ezro – powiedziała, trzymając się za brzuch. – Przepraszam cię, ale nagle jakoś źle się poczułam.

– Co ci jest?

– Może moje ciasteczko było nieświeże.

– Będziesz wymiotować?

Przekręciła się, podniosła na czworaki i zatopiła twarz w chłodnej białej kołdrze. Wzięła głęboki oddech.

– Nie wiem.

– Chodźmy do łazienki.

– Okej. – Nie poruszyła się.

– Skarbie, chodźmy.

Nagłym ruchem zakryła ręką usta i wybiegła z pokoju. Wstał z łóżka, spokojnie poszedł za Alice, po cichutku, i zamknął za nią drzwi z delikatnym, pełnym godności skrzypnięciem. Kiedy było po wszystkim, spuściła wodę, przemyła twarz, przepłukała usta i rozdygotana wsparła się na umywalce. Słyszała zza drzwi, jak Ezra z godnością kontynuuje swoje wieczorne czynności – otwiera lodówkę, stuka talerzami w zlewie i nadeptuje pedał podnoszący wieko kubła na śmieci. Znowu spuściła wodę. Potem odwinęła trochę papieru toaletowego i wytarła nim muszlę, deskę klozetową, brzeg wanny, podajnik papieru oraz podłogę. Wszędzie wały się resztki czekoladowego ciasteczka. Opuściła klapę muszli, usiadła. W koszu na śmieci leżały szczotki powieści autorstwa pewnego chłopaka, z którym studiowała, a także list od jego agenta z prośbą o blurba, nadal przypięty spinaczem do pierwszej strony.

Kiedy wróciła, Ezra z nogą założoną na nogę siedział w fotelu i trzymał w ręku książkę o Nowym Ładzie Roosevelta. Patrząc, marszcząc brwi, jak naga Alice przechodzi na paluszkach przez pokój, po czym powoli kładzie się na podłodze pomiędzy szafą i łóżkiem.

– Kochanie, co ty wyprawiasz?

– Przepraszam. Muszę się położyć, ale nie chcę ci uświnić kołdry.

– Mary-Alice, włącz do łóżka.

Przyszedł, żeby usiąść obok niej, i długo gładził ją po plecach, jak kiedyś jej matka. Potem nakrył Alice kołdrą po samą szyję i odszedł bezszelestnie, aby zrobić te swoje sto różnych rzeczy: wyciszał dzwonki telefonów, gasił światła, segregował tabletki. W łazience cicho włączył radio.

Kiedy z niej wyszedł, miał na sobie jasnoniebieską koszulkę od Calvina Kleina i szorty. Postawił na swoim stoliku nocnym szklankę

wody. Sięgnął po książkę. Ułożył poduszki.

– Dziewięćdziesiąt siedem, dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć...

Położył się do łóżka i westchnął teatralnie.

– Sto!

Leżała w milczeniu, bez ruchu. Otworzył książkę.

– Skarbie – odezwał się w końcu. Po czym śmiało, z ożywieniem dodał: – A może zostaniesz u mnie? Chociaż raz. Nie możesz wracać w tym stanie do domu. Dobrze?

– Dobrze – szepnęła. – Dziękuję.

– Płoszę baldzo – odrzekł.

Budziła się w nocy trzykrotnie. Za pierwszym razem Ezra leżał na wznak, w oknie za jego plecami połyskiwały jeszcze wieżowce, a czubek Empire State Building zalewało czerwone i złote światło.

Za drugim leżał na boku, zwrócony do niej tyłem. Alice wstała, bo rozboleła ją głowa, i poszła do łazienki poszukać aspiryny. Oświetlenie na Empire State Building było już wyłączone.

Kiedy przebudziła się po raz trzeci, mocno obejmował ją od tyłu.

Za czwartym razem świtało. Leżeli twarzą w twarz, blisko, niemal się dotykając, a Ezra miał otwarte, wpatrzone w nią oczy.

– To był bardzo zły pomysł – stwierdził ponuro.

NASTĘPNEGO RANKA ZNÓW WYJECHAŁ na swoją wyspę. Kiedy zadzwonił, by powiedzieć o tym Alice, rozłączyła się, wrzuciła telefon do kosza z brudną bielizną i jęknęła. Tego samego dnia zadzwonił do niej ojciec, bo chciał jej wytłumaczyć, że woda z fluorem to zło, rozpowszechniane przez Nowy Porządek Świata; godzinę później zatelefonował ponownie i oświadczył, że ludzie nigdy nie wylądowali na Księżycu. Potraktowała takie sensacyjne informacje tak samo, jak robiła to raz albo dwa razy w tygodniu co tydzień przez osiem lat: z radosną małomównością, przesuwającą jej sprzeciw na ten dzień, kiedy wreszcie przyjdzie jej do głowy, jak może wyrazić swoją dezaprobatę, nie urażając przy tym

ojcowskich uczuć. Tymczasem okazało się, że nowy piękny czajnik ma oburządzającą wadę: scalona z korpusem rączka już po trzydziestu sekundach na gazie nagrzewała się tak, że nie dało się jej dotknąć. Co to za rączka, pomyślała, której nie można wziąć do ręki? Trzymając oparzoną dłoń pod zimną wodą z kranu, za ten wypadek też obarczyła winą swojego pisarza. Ezra zadzwonił jednak teraz zaledwie po trzech dniach. Telefonował z namiotu, opisywał jej zmieniające kolor drzewa, dzikie indyki telepiące się na jego podjeździe i mandarynkowy blask słońca, które zachodziło za należącym do niego sześćcioakrowym lasem. Zadzwonił szybko raz jeszcze, już dwa dni później, i trzymał telefon tak, żeby usłyszała kraczącą wronę, szelest poruszanych wiatrem liści, a potem – nic.

– Nic nie słyszę – roześmiała się.

– No właśnie – odpowiedział. – Jest cisza. Boska cisza.

Zrobiło się już jednak za zimno, żeby korzystać z basenu, poza tym miał w kalendarzu jakieś kłopotliwe naprawy hydrauliczne, więc pozostanie tu jeszcze tylko mniej więcej tydzień, a potem już na dobre wróci do miasta.

Przywiózł ze sobą stary polaroid SX-70.

– Sprawdźmy – oświadczył, obracając go w dłoniach – czy jeszcze pamiętam, jak to się obsługuje.

Zrobili dziesięć zdjęć, w tym jedno – tylko jedno – jemu, pokazujące go, jak leży na boku w którejś z tych swoich koszulek od Calvina Kleina i z niezwykle praktycznym zegarkiem na ręce, bo poza tym nic więcej na sobie nie miał. Obok na łóżku leżały dwa koncentryczne, wachlarzowate półkola dziewięciu zrobionych wcześniej fotografii: opalizujące na brzegach ciemne brązowe kształty wyłaniały się z nicości jak z oświetlonej słońcem rzeki. Prawdę mówiąc, im wyraźniejsze stawały się zdjęcia, tym bardziej blakła przyjemność ich robienia, i kiedy Alice wstała, żeby pójść do łazienki, Ezra wsunął wszystkie dziesięć fotek do przegródki w jej torebce. Potem obejrzeli *Panów w cylindrach* z Ginger Rogers i Fredem Astaire'em, a Ezra umył zęby, nucąc cicho *Cheek to Cheek*. Znalazła fotografie dopiero rano w windzie, kiedy sięgnęła po klucze: starannie ułożony kwadratowy pakiecik, ciasno spięty jedną z jej gumek do włosów.

Po powrocie do domu ułożyła zdjęcia na łóżku w kilku kolumnach, trochę jak karty do pasjansa. Na jednym polaroidzie jej skóra przypominała kolorem rozwodnione mleko i była za cienka, żeby ukryć żyłki na ramionach i piersiach. Na drugim policzki i uszy Alice pokrywał karmazynowy rumieniec, a budynek Chryslera widoczny ponad porcelanowym skosem jej barku wyglądał niczym małeńki płomień białego złota. Na trzecim wspierała głowę na męskim udzie, jedno oko – to widoczne na zdjęciu – miała zamknięte, a palce Ezry unosiły jej włosy, żeby nie zasłaniały twarzy. Na czwartym prezentowała pełne, wysoko podniesione, gładkie i krągłe piersi, które podtrzymywała obiema rękami. Ezra zrobił tę fotografię od dołu, więc żeby patrzeć w obiektyw, Alice musiała spuścić wzrok. Jej włosy, wsunięte za uszy, zwieszały się jak ciężkie blond zasłony wokół policzków. Za długa grzywka, którą przedziałek rozcinał nieco na lewo od środka głowy, sięgała swoją gęstwiną aż do powiek. Był to niemal piękny kadr. Na pewno to zdjęcie najtrudniej przyszło jej pociąć. Problem, pomyślała, polegał na tym, że było takie alicjowate: na fotografiach wyglądała notorycznie młodo, niedorośle, co zawsze ją dziwiło i irytowało.

Małeńkie źrenice Alice lśniły czerwienią niczym odległe światła drogowe.

„NUMER UKRYTY”.

– Och, przepraszam, kochanie, zadzwoniłem do ciebie przez pomyłkę.

„NUMER UKRYTY”.

„Numer ukryty”.

„Numer ukryty”.

– Mary-Alice, nadal chcę się z tobą spotkać dziś wieczorem, ale czy mogłabyś najpierw pojechać do Zabar’s i kupić słoik konfitur Tiptree... Konfitury Tiptree... T-I-P-T-R-E-E, ta firma robi też galaretki... Tylko nie

bierz pierwszego lepszego smaku, ale Little Scarlet, najdroższe, jakie mają. Kosztują około stu dolarów za słoik, a to dlatego, że robią je z takich małych dziewczynek jak ty. Czyli tak: słoik konfitur Little Scarlet firmy Tiptree, słoik najlepszego masła orzechowego, jakie znajdziesz, i bochenek rosyjskiego pumpernika, niekrojony. I masz je przywieźć tutaj!

– *Capitana!*

Kolejne prezenty: arkusz znaczków po trzydzieści siedem centów za sztukę, po jednym na każdy stan, zaprojektowany tak, że przypominał starą kartkę pocztową z pozdrowieniami.

Płyta kompaktowa z nagraniem koncertu Elgara na wiolonczelę w wykonaniu Yo-Yo Ma i Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej.

Torebka jabłek Honeycrisp. („Będzie ci potrzebny śliniaczek”).

A jemu była potrzebna proteza naczyniowa, stent. Małeńka siatkowa rurka, wszczepiana w zwężającą się arterię, żeby ją rozszerzyć i przywrócić pełny przepływ krwi. Prosty zabieg. Robiono mu go już siedmiokrotnie. Nie dostajesz narkozy ogólnej, tylko znieczulenie miejscowe tam, gdzie wszczepiają stent. Nadziewają go na kateter, wpychają gdzie trzeba, a potem nadmuchują niczym małeńki balonik, żeby się rozszerzył jak lotka do badmintonu, i... voilà. Trwa to około godziny, mniej więcej. Do szpitala pojedzie z nim przyjaciel. Jeśli Alice chce, to poprosi go, żeby do niej zadzwonił, jak będzie po wszystkim.

– Tak, proszę.

Mimo tych wszystkich zapewnień popadł w przygnębienie. A Alice nie bez pewnej przyjemności poczuła, że w zaistniałych dramatycznych okolicznościach los wystawia ją na próbę.

– Oczywiście – powiedziała – wszyscy mamy się czego bać. Ja na przykład mogę dostać raka. A ciebie na ulicy mógłby jutro...

Zamknął oczy i podniósł rękę.

– Wiem, już to gdzieś słyszałem, mogę wpaść pod autobus.

W dniu zabiegu wróciła do domu z pracy i włączyła płytę Elgara. Muzyka była strasznie piękna, płaczliwa i nagła, i zwłaszcza na

początku doskonale współgrała z jej nastrojem. Ale dwadzieścia minut później subtelnie piłowana bez przerwy wiolonczela grała dalej jakby poza Alice, obojętna na jej wewnętrzne napięcie. Wreszcie o dziewiątej czterdzieści zabrzączał telefon komórkowy i na ekranie wyświetlił się nieznany numer. Mężczyzna o nieokreślonym akcencie zapewnił ją beznamiętnie, że zabieg wprawdzie się opóźnił, ale przebiegł bez zakłóceń; Ezra pozostanie na noc w szpitalu, żeby lekarze mogli mieć go pod obserwacją i dopilnować jeszcze kilku spraw, ale poza tym wszystko poszło dobrze, zupełnie dobrze.

- Dziękuję bardzo – powiedziała Alice.
- Bardzo proszę – odparł przyjaciel Ezry.

TEN JEGO PRZYJACIEL MÓWIŁ o niej „Brzdąc”. Powiedział na przykład: „Zadzwoń do Brzdąca”. Ezra uważał, że to zabawne. Alice kręciła głową.

Przez pewien czas po zabiegu pozostawał w dobrym nastroju. Stent zrobił swoje. Wytwórnia Paramount chciała wyprodukować film na podstawie jednej z jego książek. Do roli głównej zaangażowano laureatkę wielu prestiżowych nagród, a Ezra miał pełnić na planie funkcję konsultanta. Pewnego ranka zadzwonił do niej nieco później niż zwykle – wyszła już spod prysznica i ubierała się do pracy – i powiedział:

- Zgadnij, kto mnie odwiedził wczoraj wieczorem.
- Zgadła.
- Skąd wiedziałaś?
- A mógł to być ktoś inny?
- Mniejsza z tym. W każdym razie nie zerżnąłem jej.
- Dziękuję.
- Wydaje mi się, że nie była szczególnie zachwycona moim spodeczkiem, na który odkładałam drobne.
- Ani nawilżaczem powietrza.
- Zrobili więcej zdjęć.

– Na tym – powiedziała Alice – wyglądam jak mój ojciec. – Roześmiała się. – Brakuje mi tylko colta .45.

– Twój ojciec ma broń?

– Dużo różnej broni.

– Po co?

– Na wypadek rewolucji.

Ezra zmarszczył brwi.

– Kochanie – odezwał się później, smarując kromkę chleba konfiturami Little Scarlet. – A czy kiedy go odwiedzasz, to ta broń... Po prostu tak leży na wierzchu?

Odpowiedziała, oblizując swój kciuk z galaretki:

– Nie, trzyma ją w sejfie, ale od czasu do czasu wyciągamy jakiś rewolwer i idziemy ćwiczyć strzelanie do tykwy, opartej o starą zmywarkę na podwórku za domem.

Czytała listy od jego wielbicieli, które przesłał mu agent, kiedy Ezra wsunął głowę do szafy i powiedział coś, czego nie usłyszała.

– Co?

– Pytałem – powtórzył, odwracając się – czy nie masz cieplejszego płaszcza? Nie możesz przez całą zimę chodzić w czymś takim. Musisz mieć coś z podpinką, z gęsim puchem. I kapturem.

Kilka wieczorów później podsunął jej drugą kopertę.

– Searle – powiedział. – S-E-A-R-L-E. Róg Siedemdziesiątej Dziewiątej i Madison. Mają dokładnie to, czego potrzebujesz.

Nylonowa tkanina chrzęściła luksusowo, a kaptur okalał twarz Alice czarną aureolą futra. Jakby chodziła w śpiworze obszytym norkami. Czekać na autobus, poczuła się dopieszczona i niewyciężona – a także rozgorączkowana miastem, które każdego dnia było jak rosnąca pula na loterii, czekająca na to, żeby ktoś ją wygrał. Później, kiedy w pośpiechu wbiegała po schodach do swojej kamienicy, poślizgnęła się, zatrzepotała rękami, by złapać równowagę, uderzyła grzbietem dłoni o żelazną poręcz i przeszył ją rozdzierający ból. Mimo to pojechała do Ezry i przez cały wieczór ukrywała pulsujące łapsko między kolanami,

a kiedy już wylądowali w łóżku, trzymała je z boku, jak gdyby dopiero co pomalowała paznokcie i nie chciała, żeby rozmazał się lakier.

Rankiem dłoń zrobiła się granatowa.

Czekała cały dzień w domu, aż opuchlizna zejdzie, ale w końcu się poddała i zeszła na dół, żeby złapać taksówkę i pojechać na pogotowie. Kierowca zawiózł ją do Hell's Kitchen, gdzie przez dwie godziny siedziała w poczekalni, pełnej pijusów i bezdomnych symulujących psychozę, byle tylko znaleźć się w cieple, pod dachem. Dopiero około dziesiątej internista wywołał jej nazwisko, posadził ją na leżance, przeciął pierścionek po prababci Alice, żeby go zdjąć ze spuchniętego środkowego palca, i opukał kolejno kłykie pacjentki, sprawdzając, gdzie ją boli.

– Tutaj – syknęła. – Tutaj!

Kiedy przynieśli już wywołane zdjęcie rentgenowskie, lekarz podniósł je pod światło i wskazał palcem:

– Pęknięcie. Śródręcza...

Skinęła głową; przewróciła oczami, przez chwilę chwiała się na boki, a później powoli pochyliła naprzód i w bok niby porzucona marionetka. Odbyla wielomilową wędrówkę do dalekich krajów o barbarzyńskich zwyczajach, gdzie obowiązywała obłąkana logika; poznawała towarzyszy podróży i traciła ich, mówiła językami, których wcześniej nie знаła, uczyła się i oduczwała trudnych prawd. Gdy się ocknęła kilka minut później, walcząc z wywołującym mdłości prądem wstecznym, który wydawał się ją wciągać do wnętrza Ziemi, dosłyszała odległe popiskiwanie urządzeń, poczuła tarcie jakichś rurek w obu dziurkach od nosa i zorientowała się, że między pytaniami, które jej zadają, a udzielanymi przez nią odpowiedziami upływa zbyt wiele czasu.

– Uderzyła się pani w głowę?

– Ugryzła się pani w język?

– Popuściła pani w majtki?

Na jej spodniach od dresu widniała mokra plama, bo ktoś podał Alice wodę w papierowym kubeczku i rozlała ją.

– Będzie pani musiała skontaktować się z chirurgiem jak najszybciej, w poniedziałek rano – stwierdził mocno zajęty internista. – Ma pani do

kogo zadzwonić, żeby po panią przyjechał?

– Tak – szepnęła.

Dochodziła północ, kiedy wyszła ze szpitala w świeżą zadymkę, grube płatki śniegu pospiesznie sfruwały z nieba pod ostrym kątem. Podtrzymując obolałą rękę ostrożnie jak skorupkę jajka, poszła na róg ulicy, rozejrzała się na lewo i prawo, a potem jeszcze raz, w poszukiwaniu taksówki.

„Numer ukryty”.

– Halo?!

– Chciałem tylko, żebyś posłuchała, co wyprawia mój nawilzacz...

– Ezro, a niech to, złamałam rękę!

– O Boże. Jak to się stało? Boli cię?

– Tak.

– Gdzie jesteś?

– Na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej i Columbus.

– Możesz złapać taksówkę?

– Właśnie próbuję!

Kiedy przyjechała, miał na sobie długie kalessy z czarnego jedwabiu i plaster opatrunkowy na czole.

– Co ci się stało?

– Usuwali mi znamię. A tobie?

– Poślizgnęłam się na schodach przed domem.

– Kiedy?

– Dzisiaj rano – skłamała.

– Były oblodzone?

– Tak.

– To możesz podać administrację do sądu.

Pokręciła głową ze smutkiem.

– Nie chcę nikogo skarżyć.

– Kochanie, najlepszy facet od rąk w Nowym Jorku nazywa się Ira Obstbaum. O-B-S-T-B-A-U-M. Pracuje w szpitalu Mount Sinai i jeżeli chcesz, zadzwonię do niego jutro i poproszę, żeby cię przyjął. Okej?

– Okej.

– A tymczasem zażyj ten środek przeciwbólowy. Będziesz mogła zasnąć?

– Chyba tak.

– Odważna z ciebie dziewczyna. Przeżyłaś szok. Pamiętaj jedno: „Jestem tutaj, czuję się dobrze, mam swoje ciepłe i wygodne łóżko”.

Zaczęła płakać.

– Skarbie, nie musisz płakać.

– Wiem.

– Więc dlaczego płaczesz?

– Przepraszam. Jesteś dla mnie taki dobry.

– Zrobiłabyś dla mnie to samo.

Skinęła głową.

– Wiem. Przepraszam.

– Kochanie, nie powtarzaj ciągle, że przepraszasz. Następnym razem, jak będziesz miała ochotę powiedzieć „przepraszam”, powiedz „spierdalaj”. Okej?

– Okej.

– Rozumiesz?

– Aha.

– No więc?

Pociągnęła nosem.

– Spierdalaj – odezwała się słabo.

– Grzeczna dziewczynka.

Połknęła tabletki i usiadła na brzeжку łóżka, wciąż w płaszczu. Ezra z nogą założoną na nogę siedział na fotelu, poruszał głową w bok i obserwował Alice z ponurą miną.

– Zaczynają działać po jakichś czterdziestu pięciu minutach – powiedział, zerkając na zegarek.

– Chcesz, żebym została?

– Oczywiście, proszę bardzo. A może byś coś zjadła? Mamy mus jabłkowy, bajgle, serek z tofu z cebulką i sok pomarańczowy Tropicana

„z dużą ilością mięszu”.

Wstał, żeby podgrzać jej w tosterze przepołowionego bajgla, a potem patrzył, jak dziewczyna je go jedną ręką. Po jedzeniu położyła się tak, by mogła obserwować śnieg, który w świetle balkonu padał teraz spokojniej, ukradkowo i równo niczym armia spadochroniarskich intruzów. Ezra wrócił na fotel i wziął książkę. Ciszę trzykrotnie przerywał szelest odwracanej stronicy; potem Alice dostała leciutkich dreszczy, a w brzuchu poczuła coś jakby kojące bąbelki.

– Oho.

Ezra spojrział na zegarek.

– Działa?

– Mm-hmmmmmm...

Zadzwoił do Obstbauma. Zawiózł ją taksówką do szpitala. W Zingone's załatwił jej dostawę produktów spożywczych do domu dwa razy w tygodniu przez półtora miesiąca.

Zrobił kilka zdjęć Alice z ręką w gipsie.

– Kocham cię – zamruczała.

– Kochasz vicodin, nie mnie. Zabrakło nam kliszy.

Podszedł do szafy.

– Co tam masz?

– Nie powinno cię to interesować.

– Ale interesuje.

– Więcej dziewczyn. Związanych.

– Ile?

– Trzy.

– Jak się nazywają?

– Katie...

– Nie – odparła Alice. – Niech zgadnę. Katie i... Emily? Jest tam też Emily?

– No.

– I Miranda?

– Owszem.

– Te dziewczuszka naprawdę są niepoprawne.

– Niepoprawne – powtórzył, jak gdyby Alice wymyśliła to słowo.

Gips był ciężki. Kiedy nie miała nic na sobie, wydawał się jeszcze cięższy. Przewróciła się na brzuch i przeciągnęła jak kot o trzech łapach. Potem dźwignęła się na kolana, wygięła grzbiet i boki, pokręciła głową i uśmiechnęła się szeroko i nikczemnie.

– Co?

Odpowiedziała, podchodząc w jego stronę na czworakach:

– Zróbmy coś strasznego.

Aż się lekko cofnął.

– Mary-Alice, w życiu nie wystąpiłaś z mądrzejszą propozycją.

SIEDZIELI W OSTATNIM RZĘDZIE, żeby nie rzucać się w oczy, ale także dlatego, żeby mógł wstać i rozprostować plecy, gdyby musiał to zrobić; okazało się jednak, że nie musiał. Poszli na przedpołudniowy sobotni seans i w kinie roilo się od dzieci, a kiedy jakiś wyjątkowo podekscytowany mały widz rozsypał mu popkorn na rękaw, zaczęła się martwić, czy się nie rozmyśli i nie będzie chciał wyjść. Ale potem Harpo przypalił sobie cygaro palnikiem acetylenowym, a Groucho podał komuś kapelusz przez „lustro”, i to niepohamowany śmiech Ezry, który aż odrzucił głowę do tyłu, dźwięczał najgłośniej na sali. Pod koniec filmu, kiedy Freedonia wypowiada wojnę Sylvanii i bracia kołyszą biodrami, śpiewając „Wszystkie boże dzieci noszą broń”, Ezra wyciągnął z kieszeni plastikowy pistolet na wodę i dyskretnie psiknął Alice pod zebro.

„Idziemy na wojnę!”, śpiewali, wracając Broadwayem wśród kolorowych świateł, malowanych temperami zasp śnieżnych i ciasno związanych drzewek bożonarodzeniowych, przypominających cyprysy. „Hej, hej, hej, hej, hej, hej, hej HOP!” W sklepie rybnym, cisnąc się z innymi klientami przed oszkloną ladą, przyglądali się wędzonym rybom, marynowanemu językowi jesiotra i taramosalacie, patrząc na nie jak na noworodki na oddziale położniczym. Alice wskazała ser,

opatrzone napisem „Dobrze się rozsmarowuje”, i gwizdnęła z udawanym podziwem. Gdy przyszła jego kolej, Ezra uniósł palec i zamówił:

– Dwa kawałki ryby w galarecie, chrzan, pół funta wędzonego łososia i... a co, do diabła? Dwie uncje najlepszego kawioru z wioślonosa dla panny Eileen.

– Pomyłka – powiedziała Alice.

Odwrócił się i zmierzył ją spokojnym spojrzeniem. Potem, cmokając i kręcąc głową, powiedział:

– Przepraszam cię, skarbie. Ty przecież nie jesteś Eileen.

„NUMER UKRYTY”.

– Halo?

– Dobry wieczór. Czy mógłbym mówić z Mirandą?

– Nie ma jej.

– A gdzie jest?

– W więzieniu.

– A z Emily?

– Emily też siedzi w więzieniu.

– Za co?

– Nie powinno cię to interesować.

– A ta, no...

– Katie?

– Tak. Katie. Katharine.

– Jest. Chcesz z nią rozmawiać?

– Poproszę.

– ...Halo?

– Cześć. Katie? Mówi pan Zipperstein. Ze szkoły.

– Och, siemana, panie Zipperstein.

– Siemana. Co u ciebie?

- W porządku.
- To dobrze. Słuchaj. Telefonuję, żeby zapytać, czy miałabyś ochotę pouczyć się u mnie w domu wieczorem chociaż raz w tym tygodniu.
- Okej.
- Chciałabyś?
- Jasne.
- Jutro?
- O kurka. Jutro nie mogę. Mam lekcję gry na pianinie.
- W czwartek?
- Zajęcia plastyczne.
- A potem? Po zajęciach?
- W czwartek wieczorem nakrywam u nas do stołu, wypada moja kolej.
- Rozmawiałem o tym z twoją mamą. Powiedziała, że będziesz mogła za to nakryć do stołu dwa razy w piątek.
- Okej.
- No to czwartek o wpół do siódmej?
- Jasne.
- Przypomnij mi, z którą z was rozmawiam.
- Z Katie.
- Tylko nie daj się zapuszkować, Katie.
- Tak jest, panie Zippersztajn.
- Zippersztin.
- Zippersztin.
- Grzeczna dziewczynka.

„Noreczko, moja słodka kurewko, zrobiłem, jak mi kazałaś, ty świntuszko, i czytając twój list, dwa razy zwałem konia [...]. Tak, teraz sobie przypominam tę noc, kiedy pierdoliłem cię tak długo w tyłek [...]. Miałas tej nocy dupsko pełne pierdów, skarbie, a ja je wszystkie z ciebie wyjebałem, duże i potężne, świszczące i ciche, szybkie, krótkie, wesołe przyknięcia i dużo takich malutkich,

niegrzecznych bączków, kończących się przeciągłym powiewem z twojej dziury. Cudownie jest ruchać pierdzącą kobietę, kiedy każde pchnięcie wyciska z niej pierdy. Chyba wszędzie poznałbym bąki mojej Nory”^[7].

– Obrzydliwość – powiedziała Alice.

Opuścił książkę i posłał jej matowe, obrażone spojrzenie. Alice słodko wślizgnęła się pod kołdrę i krzątała się tam pracowicie, aż wreszcie Ezra się spuścił jak słabo ciekący kran.

Przysnęli.

Kiedy jego zegarek wybuczał ósmą, jęknęła i powiedziała szeptem:

– Muszę już iść.

Ciepło i łagodnie skinął głową, nie otwierając oczu.

Usiadła przy stole, żeby zapiąć buty.

– Znasz tego bezdomnego? Tego, który stoi przed Zabar’s i nawet w lecie ma na sobie sto płaszczy?

– Mm-hmm.

– Czy to ty kupiłeś mu je wszystkie?

– No.

– A jak myślisz, zwariował, zanim stał się bezdomny, czy odwrotnie?

Zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie sentymentalizuj tego faceta.

– Co masz na myśli?

– Nie lituj się nad nim. Nie bądź dla niego za bardzo empatyczna. Daje sobie radę.

W łazience wypłukała usta, uczesała się i zawiązała nitkę dentystyczną na kokardkę wokół sztucznego penisa stojącego na umywalkowej szafce. Potem wyszła.

Kiedy zbiegała ze schodów swojej kamienicy:

– Dzień dobry, kochanie! Ładnie dzisiaj wyglądasz. Powiedz mi, masz już chłopaka?

– Jeszcze nie, Anno! Jeszcze nie.

NA ŚWIĘTA WYJEŻDZAŁ NA WYSPĘ. Alice wybrała się pociągiem w odwiedziny do matki, której, jak później przyznała, nie sposób było nie sentymentalizować, i wróciła na sylwestrową kolację do kolegi z pracy. Oberżyna była twarda, risotto przesolone, a potem wszyscy upili się tanim winem musującym i wypisywali różne głupstwa na jej gipsie.

– Jakieś postanowienia noworoczne? – spytała chłopaka, który leżał obok niej jak kłoda. Ktoś powiedział Alice, że ten chłopak na wiosnę wydaje tomik wierszy.

– Pewnie – odparł, prostując nogę i przeczesując palcami długie kręcone włosy. – Ilość i jakość.

Na stacji metra Union Square dziewczyna w złotych cekinach wymiotowała na tory, a jej znajomi robili zdjęcia i śmiali się.

Kiedy wrócił Ezra, otworzyli szampana – prawdziwego – i zjedli bułgarski kawior od Murraya. Przywiózł jej też pudełko pączków z galaretką z Shelter Island Bake Shop i zestaw ośmiu płyt kompaktowych z nagraniami największych standardów romantycznych, pod tytułem *They're Playing Our Song*.

– Są jakieś, których nie znasz?

– *My Heart Stood Still*?

Ezra skinął głową, rozparł się na krześle i odetchnął głęboko. *I took one look at you, that's all I meant to do / And then my heart stood still...*^[8]

– *September Song*?

Kolejny głęboki oddech. *For it's a long, long while from May to December / But the days grow short when you reach September...*^[9]

Miał ładny głos, ale zniekształcał go dla zgrywy. Alice uśmiechnęła się do swojego pączka. Ezra zachichotał cicho i potarł się po szczęce.

– Masz galaretkę na buzi – powiedział.

– Ezro – odezwała się chwilę później, podsuwając mu talerze w kuchni. – Chyba nie będę mogła tego dzisiaj zrobić.

– Ja też nie, kochanie. Chcę tylko się z tobą położyć.

Na łóżku nie mogła znaleźć odpowiedniego miejsca, gdzie udałoby się jej oprzeć tkwiącą wciąż w gipsie rękę.

– Kiedy ci to zdejmą?

– W środę rano.

– To może wpadniesz potem, przygotuję ci lunch, okej?

– Okej. Dziękuję.

– Jak tam w pracy?

– Co?

– Pytałem, jak w pracy, skarbie.

– Och, no wiesz. Nie jest to coś, co bym chciała robić do końca życia, ale może być.

– A co byś chciała robić do końca życia?

– Nie wiem – zaśmiała się cicho. – Mieszkać w Europie.

– Dobrze ci płacą?

– Jak na mój wiek.

– Masz dużo obowiązków?

– Pewnie. A moja bezpośrednia zwierzchniczka idzie w przyszłym miesiącu na urlop macierzyński, więc wkrótce przejmę też jej obowiązki.

– Ile ma lat?

– Jest chyba po trzydziestce.

– Chcesz mieć dzieci?

– Och, nie wiem. Nie wiem. Nie teraz.

Skinął głową.

– Moja kochana Eileen doszła do czterdziestki i wtedy zachciało jej się dziecka ze mną. Bałem się ją stracić, więc bardzo poważnie się nad tym zastanawiałem. I niewiele brakowało, żebym się zgodził. Ale cholernie się cieszę, że się nie zgodziłem.

– Co się stało?

– Rozeszliśmy się, rozstanie było bardzo trudne i zajęło sporo czasu, ale Eileen znalazła sobie innego faceta, niejakiego Edwina Wu. I wychowują teraz małych Kyle’a i Oliwię Wu, te dzieciaki są chodzącym urokiem, chłopczyk ma cztery lata, a dziewczynka sześć.

Odplynęli w sen, chociaż Ezra nie zrobił swoich stu rzeczy. Alice parsknęła.

– Co?

– Pomyślałam o swojej babci, tej, która lubi bejsbol i ma na imię Elaine, i dziadku, który był alkoholikiem... Jak dziadek się oświadczał, to był tak pijany, że zapytał: „Wyjdiesz za mnie, Eileen?”. – Roześmiała się.

Ramię, którym obejmował ją Ezra, zeszywniało.

– Och, Mary-Alice. Słodka Mary-Alice! Chcę, żebyś odniosła sukces. Wiesz o tym?

Podniosła głowę, by na niego spojrzeć.

– Czemu miałoby mi się nie udać?

Przesunął dłonią po oczach, palce mu drżały.

– Boję się, że w twoim życiu pojawi się jakiś mężczyzna i popierdoli ci w głowie.

WIECZOREM PRZED JEGO URODZINAMI zjedli pralinkową tartę i oglądali, jak prezydent ogłasza inwazję.

„W tym konflikcie Ameryka stoi oko w oko z przeciwnikiem nie liczącym się z konwencjami wojennymi ani zasadami moralności... Przybywamy do Iraku z szacunkiem wobec jego obywateli, z szacunkiem dla jego wspaniałej cywilizacji i dla wielu wyznawanych w tym kraju religii. Nie kierują nami żadne inne chęci niż zlikwidowanie zagrożenia i przywrócenie narodowi irackiemu kontroli nad własnym krajem”.

– On jest okropnie głupi – stwierdziła Alice, kręcąc głową.

– To mnie zabije – powiedział Ezra, dźgając tartę widelcem.

Podarowała mu rzemyk do okularów do czytania. On podarował jej kolejny tysiąc dolarów na zakupy u Searle'a. Następnego dnia przyjaciel Ezry wydawał przyjęcie na jego cześć, na które Alice nie została zaproszona.

– Ten sam, który mówi na mnie „Brzdąc”.

Starał się powstrzymać uśmiech.

– Nie wie, że na takich przyjęciach dzieci siedzą przy osobnym stole?

– Nie miałabyś ochoty uczestniczyć w takiej imprezie, skarbie. Ja też nie mam na to ochoty. Poza tym to ty wolisz, żeby ludzie o nas nie wiedzieli. I to ty wolisz nie trafić do takiej bulwarówki jak Page Six.

Plecy mniej go bolały. Książka szła mu dobrze. Miał apetyt na chińszczyznę.

– Raz krewetki w sosie homarowym, raz brokuły z orzechami nerkowca, raz siekany kurczak i... Mary-Alice, chcesz piwo? ...Dwie butelki Tsingtao... Tak. Och, nie, były chyba raz krewetki, raz brokuły, raz siekany kurczak i... Tak jest. Dwa razy sing-sow. Sing-tow. Tak. Właśnie. Ching-dow. – Bezradnie uderzył się ręką w czoło i roześmiał. Głos w słuchawce zrobił się oburzony. – Nie! – powiedział Ezra. – Śmieję się ze swojej wymowy!

Rozłączył się.

– Czterdzieści minut. Co będziemy robić?

– Weźmiemy po vicodinie?

– Już braliśmy.

Alice westchnęła i rzuciła się plecami na łóżko.

– Och, szkoda, że nie transmitują żadnego meczu besjbolowego!

– Och, zapłacisz mi za to, ty dziwko...

Opowiadał jej właśnie o pewnej pięknej palestyńskiej dziennikarce, która była na przyjęciu i chciała zrobić z nim wywiad, gdy Alice zmarszczyła brwi i podniosła głowę z jego piersi.

– Oho.

– Co?

– Twoje serce dziwnie się zachowuje.

– Co to znaczy „dziwnie”?

– Ćśśś.

Uniósł brwi, spojrzał na nią i czekał. Znów podniosła głowę.

– Uderza trzy razy, potem się zatrzymuje, uderza cztery razy, zatrzymuje się, i znowu bije trzy razy i się zatrzymuje.

– Jesteś pewna?

– Chyba tak.

– Hmm. Może powinienem zadzwonić do Pransky'ego.

– Kto to jest Pransky? Najlepszy facet od serca w Nowym Jorku?

– Mądralińska, możesz mi podać telefon i ten czarny notesik?

Pransky zgodził się przyjąć go rano i nie znalazł nic złego, ale na wszelki wypadek postanowił wszczepić mu defibrylator. Tym razem czekała na wieści od Ezry w pracy, gdzie prowadziła rozmowę kwalifikacyjną w sprawie stażu z opiekunką do dzieci córki swojej szefowej.

– No to skąd znasz Rogera?

– Jest sąsiadem mojego wujka w East Hampton.

– A co robi twój wujek?

– Pracuje, znaczy tego, w ubezpieczeniach.

– Ale ty wolisz branżę wydawniczą.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Lubię czytać.

– Jakich autorów?

„Numer ukryty”.

– ...Chce pani, żebym wyszła?

– Nie, nie ma takiej potrzeby.

– Okej. No... Ann Beattie i... – „Numer ukryty”. – Na pewno?

– Na pewno, nie martw się. Ann Beattie i kogo jeszcze?

– Julię Glass. Właśnie skończyłam *Trzy czerwce*, to kapitalna książka.

– Mm-hmm. Kogoś jeszcze?

Dziewczyna odwróciła się, żeby popatrzeć na czyściciela okien, który zsuwał się po linie wzdłuż ściany budynku po drugiej stronie ulicy. Po

kilku sekundach pociągnęła nosem i podniosła obciążoną bransoletami rękę, żeby podrapać się w nos.

Piip!

– Och! – odezwała się, odwracając się znów do Alice. – I uwielbiam Ezrę Blazera.

– **JAK SIĘ Z TYM CZUJESZ?**

– Jakbym nosił w piersi zapalniczkę.

– Faktycznie, tak to wygląda.

Siedział na sedesie i przyglądał się z uwagą, jak Alice wyżyma myjkę i przeciera mu szwy, kończące się zaledwie o cal od miejsca, które przecinało pięć szram po bajpasach. Kłująca czarna nitka znikwała pod skórą Ezry i wylaniała się z niej jak drut kolczasty.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytała Alice. – Żeby tak je moczyć...

– Bzzzzzzzzzzzt! – odpowiedział, aż podskoczyła.

Wieczorem w dniu pierwszego meczu pomiędzy Bostonem i Yankees poszli do restauracji Il Bacio, którą Ezra nazywał jednak „Klopsikiem”.

– Jedzenie jest tu do dupy – oświadczył wesoło, otwierając kartę dań – ale nie możemy siedzieć ciągle w tym naszym pokoiku, wiesz? – Podał jej pod stołem buteleczkę płynu odkażającego do rąk.

– Poproszę łososa – Alice zwróciła się do kelnera, wciąż wycierając dłonie.

– A ja spaghetti z małżami, tylko bez małży. I dietetyczną colę. I... Mary-Alice, chcesz kieliszek wina? Kieliszek białego wina dla pani.

Do ich stolika podeszła jakaś kobieta w fuksjowym spodniem, z egzaltacją wymachując rękami.

– Najmocniej przepraszam. Mój mąż mówi, że to wstyd tak zaczepiać ludzi, ale ja po prostu musiałam panu powiedzieć, jak wiele znaczą dla nas pańskie książki.

– Dziękuję.

– Na moim stoliku nocnym leżą w tej chwili aż dwie.

- Bardzo mi miło.
- A pani – dodała kobieta, zwracając się do Alice – jest bardzo ładna.
- Dziękuję – odparła Alice.

Kiedy nieznajoma odeszła, przyglądali się sobie bojaźliwie. Ezra oparł się łokciami o stół. Masował sobie dłonie.

– No więc tak, Mary-Alice... – Kelner przyniósł napoje. – Pomyślałem, że może przyjechałabyś mnie odwiedzić na wsi tego lata.

- Naprawdę?
- Jeśli chcesz.
- Pewnie, że tak.

Skinął głową.

– W piątek po pracy możesz wsiąść w pociąg do Greenport, potem złapać prom, a później Clete albo ja przyjedziemy po ciebie.

- Och, byłoby cudownie. Dziękuję.
- Albo weź wolne w piątek.
- To brzmi cudownie. Wezmę.

Znowu skinął głową, choć już wydawał się żałować tego pomysłu.

– Ale posłuchaj, kochanie. Będziemy tam głównie sami, chociaż jest Clete i kilka innych osób, które przyjeżdżają strzyc trawnik i robić różne inne rzeczy, sugerowałbym więc, żebyśmy podjęli odpowiednie środki ostrożności i dali ci jakiś alias.

- Co?
- Inne imię.
- Wiem, co znaczy alias. Ale po co?

– Bo ludzie plotkują, wiesz? Więc na czas pobytu na wsi nadamy ci inne imię, a jeśli ktoś będzie pytał, powiemy, że pomagasz mi w zbieraniu dokumentacji, i w ten sposób, gdyby ktoś się rozgadał, a na pewno do tego dojdzie, nie będziesz musiała się martwić, że plotka dotrze też do ciebie do pracy.

- Mówisz poważnie?
- Śmiertelnie.
- No, okej. A wymyśliłeś dla mnie jakieś nazwisko?

Odchylił się do tyłu i splótł ręce na stole.

– Samantha Bargeman.

Zaczęła się śmiać tak gwałtownie, że musiała odstawić kieliszek.

– A skąd je wytrzasnąłeś?

– Wymyśliłem. – Wytarł palce w serwetkę i wyciągnął wizytówkę z kieszeni koszuli:

SAMANTHA BARGEMAN

Asystentka redaktorska i merytoryczna Ezry Blazera

– Ale nie ma numeru. Widziałeś kiedyś wizytówkę bez numeru telefonu?

– Skarbie, chyba nie chcesz, żeby ktoś rzeczywiście do ciebie zadzwonił.

– Wiem, tylko... chodzi mi o wiarygodność. Kto uwierzy, że to naprawdę moja wizytówka?

Niezbity z tropu Ezra osunął się na oparcie krzesła, żeby zmieścić się przed nim talerz ze spaghetti. Sięgnął po widelec.

– Dobrze – zaśmiała się. – Czy wiesz...? Kiedy myślałeś, żeby...?

– Może w lipcu. Może w weekend około czwartego lipca. Zobaczymy.

Wieczorem, nie licząc reszty wizytówek – w liczbie dwustu sztuk, wydrukowanych na twardym papierze koloru masła i zapakowanych w ciasne wrzosowo-szare pudełko – dał jej:

Sześć zielonych brzoskwiń.

Katalog Vermont Country Store, z którego kazał jej zamówić kleiste karmelowe irysy Walnettos i wszystko, na co poza tym miałyby ochotę, na jego koszt.

Piętnaście banknotów studolarowych, zawiniętych w liniowany papier, na którym napisał czerwonym markerem: WIESZ, DOKĄD MASZ Z TYM PÓJŚĆ.

„W TYM TYGODNIU Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił historyczną ustawę, która wzmacnia i unowocześnia publiczną służbę zdrowia. Dzięki prawu, zatwierdzonemu w Izbie Reprezentantów i w Senacie, amerykańscy seniorzy po raz pierwszy w trzydziestoosmioletniej historii Medicare mogą liczyć na refundację leków przepisywanych na receptę. Podejmujemy tego rodzaju działania, gdyż program Medicare nie nadążał za rozwojem współczesnej medycyny. Został opracowany w latach sześćdziesiątych XX wieku, w czasach, gdy pacjenci często wymagali hospitalizacji, a terapie lekowe stosowano rzadko. Dziś środki farmaceutyczne i inne rodzaje kuracji mogą zmniejszyć liczbę hospitalizowanych pacjentów, znacznie podnosząc przy tym jakość opieki zdrowotnej. Ponieważ jednak Medicare nie zapewnia refundacji kosztów lekarstw, wielu seniorów musi płacić za nie z własnej kieszeni, co często zmusza ich do dokonywania trudnego wyboru pomiędzy nabyciem potrzebnych medykamentów a ponoszeniem innych niezbędnych wydatków. W styczniu przedłożyłem Kongresowi plan reformy systemu Medicare, zwracając uwagę na to, by umożliwić osobom starszym dostęp do leków refundowanych i zaoferować im ich większy wybór. W naszym ujęciu to wybór jest najważniejszy. Seniorzy muszą mieć możliwość wyboru takich programów opieki zdrowotnej, jakie zaspokoją ich potrzeby. Z chwilą kiedy w ramach Medicare zaczną one ze sobą rywalizować rynkowo, seniorzy zyskają lepsze i tańsze możliwości leczenia. Kongresmeni i inni urzędnicy federalni korzystają już z możliwości takiego wyboru. A jeśli należy się ona prawodawcom, to niewątpliwie również amerykańskim seniorom...”

– Och, zamknij się – mruknęła Alice, wstając, by zmienić rozgłosnię, po czym wróciła do odcinania metek z cenami nowych ciuchów od Searle’a.

Do jej drzwi wejściowych:

Stuk-puk, stuk-puk.

Była to Anna, miała na sobie krzywo zapięty szlafrok, a w wyciągniętej ręce trzymała słój kiszanej kapusty.

– Możesz mi to otworzyć, moja droga?

– ...Proszę bardzo.

- Dziękuję. Jak masz na imię?
- Alice.
- Ładnie. Jesteś mężatką?
- Nie.
- Wydawało mi się, że kogoś u ciebie słyszałam. Masz chłopaka?
- Nie, obawiam się, że nie.

Poza irysami Alice zaznaczyła takie słodczyce, jak: Coconut Watermelon Slices, Mary Janes, Turkish Taffy i gumowate jak dziąsła Toy Army Men Gummy Candy („Coś słodkiego na ząb”). Potem położyła się do łóżka i zasnęła przy włączonym radiu, Camus zsunął się z jej kolan, a długopis, którym podkreślała wybrane fragmenty, pobrudził rękaw jej piżamy tuszem.

„Bo pana kocham – odparł spokojnie Cormery.

Malan w milczeniu przysunął do siebie salaterkę ze schłodzonymi owocami.

– Bo – mówił dalej Cormery – gdy byłem bardzo młody, bardzo głupi i bardzo samotny (pamięta pan, w Algierze?), spojrzał pan na mnie i dyskretnie otworzył przede mną drzwi do wszystkiego, co kocham na tym świecie”^[10].

BOLAŁY JĄ PLECY. Miała obrzmiałe piersi. W pracy opieprzyła tę nową dziewczynę za to, że zbyt wolno opróżniała firmową zmywarkę.

Spod umywalki w łazience wyciągnęła poszarzały od kurzu listek różowego plastiku. Napis w miejscu, gdzie kiedyś tkwiła ostatnia pigułka, głosił: „WT”. Białe pigułki mówią organizmowi, że jest w ciąży; niebieskie, że to były tylko żarty. Trzy lata temu sześć tygodni takich żartów sprawiło, że zrobiła się płaczliwa i drażliwa do obłędu, i dała sobie z nimi spokój. Ale dzisiaj jest starsza – starsza i bardziej wyczulona na możliwość takiej czy innej hormonalnej zasadzki, tym razem będzie więc gotowa na histeryczne myśli i zdoła je wszystkie zracjonalizować.

A zatem: jedna biała pigułka dziś wieczorem, jedna biała jutro, jedna biała w piątek i czwarta w sobotę po lunchu. Dzięki nim, jak sądziła, przejdzie przez weekend bezkrwawo...

„Numer ukryty”.

– Halo?

– Spakowana?

– Już prawie.

– O której masz pociąg?

– Dziewiąta dwanaście.

– Nie uwierzysz, ale znowu czytam *Davida Copperfielda*, nie wiem, który raz w życiu, jest mi potrzebny do książki, i w czwartej linii od góry na stronie sto dwunastej natrafiłem właśnie na słowo „bargeman”^[11].

– Nie.

– Tak! Posłuchaj: „Oznajmił mi, że jego ojciec jest tragarzem, lecz w uroczyste święta chodzi w czarnej aksamitnej czapce w orszaku Lorda Mayora. Oznajmił nadto, że głównym naszym towarzyszem będzie chłopak noszący dziwaczną nazwę: «Mączysty Kartofel»”^[12]. I tak od teraz będę na ciebie mówił, Mary-Alice: Mączysty Kartofel.

– Dobrze.

– Wyobrażasz sobie coś takiego? Że wieczorem przed twoim przyjazdem tutaj znajduję słowo „bargeman”? Jak często można gdzieś trafić na tę nazwę?

– Prawie nigdy.

– Właśnie. Prawie nigdy.

Pociągnęła łyk luxardo.

– Małe ruchanko?

– Jak chcesz.

– Nie, chyba nie powinniśmy. Już późno.

Czekała.

– Kochanie.

– Co?

- Powiedz mi coś.
- Okej.
- Myślisz czasem, że nasz związek nie przynosi ci nic dobrego?
- Wprost przeciwnie – odpowiedziała trochę za głośno. – Myślę, że przynosi mi bardzo dużo dobrego.

Zaśmiał się cicho.

- Zabawna z ciebie dziewczyna, Mary-Alice.
- Na pewno są zabawniejsze.
- Chyba masz rację.
- W każdym razie jestem z tobą szczęśliwa.
- Och, kochanie. Ja z tobą też.

ŚWIATŁO MIGOTAŁO WŚRÓD DRZEW, których liście, kiedy przebiegał je wiatr, wzdychały niczym bogowie po długim, zakrapianym alkoholem lunchu. Powietrze było balsamiczne i słonawe, gdzieś niosło ze sobą powiew gotującej się w słońcu sosnowej żywicy. Alice zanurkowała w wodzie, którą Ezra utrzymywał w temperaturze zbliżonej do temperatury krwi, i pokonawszy pół długości basenu jak torpeda, wynurzyła się, by zrobić trzydzieści nawrotów niespiesznym stylem klasycznym: ugiwała nogi jak żaba, jej ręce niemal się stykały ze sobą, zanim znów rozsuwała je na boki, raz po raz, na końcu do przodu najpierw zawsze wysuwała się prawa, by dotknąć kamiennego brzegu basenu pomiędzy pełzającymi po nim owadami, a lewa zawsze się częściowo zamykała, żeby przed kolejnym nawrotem wytrzeć nos. Były takie dni, kiedy Alice wydawało się, że robi pewne postępy – jak gdyby nie przepływała wciąż tego samego dystansu, tylko jakby wszystkie długości basenu układały się niczym rury jedna za drugą, jedna za drugą, i któregoś dnia miały zaprowadzić ją do celu tak odległego, na jaki wskazywała ich ogromna liczba. Schodząc się niemal ze sobą, a potem rozsuwając, własne ręce przypominały Alice dłonie kuszonego kiedyś modlitwą człowieka, który jednak z czasem odrzucił ją na rzecz innych sposobów wyciszenia się: człowieka wykształconego, wyzwolonego, wybitnie odczytanego. Oświeconego. Szumiała przepompownia.

Wieczorami słuchali płyty *Music for A Weekend to Remember*, która przypominała muzykę puszczaną przez Jonathana, chociaż była jeszcze bardziej sentymentalna, i zabierali talerze do przezroczystego namiotu, a jeśli nadawano jakiś mecz, to do rozświetlonej na różowo izdebki. Na kominku koło szklanej piramidy, rzucającej na ścianę drżące tęcze, stał stary drewniany kalendarz z trzema okienkami z przodu i pokrętlami, przesuwającymi płócienną taśmę w środku, by można było ustawić odpowiedni dzień tygodnia, miesiąc i dzień:

SOBOTA
2
SIERPANIA

Pokręta były blade i gładkie, a Alice, przechodząc koło kominka, nie mogła się oprzeć, żeby leciuteńko nie przekręcić jednego z nich... chociaż nigdy nie ośmieliła się przesunąć soboty do końca, do niedzieli, dwójki do trójki ani sierpnia do września, bo bała się, że później nie będzie umiała ustawić ich z powrotem.

Za kanapą stała wąska marmurowa konsola z lustrem, do wysokości jej łokcia wypełniona książkami. Wiele z nich było autorstwa znamienitych pisarzy, innych znała z nazwiska jako przyjaciół Ezry. Na przykład ten, który mówił na nią „Brzdąc”, napisał książkę o Auschwitz, a Ezra ułożył mu na czwartą stronę okładki asekurancko przychylnego blurba. Znajdowało się tam też kilka prebooków, w tym biografia Arthura Millera i powieść pióra chlebowodcy Alice, mająca się ukazać tej jesieni, z wciśniętym ciasno w środek listem do Ezry:

„Drogi Panie Blazer,

Jak Pan się przekona, czytając mój wstęp, *Allatoona!* to powieść absolutnie wyjątkowa, będąca zarazem subtelnym, wyrażającym szacunek i w ostatecznym rozrachunku triumfalnym hołdem dla Pana wpływu na nią. Nie proszę o poparcie, życzyłbym sobie tylko, żeby książka spodobała się Panu tak jak nam wszystkim w wydawnictwie Gryphon, jest bowiem zaskakująca, daje czytelnikowi przyjemność z uwagi na pewność siebie, wyborną kalibrację, olśniewającą błyskotliwość...”

Alice zamknęła prebooka i wyniosła na ganek książkę o Auschwitz.

Zdarzało się, że w porze obiadowej wpadał do nich sędziwy sąsiad i przynosił im jajka z własnego kurnika oraz miejscowe plotki. Kiedy indziej wieczorami grali z Ezrą w karty, czytali albo szli z latarką na

przystań, żeby oglądać gwiazdy. W jedną sobotę zawędrowali aż na Ram's Head, gdzie odbywało się przyjęcie weselne: mężczyźni z młotkami do krykieta ganiali po trawniku za bosonogimi druhnami, a w barze kwintet jazzowy wygrywał bigbandowe standardy.

– Nie – powiedział stanowczo, kiedy Alice prowokacyjnie pociągnęła go za rękę. Potem jednak rozległo się plemienne „ratata” *Sing Sing Sing* i Ezra zaczął bębnić dłońmi w powietrzu jak opętany przez Lionela Hamptona. Tu pstryknął palcami, tam uniósł piętę; w pewnym momencie stanął nawet na palcach i pozwolił sobie na krótkie ugięcie kolan. Wziął Alice za rękę i poprowadził ją niczym po krętych liniach spirografu, dłuższych i swobodniejszych z każdym piruetem, a wtedy tanecznym krokiem podeszła do nich jakaś kobieta, nosząca przypięty do sukienki do góry nogami kwiat, i oświadczyła:

– Wie pan, wszyscy mówią, że jest pan ładząco podobny do mojego męża.

– Bo jestem pani mężem – odparł Ezra, po czym przechylił Alice niemal zupełnie poziomo i poprowadził ją w stronę orkiestry.

Sypialnia mieściła się na najwyższym piętrze domu, gdzie podłogi skrzypiały uspokajająco, a stary dąb wypełniał okna falującą zielenią. Rano, kiedy leżała zwrócona twarzą do Ezry, wzdychała, wpatrując się w promienny brąz jego źrenic i zachwycając ich młodym wyglądem, przejrzyistością i czujnością, chociaż widziały już tyle urodzin, wojen, ślubów, prezydentów, zabójstw, operacji, nagród i książek. Razem mieli dziewięćdziesiąt siedem lat, a im więcej czasu spędzali ze sobą, tym bardziej przeżyte przez niego lata myliły się Alice z jej własną przeszłością. Ptaki na zewnątrz plotkowały radośnie. Słońce oświetliło jej twarz, usiadła i wsunęła kosmyk włosów za ucho. Na policzku miała jeszcze odcisnięte fałdy poduszki. Niczym bejsbolista uroczyście przyłożyła palce do nosa, potem podbródek, łokcia, znowu do czubka nosa, i wreszcie pociągnęła się za ucho.

– Raz – powiedział chrapliwie Ezra.

Tak! Nos, podbródek, łokieć, udo, płatek ucha, płatek ucha, znowu czubek nosa, trzy szybkie kłaśnięcia.

– Dwa.

Dobrze. Podbródek, udo, płatek jednego ucha, płatek drugiego ucha, jeden łokieć, drugi łokieć, wyimaginowany daszek u czapki.

– Uderzasz i biegniesz.

Kiedy przyszła jego kolej, Ezra powtórzył te gesty, ale dwa razy wolniej i ze śmiertelną powagą, a każdą sekwencję kończył, wskazując pępek Alice. Opadła ze śmiechem na poduszkę; Ezra opatulił ją i pocałował w głowę.

– Najśłodsza dziewczyno. Jesteś najśłodsza na świecie.

Te słowa podziały na nią tak, jak gdyby wsunął jej do ucha rozgrzane piórko. W drugim uchu Alice zabrzmiał zegarek Ezry, oznajmiając południe niemal przeproszającym tonem, bo musiał im przypomnieć, która jest godzina.

„«Podążam swoim kursem precyzyjnie i pewnie jak lunatyk». Ale lunatyk wcale nie przemieszcza się pewnie i precyzyjnie. Jedynie chwiejny przywódca stara się zapewnić rządzonych i być może przede wszystkim siebie, że cele jego działania są przyzwoite i czyste. Jest pewien tylko jednego: że chce przewodzić. Sprawować władzę; być czczony; że chce posłuszeństwa. Do pewnego stopnia taką chęć odczuwają wszyscy politycy, inaczej bowiem wybraliby sobie jakieś inne, mniej autorytarne zajęcie. Ale w niektórych wypadkach to pragnienie okazuje się radykalne, zrodzone z kompulsywnej chęci kompensacji dawnych upokorzeń – jak, powiedzmy, pochodzenie z nieprawego łoża albo odmowa przyjęcia w poczet studentów ze strony uniwersytetu, na który dany polityk usiłował się kiedyś dostać. Rodzi się w nim wtedy dokuczliwe niczym obtarcie skóry do krwi poczucie, że świat go nie rozumie, nie docenia, i w tej sytuacji tego rodzaju jednostce wydaje się, że musi sama zmienić świat w taki sposób, aby ją zrozumiano i doceniono. Dominacja nie jest wyłącznie fantazją, lecz także formą zemsty za status osoby przegranej, podporządkowanej, «wyrzutka pośród wyrzutek» – tak pisał «The New York Times» w nekrologu Führera, liczącym nie mniej niż trzynaście tysięcy słów”.

W kuchni stały trzy małe butelki pinot noir, flaszka rosyjskiej wódki i nieotwarta jeszcze butelka knob creeka. Wyglądając przez okno na basen, gdzie siatką na długiej rączce Clete zdejmował nieczystości z powierzchni wody, Alice otworzyła wódkę, przechyliła flaszkę, by wziąć z niej długi łyk, i wróciła na ganek.

„Megalomania to jednakże niewłaściwe słowo. Zarówno jego sufiks, jak i prefiks sugerują nadmiar, niespójne poczucie własnej siły, urojenia. A przecież Hitler nie mylił się co do zakresu swojej władzy. Owszem, hołdował urojeniom, jeśli chodzi o wartość swoich celów, ale nie wydaje się możliwe, by przecenił udział swojej osoby w dziejach ludzkości. Kiedy w takim razie halucynacje pojedynczego człowieka stają się rzeczywistością świata? Czy każde pokolenie musi mierzyć się z kaprysami dyktatora? W *Mein Kampf* czytamy, że dzięki sprytnej i nieustannej propagandzie raj można przedstawić ludziom jako piekło, i odwrotnie, najgorsze przeżycia da się pokazać jak raj. Możliwe jest to jednak tylko wtedy, kiedy ludzie zaniedbują swoje obowiązki i zapominają o czujności. Tylko wtedy, gdy stajemy się współwinni przez zaniechanie. Tylko wtedy, kiedy sami lunatykujemy”.

Kolejny łyk.

– Kochanie? Kochanie, gdzie jesteś?

Odezwało się radio. W toalecie spłynęła woda. Chłopięce kroki na starych deskach podłogowych i w dół po schodach. Patrzyła przez okienko na ganku, jak Ezra podszedł do pudła, przypominającego starą drewnianą skrzynkę po amunicji, wyciągnął z niego jedną z wielu płyt i z namaszczeniem wysunął ją z koperty. Chwilę później rozległ się gwałtowny, jakby futrzasty dźwięk, a po nim tropikalne odgłosy, przywodzące na myśl hawajskie święto *luaau*.

*Beyond the blue horizon
Waits a beautiful day
Goodbye to things that bore me
Joy is waiting for me!*^[13]

W trakcie jednej z pauz pomiędzy wersami krzyknął do niej przez okno:

– Chcesz drinka?

Siedzieli w namiocie, oblizując palce z sosu barbecue i obserwując, jak po szklistej zatoce ślizga się kanu, gdy na trawniku pojawił się jakiś intruz, idący niepewnie w zmięchu.

– Virgil! – zawołał Ezra. – Co dobrego?

– Kret wkopał mi się dzisiaj rano pod szopę na narzędzia, ale go załatwiłem.

– Załatwiłeś?

– Załatwiłem. – Starzec zakaszał, podniósł klapę przezroczystego namiotu i schylił się z trudem, by wejść.

– Posłuchaj, Virgil. Mam do ciebie prośbę. Znasz tę parcelę po drugiej stronie drogi? Tę, która dochodzi do North Cartwright?

– No.

– Wiesz, do kogo należy?

– Już od wielu lat do takiej jednej pani z Cape Coral.

– Jakiej pani?

– Będzie w moim wieku. Nazywa się Stokes. Jej wuj mieszkał w tym szarym drewnianym domku na Williette. Jak umarł, dzieci sprzedały go, wiesz, tym muzykom.

– No to chciałbym się skontaktować z panną Stokes, jeśli to możliwe, bo pomyślałem sobie, że kupię tę działkę, zanim zjawi się ktoś inny i postawi na niej myjnię samochodową.

Virgil skinął głową i znowu zakaszał; zadrżały mu ramiona, a skóra wokół płam wątrobowych zrobiła się soczyście śliwkowa.

– Kochana – odezwał się cicho Ezra. Alice kiwnęła głową i weszła do domu; wróciła ze szklanką wody i podała ją Virgilowi, który rzekł:

– Dziękuję ci, Samantho.

Później, kiedy grała z Ezrą w kuchni w remika, spytała od niechcenia „jak należałoby się tu zachować na wypadek jakiegoś nieszczęścia”.

Spokojnie układając karty, odpowiedział:

– Chodzi ci o to, co by trzeba zrobić, gdyby w czasie seksu wysiadła mi pikawa?

– Coś w tym rodzaju, tak.

– Zadzwoń do Virgila.

– Ha.

– Mówię poważnie. Virgil to miejscowy ratownik medyczny.

– Miejscowy ratownik medyczny ma sto lat?

– Siedemdziesiąt dziewięć. W czasie drugiej wojny był kierowcą karetki wojskowej. I słyszał, jak Patton powiedział swoim żołnierzom: „Uczymy was, sukinsyny, jak skopać dupy Japończykom”. Chociaż może nie wiesz, kim był Patton. Wykładał się.

Wstał, żeby pójść do ubikacji, i wrócił z taką miną, jakby coś mu zaimponowało.

– Właściwie to zapomniałem, że jedliśmy szparagi.

– Czyli że... na wyspie nie ma szpitala?

– Jest w Greenport. I drugi w Southampton. Ale nie martw się. Virgil wie, co robi. Poza tym – wyrzucił rękę do przodu – spójrz na mnie. Dobrze się czuję. – Przez chwilę patrzył na Alice w zamyśleniu, po czym cofnął dłoń i spojrzał na zegarek.

– Czytałeś to? – Podniosła książkę o Auschwitz.

Pokręcił głową.

– Niedobra.

– Jak to?

– Za dużo się w niej mówi o załatwianiu potrzeb fizjologicznych.

– Proszę?

– Hitlera nauczono korzystać z nocnika za wcześnie, a Mussolini korzystał z niego za długo. To wszystko są freudowskie spekulacje, niemające nic wspólnego z niczym. Jeżeli chcesz się dowiedzieć czegoś o Holokauście, pokażę ci, co przeczytać.

W niedzielę popadała w zadumę. Jak ponuro byłoby teraz w mieście, pięć kolejnych dni odbierania telefonów, zamawiania blurbów,

naprawiania zapchanych zszywaczy. Kiedy Ezra wszedł do basenu robić swoje ćwiczenia aqua-fitness, stanęła przy oknie i patrzyła, jak wchodzi na płyciznę do nakrapianej słonecznymi cętkami wody i brodzi tam i z powrotem, rozkoszując się jej oporem. Potem wiatr przybrał na sile i wymazał go z pola widzenia dziewczyny, a resztę poranka zajęło jej krążenie z pokoju do pokoju, wybieranie książek i odkładanie ich na miejsce, nalewanie lemoniady do szklanek i picie przy kuchennym stole, gdzie słuchała też brzęczenia pszczoł. Zegar nad zlewem tykał głośno.

Wszedł do domu kilka minut po drugiej i zastał ją leżącą na kanapie; zasłaniała oczy przedramieniem.

– Skarbie, co się stało?

– Nic. Po prostu myślę.

– Nie chcesz się wykąpać?

– Zaraz pójdę.

– O której masz pociąg?

– Szósta jedenaście.

– A o której przyjeżdżasz?

– W domu powinnam być o wpół do dziesiątej.

– Clete zawiezie cię na prom. A ja... – Rozejrzał się, jakby w pokoju panował bałagan, a on nie wiedział, od czego należałoby zacząć sprzątanie. – Zostanę jeszcze tutaj przez jakiś czas. Przynajmniej do końca września. Muszę skończyć ten draft.

– Okej.

– Sprawia mi problemy.

– Mm-hmm.

– Mam coś dla ciebie.

Wyjął z kieszonki koszuli na piersi kartkę papieru z trzema dziurkami od kołonotatnika, starannie złożoną w ćwiartkę.

GITTA SERENY, *W STRONĘ CIEMNOŚCI*

PRIMO LEVI, *CZY TO JEST CZŁOWIEK*

HANNAH ARENDT, *EICHMANN W JEROZOLIMIE*

- Dziękuję – powiedziała Alice.
- Ploszę baldzo – odrzekł.

„**URODZIŁ SIĘ 26 MARCA** 1908 roku w małym austriackim miasteczku Altmünster. Jego jedyna siostra miała wówczas dziesięć lat. Matka była jeszcze młoda i ładna, lecz ojciec był już starzejącym się człowiekiem.

– Kiedy się urodziłem, pracował jako nocny stróż, ale wszystko, o czym potrafił myśleć lub mówić, było związane z jego dawną służbą w dragonach (w jednym z elitarnych oddziałów cesarskiej armii Austro-Węgier). W szafie wisiał na wieszaku jego mundur, zawsze starannie wyczyszczony i odprasowany. Nie znosiłem go, będąc dzieckiem nienawidziłem mundurów. Wiedziałem od najmłodszych lat, nie wiem dokładnie, od kiedy, że mój ojciec mnie nie chciał. Usłyszałem to kiedyś. Sądził, że nie byłem jego dzieckiem. Myślał, że moja matka... wie pani...

– *A czy mimo to był dla pana dobry?*

Roześmiał się, lecz w śmiechu tym nie było śladu wesołości.

– On był dragonem. W naszym życiu obowiązywał rygor wojskowy. Bardzo się go bałem. Przypominam sobie jeden dzień... miałem cztery lub pięć lat i właśnie otrzymałem nowe kapcie. Był mroźny, zimowy poranek. Nasi sąsiedzi wyprowadzali się. Przyjechał specjalny pojazd, w tamtych czasach był to oczywiście wóz ciągnięty przez konie. Woźnica wszedł do budynku, aby pomóc w wynoszeniu mebli. Został tylko ten cudowny pojazd i nikogo w pobliżu nie było.

– Wybiegłem na śnieg w nowych kapciach. Śnieg sięgał mi do kolan, ale nie myślałem o tym. Wdrapałem się na umieszczony wysoko nad ziemią kozioł. Wokół mnie wszystko było ciche, białe i nieruchome. W oddali widziałem mały, czarny ruszający się punkcik, ginący w bieli świeżego puchu. Wyteżałem wzrok, lecz nie mogłem go rozpoznać aż do chwili, kiedy nagle zorientowałem się, że to ojciec. Wracał do domu. Ześlizgnąłem się z kozła, jak tylko umiałem najszybciej, pobiegłem przez głęboki śnieg do kuchni i schowałem się za matką. Ojciec dotarł do domu prawie razem ze mną. «Gdzie dzieciak?» – zapytał, a ja

musiałem wyjść ze swojej kryjówki. Położył mnie sobie na kolanach i spuścił mi lanie. Zaciął się w palec kilka dni przedtem i nosił opatrunek. Walił mnie tak mocno, że ranka się otworzyła i zaczęła krwawić. Słyszałem krzyki matki: «Przestań, krew pryska po wszystkich ścianach»^[14].

SZEF ALICE GDZIEŚ DZWONIŁ. Trzymał nogi na biurku i skręcał w palcach kawałek taśmy klejącej.

– A Blazer? Dlaczego nie wydajemy już Ezry Blazera? Hilly kompletnie nie zna się na literaturze.

Alice rzuciła tekturową teczkę na drucianą tackę przed drzwiami gabinetu szefa i przyklękła, żeby poprawić pasek u pantofla.

– Nie. Nie! Tego nie powiedziałem. Hilly łże jak pies. Powiedziałem, że zarobimy milion na nowej książce plus dwieście pięćdziesiąt kawałków na starych, chociaż to nie będzie nawet połowa wartości twojego domu w Montauk, kurwa. Czy to brzmi dla ciebie „rozsądnie”?

„W **DZISIEJSZYCH NIEMCZECH** pojęcie «wybitnych» Żydów nie zostało jeszcze zapomniane. O ile nie wspomina się już kombatantów i innych grup uprzywilejowanych, nadal kosztem wszystkich pozostałych wyraża się ubolewanie z powodu losu «sławnych» Żydów. Istnieje niemała grupa ludzi – zwłaszcza wśród elity kulturalnej – którzy wciąż wyrażają publicznie żal z powodu zmuszenia Einsteina do opuszczenia Niemiec, nie zdając sobie przy tym sprawy z tego, że o wiele większą zbrodnią było zastrzelenie zza rogu małego Hansa Cohna, mimo że on wcale nie był geniuszem»^[15].

„NUMER UKRYTY”.

– Halo.

- Jak się masz, Mary-Alice?
- Dobrze. A ty?
- W porządku. Chciałem tylko sprawdzić, co u ciebie.
- Mm-hmm.
- Na pewno wszystko okej? Masz trochę smutny głos.
- Bo jest mi trochę smutno. Ale to nic. Nie martw się. Jak twoja książka?
- Och, nie wiem. Zresztą kto może wiedzieć, czy jest cokolwiek warta. Pisarstwo to dziwne zajęcie. Wymyśla się różne rzeczy. Opisuje je. Opisuje się drzwi, przez które ktoś właśnie wszedł. Są brązowe, zawiasy skrzypią... Kogo to, kurwa, obchodzi? To po prostu drzwi.
- „Wszystkie projekty artystyczne wymagają mnóstwa cierpliwości” – odezwała się w końcu Alice. Słyszała kumkające żaby.
- Masz pamięć jak słoń, Mączysty Kartoflu.

„OBÓZ ZAJMOWAŁ OBSZAR o powierzchni około dwudziestu czterech hektarów i był podzielony na dwa sektory główne i cztery sekcje. W «obozie górnym» – Obozie II – znajdowały się komory gazowe, urządzenia do pozbywania się zwłok (najpierw doły z wapnem, potem duże metalowe konstrukcje do ich palenia, nazywane «rusztami») oraz baraki dla Totenjuden, Żydów wyselekcjonowanych do pracy w obozie śmierci. Jeden barak był przeznaczony dla mężczyzn, a drugi, później, dla kobiet. Mężczyźni nosili i palili ciała; dwanaście dziewcząt gotowało i zmywało.

«Obóz dolny» – Obóz I – dzielił się na trzy sekcje, oddzielone od siebie płotami z drutu kolczastego, które, podobnie jak ogrodzenie zewnętrzne, zamaskowane były wplecionymi weń zielonymi gałązkami sosny. W pierwszej sekcji znajdowała się rampa wyladowcza i plac (*Sortierungsplatz*), gdzie przeprowadzano pierwszą selekcję, fikcyjny szpital (*Lazarett*), gdzie zabijano strzałem starych i chorych, zamiast uśmiercać ich gazem, rozbieralnia, barak, w którym ofiary rozbierały się do naga, pozostawiały ubrania, kobietom obcinano włosy i badano

wszystkie otwory ciała w poszukiwaniu ukrytych kosztowności; tam również znajdowała się «Droga do nieba». Droga ta, zaczynająca się od baraku, gdzie rozbierały się kobiety i dzieci, była szeroką na trzy metry ścieżką z trzymetrowym płotem z drutu kolczastego po bokach (również gęsto przeplatany stale gałązkami, tak że nic nie można było przez ścianę płotu zobaczyć), którą nagie ofiary, ustawione w piątki, zmuszane były do biegu w kierunku «łaźni» – komór gazowych. Gdy instalacja do gazowania psuła się, co działo się nader często, musiały stać godzinami w oczekiwaniu na swoją kolej”^[16].

WŁAŚNIE MIAŁA WYŚLAĆ MEJLA, żeby odrzucić kolejną powieść pisaną w drugiej osobie, kiedy ekran monitora zrobił się czarny, a klimatyzacja umilkła, pozostawiając po sobie mroczną, przedwieczną ciszę.

– Kurwa jego mać – powiedział szef Alice w swoim gabinecie w głębi korytarza.

Godzinę później pochyłała się razem z kolegami w coraz wilgotniejszej i gorętszej atmosferze nad stertą papierów, kiedy pojawił się nachmurzony szef i powiedział, że mogą wracać do domów, o ile uda im się do nich dojechać.

Dwadzieścia jeden kondygnacji niżej, w recepcji budynku, wokół zamkniętego szybu windy kłębili się strażacy, spoglądający w górę na zamarłe wyświetlacze numerów pięter. Na Pięćdziesiątej Siódmej samochody manewrowały, by ustawić się na wąskim przejeździe wiodącym przez pozbawione świateł skrzyżowania, a liczba przechodniów zwiększyła się od rana chyba czterokrotnie. Na północ od Columbus Circle, gdzie pracował jakiś samozwańczy dyżurny ruchu w odbłaskowych okularach przeciwsłonecznych i koszuli z rękawami podwiniętymi aż po bicepsy, kolejka po lody Mister Softee ciągnęła się przez całą długość ulicy, do najbliższego rogu. Jeszcze dłuższe ogonki utworzyły się do staroświeckich budek telefonicznych, dzięki czemu ich egzekucję odłożono potem jeszcze raz na później; ludzie zbliżali się do nich ostrożnie, a nawet bojaźliwie, jak gdyby były to konfesjonały. Na rogu Sześćdziesiątej Ósmej i Siedemdziesiątej Drugiej szurająca

nogami ciżba wpychała się do autobusów, mocno obciążonych już pasażerami. Na Siedemdziesiątej Ósmej w World of Nuts and Ice Cream rozdawano darmowe wafle. Ulicę dalej neonowa harfa w Dublin House została jakby pozbawiona koloru, a normalny przecież upał zdawał się w tych tajemniczych okolicznościach nadzwyczajny: sącył się zewsząd, złowieszczy i nieunikniony niczym gaz wypełniający komorę śmierci. Przed Filene's Basement dwie kobiety z czterema torbami i pięciorgiem dzieci handryczyły się z kierowcą limuzyny, skierowanej przodem w stronę górnego Manhattanu. Na przeciwległym rogu stał bezdomny, który okutany w setkę swoich płaszczy, sprawiał wrażenie garbusa jeszcze bardziej niż zwykle; opierał się o automat z gazetami, obserwował zamieszanie i ziewał.

Anna nie otworzyła drzwi. W swoim mieszkaniu Alice zrzuciła buty, bluzkę, spódnice za trzysta dolarów, nalała sobie szklankę luxardo i położyła się spać. Kiedy się obudziła, wokół panowała nieprzenikniona ciemność i było słychać płaczliwy brzęczyk komórki. W pobliżu drzwi do mieszkania znajdowały się schody prowadzące na dach, a ściślej rzecz biorąc, do kolejnych drzwi, opatrzonych ostrzeżeniem, że ich otwarcie uruchomi alarm; w ciągu dwóch lat nie słyszała go ani razu. Nie zważając na nic, weszła na górę w fioletowy romb nieba i zaznawszy ulgi słabego wiatru, przeszła po drugiej stronie sufitu własnego mieszkania na krawędź dachu, by spojrzeć na ulicę. Samochód, który skręcił z Amsterdam Avenue, przyspieszył, ruszając w kierunku zachodnim, jego światła przepychały się przez ciemność ze świeżym, cudownym impetem. Dwie fasady dalej na schodach przeciwpożarowych pomrugiwały płomyki świec. Z prawej strony za wstęgą czarnej jak atrament rzeki widniał brzeg New Jersey, na którym światelka widać było teraz tak rzadko jak ogniska w puszczy. „Zimne piwo”, dobiegł ją męski głos z Broadwayu. „Mam jeszcze zimne piwo. Trzy dolary”.

Komórka Alice znów zabrzęczała okropnie. Nie hurkotało metro, nie grzechotały pociągi, zwykle jeżdżące w górę rzeki Hudson, nie szumiały klimatyzatory, lodówki ani pralnie, po trzy na każdy kwartał uliczny, odnosiło się więc wrażenie, że ustało bicie gigantycznego serca. Usiadła i chwilę później podniosła głowę na gwiazdy. Pozbawione codziennej

konkurencji na dole, wydawały się o wiele jaśniejsze – i triumfujące, bo ich dominacja w kosmosie została potwierdzona. Od strony migocących schodów przeciwpożarowych dobiegło kilka swobodnych akordów granych na gitarze. Sprzedawca piwa dał już za wygraną albo skończył mu się towar. Księżyc też zrobił się wyrazistszy i bardziej świetlisty niż zwykle, nagle więc przestał być księżycem Céline’a, Hemingwaya czy Geneta i stał się księżycem Alice, która przysięgła sobie opisać go pewnego dnia takim, jakim jest naprawdę: że świeci odbitym światłem słońca. Efekt Dopplera dowodził, że wóz strażacki pojechał w kierunku północnym. Helikopter zmienił kierunek lotu niczym szarańcza przepędzona olbrzymimi, przecinającymi niebo paluchami. Komórka Alice wydała w jej dłoni trzy ostatnie, zniecierpliwione buczące dźwięki i rozładowała się.

„**NATOMIAST GODNY UWAGI** wydaje mi się następujący fakt: wychodzi tu na jaw, że istnieją dwie szczególnie odrębne kategorie ludzi: przeklętych i zbawionych. Inne kontrasty (dobrzy i źli, mądrzy i głupi, tchórzliwi i odważni, pechowcy i szczęściarze) są znacznie mniej wyraźne, chyba mniej wrodzone, a przede wszystkim zawierają wiele złożonych odcieni pośrednich.

Podział ten jest znacznie mniej widoczny w normalnym życiu; tu nieczęsto się zdarza, aby człowiek całkowicie się pogrążył, gdyż przeważnie nie jest sam i w swoich wzlotach i upadkach związany jest z losem innych ludzi; dlatego zupełnie wyjątkowo może dojść do bezgranicznej potęgi lub poprzez nieprzerwane pasmo klęsk popaść w całkowitą ruinę. Nadto, każdy posiada zazwyczaj takie zasoby duchowe, fizyczne, czy nawet materialne, że zmniejszają one możliwość kompletnej porażki życiowej. Dodać jeszcze należy, że działanie prawa i poczucia moralnego, czyli prawa wewnętrznego, wybitnie osłabia tę możliwość; istotnie, za tym bardziej cywilizowany uchodzi kraj, im mądrzejsze i skuteczniejsze są w nim prawa, nie dopuszczające do nadmiernej nędzy ani nadmiernej władzy”^[17].

– **NAGRODĘ NOBLA** w dziedzinie literatury za rok 2003 otrzymał pisarz z Republiki Południowej Afryki, John Maxwell Coetzee, który, jak określił to komitet noblowski, „opisuje zaskakującego outsidera-intruza w jego niezliczonych wcieleniach”.

Wyłączyła radio i wróciła do łóżka.

„NUMER UKRYTY”.

„Numer ukryty”.

„Numer ukryty”.

Biiip.

Ezra się rozłączył.

ZNOWU DO DRZWI WEJŚCIOWYCH:

Stuk-puk, stuk-puk.

Z westchnieniem wzięła klucze i telefon i poszła za staruszką, człapiącą energicznie w głąb korytarza. W dużej jadalni – zastawionej sięgającymi do samego sufitu starymi meblami i wyposażonej w kominek, którego delikatna pleśń nie została jeszcze starta bezwzględna szczotką kamienicznika – stał rozdziawiony odkurzacz. Dalej ciągnął się podejrzany labirynt pokoi w amfiladzie aż do samej ulicy, a w powietrzu wisiał stęchły, lecz smakowity zapach – pół wieku chanukowych latkesów i kiszzonej kapusty, jak domyślała się Alice. Na kominku szczyrzyło zęby potwierdzenie opłaty czynszu, opiewające na siedemset dwadzieścia osiem dolarów i sześćdziesiąt dziewięć centów.

– Przetawiałaś już zegarki, Anno?

– Co?

– Czy przetawiałaś już...

„Numer ukryty”.

Te słowa zamigotały w jej dłoni jak bicie przywróconego do pracy serca.

– Zaraz wrócę, Anno, dobrze?

Miał półprzemyślny głos, jak gdyby niedawno się zbudził po długiej drzemce; w tle słyszała jakąś cichnącą arię.

– Co robisz, Mary-Alice?

– Pomagam jednej staruszce z mojego piętra wymienić worek w odkurzaczu.

– Ile ma lat?

– Dużo. Jest starsza od ciebie. I ma większe mieszkanie niż oba nasze razem wzięte.

– Może w takim razie powinnaś się pieprzyć z nią.

– I może się pieprzę.

Anna na korytarzu próbowała wydłubać worek z odkurzacza widelcem do pieczenia.

– Ja to zrobię – zaofiarowała się Alice.

– Co?

– Powiedziałaś, że zrobię to za ciebie.

– Och, dziękuję, kochanie. Dostałam ten odkurzacz od wnuczki. Nie wiem, po co mi go dała.

– Przetawiałaś zegarki? – spytała Alice, wstając.

– Co?

– Pytam, czy pamiętałaś, żeby przestawić dzisiaj rano zegarki.

Oczy Anny zaczęły łzawić.

– Moje zegarki?

– Czas letni – dodała Alice.

WYBRANE Z POCZTY:

Ulotka z kina Symphony Space z zakreślonymi filmami Kurosawy, które zdaniem Ezry powinna zobaczyć, zwłaszcza *Rashōmona*, a gdyby mogła zostać na drugim seansie, to także *Sanjūra – samuraja znikąd*.

Pocztówka z Film Forum, na której zakreślił filmy Charliego Chaplina, zdaniem Ezry mogące jej przypaść do gustu: *Dyktator*, *Światła wielkiego miasta* i *Dzisiejsze czasy*.

Broszurę z MoMA, opatrzoną fotografią aktorki pijącej z płaskiego kieliszka w filmie *Rosenstrasse*, bo Ezra zaproponował Alice, żeby się podobnie uczesała, jeśli postanowi kiedyś obciąć włosy.

Znów dokuczał mu kręgosłup, dlatego poszła do Film Forum sama.

– Wykręca tej pani sutki kluczami nasadowymi! – Tu zaczynała biegać po pokoju, manipulując w powietrzu wyimaginowanymi kluczami. – I posypuje więzienne jedzenie kokainą jak solą! – Tu wybałuszała oczy i podnosiła ręce. – I jeździ na wrotkach po domu towarowym!... I zbiega na dół po ruchomych schodach, które jadą na górę!... I upija się, wstrzykując sobie dożylnie baryłkę rumu! – Machała rękami, aż wyimaginowane mankiety pospadały jej z nadgarstków, i odtńczyła wokół siedzącego w fotelu Ezry coś w rodzaju moonwalka w zwolnionym tempie, wyśpiewując przy tym:

Se bella giu satore

Je notre so cafore

Je notre si cavore

Je la tu la ti la twaaaaah!^[18]

– *Señora?*

– *Pilasina!*

– *Voulez-vous?*

– *Le taximeter!*

– Jedz swoją tartę.

– „Tu la tu la tu la waaaaaah!”

– Och, Mary-Alice – zaśmiał się, ocierając oko i przyciągając ją do siebie, by ucałować jej palce. – Moja droga, śmieszna, stuknięta Mary-Alice! Obawiam się, że później w życiu będziesz bardzo samotna.

SKOŃCZYŁ WRESZCIE KSIĄŻKĘ, więc można było zająć się kilkoma odłożonymi na później kwestiami natury medycznej, jak kolonoskopia, badanie prostaty i badania pulmonologiczne, które zalecił mu lekarz w związku z ostatnimi trudnościami z oddychaniem. Nie miał raka, a dzięki sterydowemu inhalatorowi przestał rzezić w ciągu jednego popołudnia, zapadła też jednak decyzja, że z powodu stenozы kręgosłupa powinien poddać się laminektomii. Operację wyznaczono na koniec marca; osobiste pielęgniarki miały sprawować nad nim rotacyjną opiekę przez dwa tygodnie, które przeciągnęły się do trzech. W sobotę, niedługo po tym, jak zaczął pracować nad kolejną powieścią i wreszcie znów stanął na nogi, wyszedł z Alice i Gabrielą, swoją pielęgniarką dzienną, na spacer.

– Cztery strony – oświadczył.

– Tak szybko? – spytała Alice. – Super.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy są dobre.

Usiedli na schodkach przy Osiemdziesiątej Czwartej i przyglądali się, jak jakiś facet z małym dzieckiem na smyczy przystaje, żeby spojrzeć na telefon, marszcząc brwi.

– Chcesz mieć dzieci, Samantho? – zapytała Gabriela, która była Rumunką.

– Nie wiem. Może kiedyś. Teraz nie.

– To dobrze. Masz jeszcze czas.

Alice skinęła głową.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia siedem.

– Och, nie wiedziałam. Wyglądasz na szesnaście.

– Ludzie często biorą ją za młodszą – powiedział Ezra.

- Ale i tak masz jeszcze czas.
- Dzięki.
- ...Trzeba się zacząć martwić, jak się skończy trzydzieści pięć albo trzydzieści sześć lat.
- Mm-hmm.
- No to kiedy chcesz mieć dzieci?
- Tak jak już ci powiedziałam, Gabrielo, nie jestem pewna, czy w ogóle chciałabym zostać matką, ale gdybym mogła wybierać, wyczekałabym do ostatniej chwili. Na przykład do czterdziestki.
- Gabriela nachmurzyła się.
- Czterdziestka to za dużo. Po czterdziestce nic nie działa jak trzeba. Po czterdziestce człowiek jest zbyt zmęczony.
- To kiedy twoim zdaniem powinnam mieć dzieci?
- Około trzydziestki.
- Nie ma mowy.
- Mając trzydzieści dwa lata?
- Alice pokręciła głową.
- No to trzydzieści siedem. Nie możesz czekać dłużej niż do trzydziestego siódmego roku życia.
- Zastanowię się.
- Minęła ich uprawiająca jogging długonoga ruda dziewczyna w spandeksowym kostiumie. Ezra śledził ją wzrokiem aż do rogu ulicy.
- Wiem – odezwała się Gabriela. – Zapytajmy Francine.
- Kto to jest Francine?
- Moja pielęgniarka nocna – odparł Ezra. – Bezdzienna.
- Na Columbus Avenue znowu się zatrzymali, żeby Ezra mógł pogadać ze sprzedawcą hot dogów.
- Jak idzie interes, przyjacielu?
- Sprzedawca zrobił zniecierpliwiony gest, wskazując w górę oraz w dół ulicy, jak gdyby jego wóz stał w mieście duchów.
- Okropnie. Nikt nie chce hot dogi. Wszyscy tylko smoothie.
- Naprawdę?

Sprzedawca ponuro przytaknął ruchem głowy.

Ezra odwrócił się do Alice.

– Zjadłabyś hot doga?

– Okej.

– Gabriela?

– Ja lubię hot dogi.

– Dwa hot dogi, proszę pana.

– Co znaczy, że są „halal”? – zapytała Gabriela.

– Że móc je jeść muzułmanie! – zawołał z dumą sprzedawca.

Gabriela odebrała telefon, a Alice i Ezra usiedli na ławce, na której zawarli znajomość. Przez chwilę odpoczywali w milczeniu, dopóki Ezra nie powiedział czegoś o platanach, czego zamyślona Alice nie usłyszała; myślała o tym, co już zrobiła w życiu, dokąd zmierza i jak może tam dotrzeć bez większych trudności z miejsca, w którym jest teraz. Jej rozważania komplikowała obłąkańcza zasada, że zazwyczaj chciała czegoś tylko dopóty, dopóki tego nie zdobyła, a kiedy już to miała, od razu pragnęła czegoś innego. Potem na ziemię sfrunął gołąb, a Ezra przegonił go laską; zrobił to w taki sposób, dobrodusznym machnięciem, że przypomniał Alice Freda Astaire’a.

– Skarbie – powiedział, przyglądając się, jak Alice je. – Może weźmiesz w lecie dwa tygodnie urlopu i przyjedziesz mnie odwiedzić? Czy będziesz się nudziła?

– Absolutnie nie. Bardzo bym chciała przyjechać.

Kiwnął głową. Zlizując musztardę z dłoni, zapytała:

– Co powiedział Adam na twoją książkę?

– „Ezro, nie wiem, co powiedzieć. Genialna. Arcydzielna. No wiesz, rany boskie, jest naprawdę dobra. Każde słowo... Każde, kurwa, słowo...”

– Jest poprawne ortograficznie.

Ezra wydmuchał nos.

– Jest poprawne ortograficznie.

– Kiedy da ją do druku?

– Zaczeka do jesieni. Skończyłaś?

– Jestem na stronie sto sześćdziesiątej trzeciej.
– I co?
– Podoba mi się.
– Co?
– Co?
– Co to za ton?
– No... Bo kto to opowiada? Kto opowiada całą tę historię?
– Jak to kto? Narrator.
– Wiem, ale...
– Najpierw skończ czytać. Potem będziemy mogli pogadać o punkcie widzenia. Jeszcze coś?
– Dziewczyna z piekarni bajgli. Kto dzisiaj mówi takim językiem? Tak starannie? Tak formalnie?
– Na przykład ty.
– Wiem, ale ja jestem...
– No co? Specjalistką?
Podniosła brwi i popatrzyła na niego, ale jadła dalej.
– Mary-Alice – odezwał się tkliwie chwilę później. – Wiem, co knujesz.
– Co?
– Wiem, co robisz, kiedy jesteś sama.
– Co?
– Piszesz. Prawda?
Wzruszyła ramionami.
– Trochę.
– Piszesz o tym? O nas?
– Nie.
– Naprawdę?
Zaprzeczyła bezradnym gestem.
– To niemożliwe.
Pokiwał głową.
– No to o czym?

– O innych ludziach. Ciekawszych ode mnie. – Roześmiała się cicho, wskazując podbródkiem ulicę. – O muzułmańskich sprzedawcach hot dogów.

Ezra zrobił sceptyczną minę.

– Piszesz o swoim ojcu?

– Nie.

– A powinnaś. Masz talent.

– Wiem. Ale pisanie o sobie nie wydaje mi się dość istotne.

– W przeciwieństwie do?

– Wojny. Dyktatury. Tego, co dzieje się na świecie.

– Zapomnij o tym, co się dzieje na świecie. Świat sam da sobie radę.

– Nie bardzo mu to wychodzi.

Z apartamentowca Ezry energicznym, aerobikowym krokiem wyszła na spacer z psem rasy shih tzu jakaś kobieta w czapeczce z napisem „Gore 2000”.

– Cześć – rzucił Ezra, gdy przechodziła obok. – Cześć, Chaucer – dodał do psa. Alice zaczęła się na serio zastanawiać, czy dziewczyna z Massachusetts, która śpiewała kiedyś w chórze kościelnym, jest w stanie wczuć się w świadomość muzułmanina, ale wtedy Ezra odwrócił się znów do niej i powiedział: – Nie martw się o to, czy piszesz o czymś istotnym. Jeżeli robisz to dobrze, to twoja literatura i tak okaże się ważna. Pamiętaj tylko, co powiedział Czechow: że jeśli w pierwszym rozdziale na ścianie wisi strzelba, to musi później wystrzelić.

Wytała rękę i wstała, żeby wyrzucić serwetkę.

– Jeżeli w pierwszym rozdziale na ścianie wisi defibrylator, to później trzeba będzie z niego skorzystać?

Kiedy wróciła do Ezry, była już przy nim Gabriela, trzymała w ręku jego szalik i pomagała mu wstać; słońce zniknęło za wieżowcami na Columbus Avenue i wszyscy dokoła przyspieszali kroku w nagłym zmierzchu. Stojąc tyłem do kierunku wiatru, Ezra wcisnął sobie laskę między nogi, okryte sztruksowymi spodniami, i mocował się z zamkiem błyskawicznym kurtki.

– Nie, nie – odezwał się cicho, kiedy Gabriela ruszyła mu z pomocą. – Poradzę sobie.

W przytłaczającym otoczeniu platanów wyglądał na niższego i słabszego niż w zamkniętym azylu swojego mieszkania i przez chwilę Alice widziała to, co jak przypuszczała, widzieli obcy ludzie: zdrową, młodą kobietę, marnującą czas ze zgrzybiałym staruchem. A może jednak ludzie mają więcej wyobraźni i są lepsi, niż jej się wydawało? Może są w stanie zrozumieć, że wszystko jest ciekawsze z nim niż bez niego i może nawet, że jej energia i oddanie to cechy, których świat potrzebuje więcej niż mniej? Z tyłu za nimi planetarium rozjaśniło się na fioletowo. Sprzedawca hot dogów hałał zamykał już swój wóz. Ezra poprawiał rękawiczki, Gabriela mrugnęła do Alice porozumiewawczo i podeszła do niej, podskakując na zimnie.

– Samantho! – odezwała się teatralnym szeptem. – Francine mówi, że można zamrozić jajeczko.

Z PRZESIADKĄ W RONKONKOMIE jazda pociągiem trwała niecałe trzy godziny. Alice w podróży piła kwaśną lemoniadę i patrzyła, jak zardzewiałe siatki ogrodzeniowe i psychodeliczne graffiti z Queensu ustępują miejsca żonkilom, psim budom, dereniom i pnączom. W Yaphank wzdłuż torów widać było tu i ówdzie kwiaty cykorii, rozedrgane niczym maleńkie ludziki życzące im dobrej podróży. Naprzeciwko w przedziale siedziała staruszka, trzymała ręce na torebce, a torebkę na kolanach, i oglądała przemykające za szybą krajobrazy, wokół niej zaś skakała i krzyczała grupka nastolatków. Od czasu do czasu ich wygłupy przenosiły się na korytarz, młodzi ludzie obijali się o fotel tej kobiety, a raz ktoś nawet rzucił czapeczkę bejsbolową prosto w łokciowe zgięcie jej barwinkowego blezera. Nawet kiedy pochylił się nad nimi konduktor, robili dalej swoje – rzucali bananami, wrywali sobie z rąk telefony komórkowe – aż wreszcie konduktor wyprostował się, odchrząknął i zapytał:

– Przepraszam. Czy ta pani wam przeszkadza?

Jak susły uciekające do rodzinnych nor, opadli na swoje miejsca i pozostali na nich już do końca podróży, porozumiewając się odtąd mnisim szeptem.

– Cześć, Samantho.

– Cześć, Clete. Jak leci?

– Nieźle. Ładna pogoda na wizytę na wsi.

– Na pewno.

Gdy wjechali na podjazd, Ezra wychodził właśnie ze swojej pracowni.

– Przepraszam, panienko! – krzyknął. – Pani rezerwacja zaczyna się dopiero od jutra. – Podeszedł bliżej. – Jak się masz, Mary-Alice?

Otworzyła szeroko oczy.

– To znaczy Samantho-Mary. Samantha-Mary-Alice. Mary-Alice to twoje drugie imię, nie? Wolisz jednak Samanthę, prawda, Samantho-Mary-Alice?

– Tak jest – odpowiedziała.

– Nieważne. – Clete wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Do zobaczenia w niedzielę, szefie.

Kiedy wchodzili do domu, Ezra otoczył ją ramieniem.

– Dziewięćdziesiąt trzy strony.

– Wspaniale.

– Nie wiem, czy są coś warte.

Po domu krzątała się sprzątaczką, a oni jedli lunch. Alice zaczęła mu opowiadać o tej staruszce w pociągu, ale kiedy tylko napomknęła o barwinkowym blezerze, Ezra odstawił piwo imbirowe i pokręcił głową.

– Nie sentymentalizuj jej.

– Zawsze tak mówisz. Nie sentymentalizuj ludzi. Jakbym mogła coś na to poradzić.

– Uczucia są w porządku. Ale nie sentymentalizm.

Sprzątaczką puściła do niej oko.

– On jest taki zabawny.

– Kto?

- Pan, panie Blazer.
 - To nie ulega najmniejszej wątpliwości – powiedziała Alice, wstając. – Hej, Yankees grają dziś wieczorem z Red Sox.
 - Hej, a ja idę się zdrzemnąć. Potem będę w pracowni. Muszę przejrzeć kilka pudeł.
 - Jakich pudeł?
 - Dla mojego biografa.
 - Jakiego biografa?
 - No, przyszłego autora mojej biografii.
 - A ja idę popływać – oznajmiła Alice.
 - Zaczekaj, kochanie. O której odchodzi twój pociąg?
- Popatrzyła na niego.
- To znaczy – powiedział, kręcąc głową – o której zaczyna się mecz w telewizji?

Było chłodno jak na czerwiec; z wody biła para, więc wydawało się, że pod spodem na głębokości najwyżej jednego sążnia płynie rzeka magmy. Szeleszczące drzewa rzucały rozdygotane cienie na brzegi jeziora, których kruszące się latami warstwy odsłoniły zawijasy starych szarości, zieleni i akwamaryn, przypominających zabytkowe mapy morskie. Pod powierzchnią dłonie Alice, nieustannie zbiegające się i rozłączające, wyglądały już nie tyle jak jednostki napędowe, ile jak oszołomione magnesy albo ręce, które usiłują znaleźć wyjście z ciemnego pokoju. Mimo wszystko pływała. Tak długo, aż zaczął gwizdać wiatr, a za judaszowcami zaszło różowe słońce. Pływała, aż zsiniały jej usta i skurczyły się brodawki piersi. Aż w domu zapalił się szereg świateł, a w kuchennych drzwiach pojawiła się sylwetka Ezry, wołającego ją śpiewnym, zatroskanym głosem, jakim wszyscy właściciele na świecie przywołują swoje zabłąkane psy.

Ociekała jeszcze wodą, kiedy na łóżku znalazła:

Pamiętkowe wydanie miesięcznika „Life”, przygotowane na obchody sześćdziesiątej rocznicy śmierci Franklina Delano Roosevelta.

Pismo pornograficzne z 1978 roku, poświęcone w całości historii krawca imieniem Jordy, którego lokalna społeczność uważała za

homoseksualistę i dlatego pozwalała mu asystować młodym kobietom w przymierzalni. („Nawet największa konserwatystka nie ma zahamowań, jeśli musi się rozebrać na oczach swojego lekarza – albo krawca. Starsze lub mniej atrakcyjne klientki traktowały Jordy’ego jak kolek, przedmiot nieożywiony, kogoś, kto układał im ubrania na ich nagich albo częściowo obnażonych ciałach niby pozbawiony uczuć automat...”).

Darmowy program z 33. Dorocznego Jarmarku Okręgu Allegheny, na którym wystąpili Doodletown Pipers, Arthur Godfrey and His Famous Horse Goldie i Banana Splits. Na odwrocie Ezra czarnym markerem i swoim wyjątkowo czarującym, pochyłym charakterem pisma zanotował: „Hej, Doodle. Wiesz, ja Cię naprawdę kocham”.

WYNURZYŁA SIĘ OBOK NIEGO na płytkiej wodzie.

Powiedział:

– Jesteś jak łódeczka.

Wytrząsnęła wodę z ucha i odepchnęła się od ściany basenu, żeby przepłynąć jeszcze jedną długość. Kiedy znowu podpłynęła do Ezry, zapytała:

– Pamiętasz Naylę?

– Tę Palestynkę?

– No. Przyjechała w zeszłym tygodniu zrobić ze mną wywiad, i mówię ci, Mary-Alice, ona ma najpiękniejszą skórę, jaką w życiu widziałem. Przypomina... – Poglądził się ręką po policzku. – Mleko czekoladowe.

– Czekoladowe mleko sojowe.

– Tak jest.

– Czyli że dobrze ci poszło. – Alice położyła się na wodzie na plecach.

– Zaproponowałem, żeby umówiła się ze mną na lunch, kiedy wrócę do miasta. Powiedziała, że zadzwoni. Skarbie, dla mnie nie ma to znaczenia, najmniejszego, ale czy nie skurczyły ci się cycki?

Zanurzyła się pod wodę i wygięła szyję, żeby na nie spojrzeć.

– Chyba tak. Mam kłopoty z zatokami, dlatego lekarz zalecił mi zakraplać sterydy do nosa. Lekarstwo działa, ale wydaje mi się, że zmniejszają mi się od niego piersi.

Przybrał mądrą minę i skinął głową.

– Co chcesz robić dziś wieczorem?

– A jakie mamy opcje?

– Remik. Albo koncert w szkole Perlmana.

– No to szkoła Perlmana.

– Nie chcesz wiedzieć, co zagrają?

– To nie ma znaczenia – odpowiedziała Alice, znów dając nura pod wodę.

Jechali samochodem, minęli klub rekreacyjny, gdzie golfiarze sadzili długie susy za piłeczkami, które potoczyły im się w długie cienie, a potem, na Sunset Beach, Ezra zwolnił na widok kilku dziewcząt z koktajlami daiquiri w dłoniach po drugiej stronie drogi, a Alice opuściła szybę, żeby poczuć wiatr na wyciągniętej ręce. Z tego miejsca nad wodą było widać aż North Fork, gdzie pociągi jadące z miasta zwalniały, nieubłagane hamując – tory kończyły się niespodziewanie, otoczone z trzech stron przez trawę, jak gdyby ludzie, których zadaniem półtora wieku temu było je ułożyć, podnieśli wzrok któregoś dnia i zorientowali się, że dalej już się nie da – bo drogę zagraadzała im zatoka. Okolica wydawała się tu dziksza, nieznana i niedosiężna dla stalowych żył miasta, którego bezlitosna siła wydawała się ostatnio stać w coraz większej sprzeczności z marzeniem Alice o nieco bardziej kontemplacyjnym życiu. Życiu, w którym mogłaby widzieć, naprawdę widzieć ten świat, i mieć do powiedzenia coś nowego o tym widoku. Z drugiej strony: czy cały wiejski spokój na ziemi może uleczyć człowieka z niepokoju wynikającego z wątpliwości wobec samego siebie? Czy Alice potrafi być sama ze sobą tyle, ile trzeba? Czy dzięki kontemplacji jej życie stałoby się chociaż trochę bardziej znaczące niż teraz? I czy Ezra nie powiedział już wszystkiego, co chciała powiedzieć Alice?

Zostawił samochód na dochodzącym do wody parkingu i oświetlani od tyłu przez zachodzące słońce poszli w kierunku markizy, której

zabkowane brzegi trzepotały i trzaskały na wietrze.

– Mary-Alice – powiedział, gdy idąc równym krokiem, pokonywali soczysty zielony trawnik. – Mam dla ciebie pewną propozycję.

– Aha.

– Chcę spłacić twój kredyt uniwersytecki.

– O rany. Dlaczego?

– Bo mądra z ciebie dziewczyna, naprawdę zdumiewająca, i myślę, że już czas, żebyś robiła to, co naprawdę chciałybyś w życiu robić. Nie byłoby ci łatwiej, gdybyś nie miała na głowie tych wszystkich długów?

– Tak. Chociaż nie ma tego tak dużo. Większość już spłaciłam.

– To jeszcze lepiej. Ile ci zostało?

– Wydaje mi się, że jakieś sześć tysięcy.

– Więc dam ci sześć tysięcy, żebyś za jednym zamachem mogła spłacić resztę, i może wtedy uda ci się trochę wyraźniej zobaczyć swoje życie. Przyjrzeć mu się swobodniej. Co ty na to?

– Mogę się zastanowić?

– Oczywiście, powinnaś. Możesz zastanawiać się tak długo, jak chcesz. I cokolwiek postanowisz, nie musimy już więcej o tym rozmawiać. Po prostu dam ci pieniądze albo nie, i na tym koniec. Okej?

– Okej. Dziękuję, Ezro.

– Ploszę baldzo – odezwali się oboje jednocześnie.

Na koncercie wystąpiła gościnnie młoda japońska pianistka, która grała już w salach koncertowych Londynu, Paryża, Wiednia i Mediolanu – chociaż z widowni wydawała im się dziewięcioletnim dzieckiem, które zbliża się do instrumentu tak dużego, że można by go wykorzystać jako trumnę dla nowo narodzonej żyrafy. Pierwsze trzy dźwięki zabrzmiały niczym świt nowego dnia, jak dzień albo sam czas; potem muzyka eksplodowała bębniącym wiatrem i deszczem gwałtownego szkwału, palce dziewczynki śmigały, skakały i przebierały z nieprawdopodobną prędkością, chociaż jej twarz pozostawała gładka i beznamietna niczym maska. Następnie pianistka zagrała dwa krótkie utwory Stockhausena, zupełnie inne w formie, bo Alice wydawało się, że to kot chodzi po klawiszach fortepianu; między jednym i drugim

kawałkiem, w poważnej ciszy – każdy przecież wie, że nie należy w niej klaskać – całą publiczność porwała fala kaszlu, jak gdyby w powietrzu nie wisały wciąż pozostałe po muzyce dysonansowe akordy, tylko gaz pieprzowy.

W przerwie przywitał się z Ezrą znajomy, mężczyzna o włosach koloru lwiej sierści i z turkusową chusteczką kielkującą w kieszonce jego marynarki z kory.

- Mój drogi Ezro. No i co o tym myślisz?
- Cudowna dziewczyna. Chociaż może trochę zbyt wyniosła.
- To Stockhausen jest wyniosły. Jak twoja książka?

Alice trzymała się z tyłu, popijała białe wino i popatrywała spokojnie na zatokę; za jej plecami dwie studentki dyskutowały o triadach i fermatach, a potem odrobinę dyskretniej o tym, kto może zostać wybrany jako solista na koncerty charytatywne w przyszłym miesiącu. Skończyła swoje wino i już miała odejść, kiedy Ezra dotknął jej ramienia i przedstawił ją:

- Cal, to jest Mary-Alice.
- Och – powiedziała Alice. – Cześć.
- Cześć.
- Właśnie opowiadałem Calowi, jak słyszałem Maurizia Polliniego, który ze sto lat temu zagrał w Luwrze *Burzę*. Poły fraka miał takie długie jak pociąg towarowy. Skarbie, naprawdę musisz postarać się kiedyś pójść na Polliniego.
- Lubisz muzykę? – spytał Cal.
- O tak – odparła Alice.
- Mary-Alice jest redaktorką – wyjaśnił Ezra.
- Właściwie to asystentką redaktora – powiedziała Alice.
- Wspaniale – stwierdził Cal. – W jakim wydawnictwie?
- Przepraszam was – wtrącił Ezra. – Skoczę tylko po dietetyczną colę.
- W Gryphonie – odparła Alice, przysuwając się bliżej, żeby zrobić miejsce dla ustawiających się za nią gęsiego ludzi.
- W takim razie na pewno jesteś nieprzeciętnie inteligentna. Roger nie zatrudnia głupków.

– Znasz Rogera?

– Oczywiście. Genialny facet. Genialny redaktor. Tym właśnie chcesz się zajmować? Redagowaniem książek?

Jakaś kobieta z dzieckiem na ręku powiedziała „przepraszam”, żeby wcisnąć się pomiędzy nich. Okazało się, że Cal ją zna, pochylił się więc, żeby ją pocałować.

– Felicity! To jest Mary-Alice. Przyjaciółka Ezry. A to?

– Justine.

– Justine...

Alice znalazła Ezrę na zewnątrz, siedzącego na ławce pod sklepieniem klonu; jego świeżo ogolona twarz w gasnącym świetle wydawała się ściągnięta i ziemista.

– Przepraszam, kochanie. Nagle zakręciło mi się w głowie.

– Chcesz wrócić do domu?

– Nie, nic mi nie będzie. Chcę, żebyśmy spędzili razem miły wieczór. Możemy zostać.

Alice usiadła obok i powiedziała:

– Cal zna Rogera. Mojego szefa.

– O kurczę. Trudno.

Skinęła głową.

– Trudno.

Kilka jardów dalej elegancko ubrana para paliła na spólkę papierosa. Kobieta powiedziała po francusku coś, co sprawiło, że Ezra na nią spojrzał, a pałący z nią mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– O czym myślisz? – zapytała Alice.

Ezra odwrócił się z powrotem do niej, zdziwiony.

– Myślałem o swojej książce. O pewnej scenie, której nie napisałem jak należy. Chociaż z drugiej strony, nic nigdy nie da się napisać jak należy. Można by właściwie pisać o plemieniu Hutu, bo i tak nie mamy pojęcia o tym, o czym piszemy.

Wyrzucili plastikowe kubki i grzecznie przecisnęli się w tłumie na swoje miejsca, pianistka wróciła na stół i patrzyła na odbijające się

w nim połyskliwe hebanowe klawisze z nadludzkim, jak można było pomyśleć, skupieniem. Potem wyprostowała dłonie w nadgarstkach, rozděła nozdrza i z klatki wypuszczony został *Hammerklavier*, wielkie, dudniące, surowe bębnienie, które na pewno nie znamionowało wyniosłości; wprost przeciwnie, Japonka kołysała się teraz w przód i w tył, pompowała pedał tak energicznie, że nawet tarła obcasem po podłodze, odrzucając przy tym kurczowo głowę w górę i w bok, jak gdyby z klawiatury leciały iskry, które mogłyby jej wpaść do oka. Podziałało to olśniewająco, a zarazem deprawująco na Alice; odbijająca się echem od jej mostka muzyka zmuszała ją jeszcze bardziej desperacko niż kiedyś, żeby coś robić, odkrywać, tworzyć – skierować całą energię na wyprodukowanie czegoś pięknego i jedyne go w swoim rodzaju po prostu dla siebie – ale budziła w niej także pragnienie miłości. Chciała kochać kogoś tak mocno i dobrze, że nie mogłoby być mowy o tym, że marnuje swoje życie, bo czy można zrobić coś szlachetniejszego niż poświęcić się dla szczęścia i spełnienia drugiego człowieka? W pewnym momencie pianistka lekko odchyliła się do tyłu, jej dłonie pracowały na przeciwległych krańcach klawiatury, wyglądało to tak, jakby musiała wstrzymywać jedną rękę, aby nie wystrzeliła w górę, gdy druga opadała, i wtedy Alice odwróciła się, chcąc popatrzeć na Ezrę, który z otwartymi ustami przyglądał się Japonce; dziewczyny, rozmawiające wcześniej o triadach i fermatach, siedziały zastygłe w pozach świadczących o zadziwieniu i upokorzeniu; cokolwiek umiały, to nie było to, czegoś takiego nie nauczą się nigdy, a jeśli kiedyś uda im się tak zagrać, to tylko jeśli poświęcą swoim marzeniom dużo, znacznie dużo więcej czasu na próbach. Tymczasem sypał się piasek w ich klepsydrach. Jak w klepsydrach wszystkich ludzi. Z wyjątkiem Beethovena. Piasek zaczyna się sypać już w chwili naszych narodzin i tylko żądając, by o nas pamiętano, mamy szansę na to, że ktoś będzie tę naszą klepsydrę raz po raz odwracał. Dotknęła smukłych, chłodnych palców Ezry, wzięła go za rękę i ścisnęła ją. Tym razem nikt nie kaszłał pomiędzy poszczególnymi częściami utworu.

NASTĘPNEGO DNIA PO POŁUDNIU sam zawiózł Alice na prom. Przyjechali wcześniej, a kiedy obserwowali z samochodu, jak statek ociężale cumuje na swoim stanowisku, Ezra, nie patrząc na nią, zadał jej pytanie:

– Czy nasz związek nie sprawia ci trochę bólu?

Blask światła odbitego od powierzchni zatoki raził ją w oczy.

– Nie sędzę. Najwyżej tylko troszeczkę.

Ze schodni spłynął potok roześmianych ludzi z torbami podróżnymi na ramionach; jedni machali, inni osłaniali oczy dłońmi przed słońcem. Para młodych gejów trzymała się za ręce, wyższy przyciskał do piersi jakąś roślinę w przewiązanej wstążką doniczkę.

– A nie boisz się jego konsekwencji?

– Jakich?

W odpowiedzi zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– A ty? – zapytała.

– Nie. Ale to dlatego, że dobiegam kresu życia, a ty... – zaśmiał się cicho na myśl o takiej symetrii – dopiero zaczynasz.

STUK-PUK, stuk-puk.

– Och, witaj, kochana. Masz pożyczyć papier toaletowy?

– Ależ Anno, przecież niesiesz w ręku całą rolkę!

Zbita z tropu, staruszka zawróciła w głąb korytarza.

– Czy coś się stało?

Anna energicznie odwróciła się z powrotem do Alice:

– Nie, kochanie. Nic się nie stało. Dlaczego?

– Nic ci nie potrzeba?

– Nie wydaje mi się. Powiedz mi, kochanie. Masz chłopaka?

STUK-PUK, stuk-puk.

– Kochanie... Jak ty się na...?

- Alice.
- Alice. Możesz mi powiedzieć, która jest godzina?
- Dochodzi czwarta.
- Czwarta ile?
- Czwarta i tyle. Dochodzi czwarta, jest za pięć czwarta. Po co ty nosisz ze sobą ten papier, Anno?

STUK-PUK...

Od ich ostatniej rozmowy nie minęło nawet dziesięć minut, ale kiedy Alice znów otworzyła drzwi, Anna chwyciła się za pierś i cofnęła, jak gdyby nie spodziewała się, że kogoś zastanie w domu.

– Och! Kochanie. Witaj. Chciałam zapytać, czy... Mogłabyś mi pomóc wymienić...

– ...Żarówkę?

Chodziło o lampę w kuchni, gdzie Alice dotąd nie była. Z łatwością mieściły się tam duży, nakrapiany rdzawymi plamami stół i sześć krzeseł o winylowych siedziskach. Słabe światło pochmurnego popołudnia z trudem przebijało się przez zasnuć brudem szyby; niższe oklejono pożółkłymi już kawałkami „Timesa”. „Reagan z nostalgią wspomina republikański senat”. „Rifka Rosenwein poślubiła Barry’ego Lichtenberga”. „Irmgard Seefried umiera w wieku 69 lat”. Wypalona żarówka zwisała niczym pajak na drucie nad kuchenką, której palniki zostały z niewiadomych powodów uszczelnione tu i ówdzie folią aluminiową. Alice przyciągnęła sobie jedno ze stojących przy stole krzeseł i weszła na nie. Odkręciła przepaloną żarówkę, zeszła, żeby wziąć nową, oparła się o kuchenkę i odruchowo raptownie cofnęła dłoń.

– Och! Anno, kuchenka jest gorąca!

– Naprawdę?

– Tak! Gotujesz coś?

– Chyba nie, skarbie.

– Ale używałaś jej przed chwilą? Gotowałaś coś dzisiaj?

– Nie wiem, kochanie. Nie wiem.

Wróciwszy do siebie, Alice wybiła numer widniejący na jej rachunku za czynsz i niecierpliwie krążyła po pokoju, czekając, aż skończy się nagranie z telefonicznym menu. Wcisnęła zero. Potem jeszcze raz.

– Kiedy rozlegnie się sygnał, proszę podać swoje imię, nazwisko i numer mieszkania. Biiip.

– Mary-Alice Dodge, Osiemdziesiąta Piąta Ulica Zachodnia dwieście dziewięć, mieszkanie numer pięć C.

– ...Tak?

– Dzień dobry, mówi Alice spod dwieście dziewięć, mieszkania pięć C. Telefonuję, bo sąsiadka z mojego piętra, Anna, ciągle do mnie przychodzi, już od dosyć dawna, i ja naprawdę nie mam nic przeciwko temu, żeby jej od czasu do czasu pomagać czy nawet dotrzymywać towarzystwa, bo to sympatyczna kobieta i wydaje mi się, że niekiedy puka do mnie tylko dlatego, że czuje się samotna, ale dzisiaj była już u mnie trzy razy i mam wrażenie, że przychodzi tak często, bo po prostu chyba nie pamięta, że była już u mnie przed chwilą. Najpierw miała problem z papierem toaletowym, potem przyszła zapytać o godzinę, później poprosiła, żebym jej pomogła wymienić żarówkę, i zrobiłam to, a kiedy poszłam do niej, zorientowałam się, że jej kuchenka, nawiasem mówiąc, dość stara, jest strasznie nagrzana. Nie wiem, czy tak powinno być, ale wydawała mi się o wiele za gorąca, choć wcale nie była włączona. I proszę posłuchać, jak już powiedziałam, nie chodzi mi o to, że nie chcę jej od czasu do czasu pomóc albo mieć na nią oka, oczywiście nieoficjalnie, ale nie za wiele mogę zrobić. A jeżeli Anna traci pamięć, jeżeli jej kuchenka jest zepsuta, a ona o tym nie wie, albo jeżeli zostawi ją włączoną i gdzieś na chwilę wyjdzie czy na przykład zaśnie...

– Jasne. Proszę poczekać minutę na linii, dobrze?

Musiała czekać co najmniej dwie minuty.

– Mary-Alice? – Męski głos brzmiał zupełnie inaczej niż przedtem, był wyższy i taki uprzejmy, że niemal śpiewny. – Połączyłem się z wnuczką Anny, Rachel, która jest teraz z nami. Możesz jej powtórzyć to, co mówiłaś mi przed chwilą?

– Bardzo mi przykro, Mary-Alice – wtrąciła pośpieszenie Rachel. – Bardzo przepraszam, że miałaś tyle kłopotów. I bardzo ci dziękuję za pomoc.

„**NAGRODA NOBLA** w dziedzinie literatury za rok 2004 przypadła Elfriede Jelinek za stworzenie muzycznego nurtu głosów i kontrgłosów w powieściach i dramatach, które z nadzwyczajną językową energią ujawniają absurdy społecznych konwenansów i banałów oraz ich zniewalającą siłę”.

– Poproszę łososia.

– A ja fusilli z kielbasą, ale bez kielbasy.

– Dwanaście stron – stwierdził ponuro, kiedy kelner odszedł.

– Och – powiedziała Alice. – Myślałam, że...

Pokręcił głową.

– To, co napisałem wcześniej, było do bani.

Pokiwała głową.

– A jak tam twoje plecy?

– Bola, kochanie. Zabieg nie przyniósł poprawy.

– Jaki zabieg?

– Denerwacja, którą miałem w zeszłym tygodniu.

– Och, nie wiedziałam... A co to jest denerwacja?

– Używa się fal radiowych, żeby zniszczyć nerw odpowiedzialny za przesył informacji o bólu do mózgu. Robili mi to już wcześniej i pomogło, ale tym razem z jakiejś przyczyny nie. – Podano im napoje. – Dobra wiadomość jest jednak taka – dodał, rozpakowując słomkę – że teraz mogę słuchać Jonathana Schwartza, nie włączając radia.

Wracali pieszo do mieszkania Ezry, kiedy zatrzymał ich jakiś młody człowiek w trenczu, który grzecznie zastąpił im drogę.

– Blazer! Skrzywdzili cię!

Niepanujący nad sobą z podniecenia fan odważył się nawet wyciągnąć do niego rękę. Ezra ostrożnie wysunął dłoń z kieszeni i podał

mu ją. Młodzieniec złożył pełen szacunku lekki ukłon; w tym momencie wiatr zdmuchnął mu jarmułkę, poniósł ją w powietrzu i rzucił na środek Amsterdam Avenue. Nieznajomy położył rękę na głowie i roześmiał się. Potem wskazał Ezrę, jak gdyby to on wyczarował ten wiatr:

– W przyszłym roku, chłopie! W przyszłym roku!

Dalej szli już w milczeniu. W windzie Ezra wyciągnął Alice liść z włosów i pozwolił mu opaść z trzepotem na podłogę.

– Jak tam Red Sox?

– Są dwa mecze do przodu z Anaheim.

– To dobrze, kochanie.

– A jak twoja Palestynka?

Odrzucił głowę do tyłu, znowu zdumiony.

– Nayla? Na razie nie zadzwoniła. – Patrzył na Alice coraz surowiej, jakby to ona w jakiś sposób mogła się przyczynić do tej zniewagi. Rozległ się dźwięczny sygnał, winda stanęła i Alice wysiadła, ale Ezra nie ruszył się z miejsca. – No i sama widzisz – powiedział, unosząc dłoń. – Jak my się mamy dogadać z tymi ludźmi?

Boston pokonał Anaheim, wygrywając trzy mecze z rzędu. Następnego wieczoru Yankees zwyciężyli Twins w czterech meczach, trzy do jednego. Alice czekała z nadzieją, ale Ezra zadzwonił tylko po to, żeby jej oznajmić:

– Szesnaście stron.

– Super. Jak plecy?

– Bołą.

– Bierzesz coś na to?

– Czy coś biorę? Oczywiście. Problem polega na tym, że mogę zażywać te leki tylko co drugi dzień. Inaczej łatwo wpaść w nałóg, a odzwyczaić się od nich jest cholernie trudno.

Pierwszy mecz o mistrzostwo ALCS obejrzała w barze. Red Sox dali ciała w dziewiątej rundzie, bo nie udało im się zdobyć punktów, kiedy rzucał Rivera, a Yankees zwiększyli prowadzenie z jednego homerunu do trzech.

„Numer ukryty”.

- Boję się o twoją babcię.
- Ja też. Nosi przynoszący jej rzekomo szczęście szlafrok już od lipca.
- Sądzę, że jutrzejszy mecz zechcesz obejrzeć u mnie.
- Chyba tak.

Boston znowu przegrał. Trzy dni później, po kolejnej porażce, dziewiętnaście do ośmiu, Ezra wyłączył telewizor i rzucił jej telefon.

- Lepiej do niej zadzwoń.

– Cześć, babuniu. Mówi Alice... Wiem... Wiem... To straszne... Przepraszam... Nie, prawdę mówiąc, oglądałam u znajomego w domu... Nie, nie znasz... Mm-hmm... Tak, naprawdę?... To dziwne... Była z nim Doreen?... No, on też jest shrinerem...^[19] Okej... Muszę już kończyć... Muszę już kończyć, babciu... Ja też cię kocham... Okej... Dobranoc... Dobranoc.

- Co powiedziała?

- Że Francona jest jak w śpiączce.

- To dobrze. Co jeszcze?

– Że spotkała przypadkiem brata mojego ojca w supermarkecie. Powiedział, że podobało mu się moje epicentrum na pogrzebie dziadka. Ale chyba chodziło mu o epicedium, które wygłosiłam na cześć zmarłego.

Nazajutrz po południu nagrał jej telefoniczną wiadomość z pytaniem, czy nie miałyby nic przeciwko temu, żeby po drodze do niego wstąpić do Duane'a Reade'a i kupić słoik kwasu foliowego, jedną wiśniową mylantę z wapnem na zgagę i dziesięć dwuuncjowych butelek żelu Purell. Kiedy przyjechała, krążył po dywanie w samych skarpetkach z rękami założonymi na plecy i krzywił twarz. Podała mu torbę.

Zajrzał do środka.

- Hmm.

- Coś się stało?

- Nic, kochanie. Nie twoja wina. Nieważne.

O północy, pod koniec dziewiątej rundy, Yankees prowadzili jednym punktem, a kibice Bostonu wstali z miejsc i zaczęli się modlić. Ktoś anemicznie podniósł transparent z napisem „Jeszcze 4 mecze”. Alice

ogłądała zawody, zasłaniając sobie oczy rękami, a Ezra wstał i zabrał się do swoich stu rzeczy przed snem.

– „Przyjęcie się skończyło...”

Millar zszedł z boiska. Red Sox zastąpili go Robertsem, który zdobył drugą bazę. Potem Bill Mueller posłał piłkę prościutko w sam środek szyków przeciwnika, a Roberts zdobył trzecią ślizgiem.

– Taaaaak!

Ezra wyszedł z łazienki ze szczoteczką do zębów w ręku i usiadł.

Wynik nie zmienił się przez dwa następne innings. Oglądała mecz, siedząc na podłodze i gryząc zaciśniętą pięść; potem Big Papi uderzył piłkę na podwójny homerun, a Alice błyskawicznie zerwała się na nogi i wskoczyła w biegu na łóżko.

– Udało się! Wygraliśmy! Red Sox wygrali! Wygraliśmy, wygraliśmy, wygraliśmy, wygraliśmy, wygraliśmy, wygraliśmy!

– Ty wygrałaś, kochanie. Uczciwie i sportowo.

– Dopiero teraz przyjęcie się skończyło!

Na mecz numer pięć przyszła w jednej ze spódnic od Searle’a i czapeczce drużyny Boston Red Sox z literą B. Zastąpił jej drogę w korytarzu przed drzwiami, rozejrzał się na lewo i prawo, po czym wyciągnął ją z windy za ramię.

– Czyś ty zwariowała? W tym mieście?

Telewizor był już włączony i wyglądało na to, że właśnie trwa też pracowite porządkowanie biurka; Ezra podał jej drinka i menu potraw na wynos z Pig Heaven, a potem, pogwizdując, wrócił do zaklejania kopert, darcia faksów, wyrzucania starych czasopism do kosza na śmieci i przechodzenia nad stojącymi na podłodze miniaturowymi zikkuratami obcojęzycznych wydań swoich książek.

– Hej, Mączysty Kartoflu – powiedział, podnosząc wzrok znad wyciągu z konta bankowego. – Opowiadałem ci kiedyś o *Glow Worm*?

Postawiła ptaszka przy daniu o nazwie Soong; było z wieprzowiną.

– Nie.

– W latach pięćdziesiątych była taka popularna piosenka pod tytułem *Glow Worm*. Nagrali ją Mills Brothers. A na początku lat

sześćdziesiątych, kiedy uczyłem twórczego pisanie w Altoona – pokręcił głową – powiedziałem jednemu ze swoich studentów, że powinien zadbać o większą liczbę szczegółów w swojej prozie. Bo to szczegół, jak mu tłumaczyłem, ożywia literaturę. Chłopak napisał opowiadanie, którego pierwsze zdanie brzmiało: „Danny wszedł do pokoju, pogwizdując”. Odbyliśmy tę rozmowę, student miał poprawić swoje dzieło w domu, i kiedy pojawił się u mnie po tygodniu, pierwsze zdanie jego opowiadania wyglądało tak: „Danny wszedł do pokoju, pogwizdując *Glow Worm*”. Była to jedyna zmiana, jakiej dokonał w tekście.

Zachichotała.

– Ze wszystkich białych dziewczyn najłatwiej rozśmieszyć ciebie, Mary-Alice.

– Co się z nim stało?

– Z kim?

– Z tym twoim studentem!

– Dostał Nagrodę Nobla.

– Daj spokój.

– Tak naprawdę grał przez jakiś czas dla Washington Senators. W tamtych czasach w poszczególnych ligach występowało tylko po osiem drużyn.

– Tylko po osiem?

– Och, Mary-Alice, jesteś beznadziejna! Począwszy od mezozoiku, w każdej lidze grało po osiem zespołów, aż do 1961 roku, kiedy wprowadzono nowe drużyny, składające się z graczy niechcianych gdzie indziej, jak Hobie Landrith i Choo Choo Coleman. Choo Choo... Coleman! Nieźle nazwisko, co? A Metsi byli tak słabi, że Casey Stengel, dawny menedżer Yankees, którego ściągnęli z emerytury, by pokierował drużyną, usiadł kiedyś na ławce rezerwowych i zapytał: „Czy w tym zespole naprawdę nikt nie potrafi grać w bejsbol?”.

Pod koniec dziewiątej rundy wciąż było cztery do czterech, gdy Ezra wyciszył telewizor w czasie reklamy Viagry i odwrócił się wesoło do Alice.

– Kochanie, w delikatesach na rogu mają lodowe batony Häagen-Dazs w zamrażarce, pod ścianą. Chcesz jednego?

– Teraz?

– Pewnie. Wrócisz raz-dwa. Ale posłuchaj. Ja chciałbym takie waniliowe w środku, z czekoladową polewą i z orzechami. Jak tych nie będą mieli, to czekoladowe w środku i z czekoladową polewą, ale bez orzechów. A jak nie będą mieli takich, to waniliowe w środku, z czekoladową polewą i bez orzechów. Plus wszystko, na co ty masz ochotę, skarbie. Mój portfel leży na stole. Leć!

Mieli tylko batony malinowe. A w sklepie ulicę dalej tylko z czekoladą w środku, z czekoladową polewą i z orzechami. Alice wzięła jednego i przyglądała mu się przez nieco dręczącą chwilę – nawet producent był inny – aż wreszcie odłożyła go, pobiegła spory kawałek na Amsterdam Avenue i tam w jakimś maleńkim sklepiku typu „mydło i powidło”, gdzie obok cukierków Caramel Creams sprzedawano pornosy, znalazła pod ścianą zamrażarkę pełną niemal wyłącznie batonów z wanilią w środku, z czekoladową polewą i z orzechami.

– Si!

Sprzedawca jadł jakiś kupiony na wynos posiłek i oglądał mecz; telewizorek stał wciśnięty pod ladę.

– Co się stało? – zapytała Alice.

– Ortiz musiał zejść. – Z uniesionym widelcem oglądał dalej zmagania bejsbolistów, a potem podniósł drugą rękę, by wziąć pieniądze Ezry. Gdy wreszcie spojrzał w górę i zobaczył B na czapeczce Alice, głośno wciągnął powietrze do płuc. – *Ah, la enemiga.*

– Gdzieś ty się podziewała? – zapytał Ezra, kiedy Alice wróciła.

W dwunastym inningsu Ortiz próbował zdobyć drugą bazę, ale musiał zejść z boiska, gdy stojący w rozkroku Jeter wyskoczył pionowo w górę, by złapać wysoko rzuconą piłkę od Posady. Chwycił ją, przez niemożliwie długą chwilę zdawał się wisieć w powietrzu, a potem opadł na ziemię i poklepał Papiego po plecach.

– Mój Boże – odezwał się Ezra, wskazując ekran patyczkiem do lodów. – Przez chwilę myślałem, że oglądam Niżyńskiego.

– Ohyda. Nie znoszę Jetera. Zobacz, jaką ma zadowoloną minę!

– Pamiętasz te czasy, kiedy uprawialiśmy seks, Mary-Alice?

– Doszedł!

– Nie doszedł, kochanie.

– A właśnie, że doszedł!

W trzynastej rundzie Varitek rzucił trzy nieobliczalne piłki bez rotacji, dzięki czemu Yankees zdobyli drugą i третią bazę. Alice jęknęła. Na trybunach pojawił się kolejny transparent: „Nie traćcie wiary”.

– W co? – spytał Ezra. – We Wrózkę Zębuszkę?

Dwa razy wyautowany pod koniec czternastej rundy Ortiz uderzył piłkę najpierw za prawą linię, potem za lewą, później dwukrotnie przerzucił ją nad backstopem, aż w końcu uderzył czysto na środek pola i Johnny Damon zdobył bazę domową.

– Hurraaaaaa!

– W porządku, Choo. Dość tego. Pora do łóżka.

– Och, Mary-Alice – zostawił jej rano wiadomość w poczcie głosowej, niecałą godzinę po tym, jak od niego wyszła. – Przepraszam, że o to proszę, ale czy przed przyjściem do mnie wieczorem... bo zakładam, że przyjdiesz... mogłabyś najpierw zajrzeć do Zabara i kupić mus jabłkowy? Z kawałkami owoców? Zwrócę ci forszę.

Miał matowy, rozdrażniony głos, brakowało w nim gadatliwości z poprzedniego dnia, a kiedy Alice do niego przyjechała po zakończeniu kryzysowego spotkania w sprawie e-booków, które zajęło jej całe popołudnie, trzymał ręce na plecach, chodził po pokoju i znowu się krzywił; telewizor był ściszony, a na fotelu leżała poduszka elektryczna, rozgrzewająca puste, bo opuszczone już przez niego miejsce. Najciszej jak potrafiła, schowała mus do lodówki, wyjęła z szafki szklankę i zdjęła plastikową pieczęć z nowej butelki knob creeka. „Tel. do Mela: kon.”, brzmiała wiadomość na samoprzylepnej karteczce przyklejonej do blatu. Napis na drugiej karteczce obok głosił: „Patyczki higieniczne!!!”. Już sama forma tych wiadomości, zanotowanych jego jedynym w swoim rodzaju charakterem pisma, sprawiła, że Alice poczuła się jak głupia, bo wydawało się jej, że ona też umie pisać. Kiedy znowu podniosła wzrok, siedział na fotelu, ze stoickim spokojem trzymając prosto głowę, którą

można by wziąć za woskowy odlew, patrząc na nią z tyłu, gdyby nie jej ledwo widoczne pulsowanie.

Zabrała kieliszek i położyła się w poprzek łóżka. W migotliwej ciszy oglądali przedmeczową grafikę tak uważnie, jak gdyby za chwilę mieli zobaczyć na ekranie informację o tym, jak długo oboje będą jeszcze żyć. „Mecz 3: najdłuższy mecz 9-inningowy po zakończeniu sezonu ligowego w historii (4:20). Mecz 5: najdłuższy mecz po zakończeniu sezonu ligowego w historii (5:49). Czas trwania pierwszych 5 meczów: 21 godzin i 46 minut. Wykonano 1864 rzuty”. Pamiętała wszystkie składy drużyn, przez chwilę myślała, czy nie przeprowadzić się na Dominikanę, i zastanawiała się, co będzie z kolacją. Instynkt, jeśli nie wrodzony, to ukształtowany przez dawne lęki z dzieciństwa, podpowiadał jej, żeby przeczekać, a nawet łagodzić takie nastroje, siedząc możliwie najciszej i najspokojniej. Bourbon podsuwał jej jednak inne pomysły.

– Uwielbiam ten kolor – powiedziała, kiedy cięcie na ekranie zmieniło obraz w szerokie ujęcie Yankee Stadium, którego murawa została skoszona w pasy o dwóch nieznacznie różniących się szmaragdowych odcieniach.

Kilka sekund później Ezra odpowiedział niskim, spokojnym głosem:

– Tak. Zieleń stosowna do wieczornego meczu.

Kiedy Jon Lieber zajął stanowisko miotacza, Alice znowu wstała, by nalać sobie więcej bourbona.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy podkreśliли dźwięk?

Telewizor grał za głośno, jakby poprzedniego dnia oglądali mecz w gronie kilkunastu znajomych, którzy śmiali się i gadali jeden przez drugiego; pierwszy komentator miał nieznaczny południowy akcent i wydawał się niemal kamiennie spokojny, jego partner mówił natomiast soczystym, krzepiącym barytonem, przypominającym głos narratora w reklamach Viagry. Ich unosząca się nad boiskiem treningowym paplanina o ścieganie Curta Schillinga i „trudnych warunkach” atmosferycznych wypełniała niewielki pokój jak zaproszeni na kolację bezcieleśni goście, którzy usiłują nie zwracać uwagi na rosnące napięcie między gospodarzami. Prognoza pogody: mżawka.

Prędkość wiatru: 14 mil na godzinę, z lewej na prawą stronę boiska. Nałożone na zamglony pejzaż miejski odbicia sylwetek Alice i Ezry wyglądały w żółtym świetle jego lampki do czytania jak nieruchomi więźniowie domku dla lalek. Sami, choć razem, razem, chociaż sami... Z tym że oczywiście nie byli sami. Towarzyszył im ból Ezry. Ezra, jego ból i Alice, z trudem tolerowana wysłanniczka z irytującego świata ludzi zdrowych.

– Prowadzi drużyna Red Sox cztery do zera, a w związku z problemami technicznymi dzisiejszy mecz przekazuje dla państwa stacja American Forces Network. Nasi przyjaciele z AFN transmitują to spotkanie dla żołnierzy amerykańskich sił zbrojnych, stacjonujących w stu siedemdziesięciu sześciu krajach świata oraz na terytorium Stanów Zjednoczonych, i oczywiście na pokładach okrętów wojennych, znajdujących się na morzu. Witamy naszych umundurowanych rodaków i rodaczki, służących tak daleko od naszych granic, i dziękujemy za wszystko, co dla nas robicie.

Na trybunach trzech faceci, którzy naciągnęli kaptury na głowy dla ochrony przed deszczem, żonglowali plastikowymi kubeczkami do piwa i wymalowanymi odręcznie transparentami: „Na urlopie z Iraku. 32. szpital polowy, cześć Wam: do boju, Yanks!”.

– Nie ma drugiego takiego miasta w tym kraju – mówił zadumany głos z południowym akcentem – które przypominałoby mi bardziej o poświęceniu tych ludzi, bo to dzięki nim cieszymy się dziś wolnością... – Jason Varitek poprawił sobie ochraniacz na piersi. – ...To jest... To jest gość. Prawdziwy lider zespołu, proszę państwa. To on uderzył tę piłkę tak wysoko. Spójrzcie. Popatrzcie na tego faceta, pomyślcie o wszystkich jego inningach, o wszystkich osiągnięciach... A teraz spójrzcie, co się dzieje: wciąż daje z siebie wszystko, biegnie na ławkę rezerwowych, żeby włożyć kostium, wrócić na boisko i wyłapać tyle piłek Curta Schillinga, ile tylko zdoła, żeby dotrwał spokojnie do końca szóstej rundy...

– Na bardzo zmęczonych nogach...

– Na podstawie tego opisu można by pomyśleć, że byłby z niego niezły żołnierz...

Ezra wcisnął klawisz wyciszający dźwięk.

Alice jeszcze przez chwilę wpatrywała się w ekran, zanim dopiła resztkę wina z kieliszka.

– Jesteś głodny? Chcesz coś zamówić do domu?

– Nie, skarbie.

– Kupię ci jutro patyczki higieniczne, jeśli chcesz.

Pochylił się, żeby poszukać czegoś na podłodze.

– Dziękuję, kochanie. Wolałbym, żeby przestali już ją pokazywać.

– Co?

– Jego skarpetę. Robi mi się niedobrze na ten widok.

Zażył pigułkę.

– Myślałam, że nie powinieneś brać ich codziennie.

– Dziękuję, moja mała panno z pamięcią jak słoń.

– Ojej! Widziałeś?

– Co?

– A-Rod go uderzył!

Patrzyli, jak piłka toczy się za linię boczną, a Jeter dobiega do bazy.

– Biegł do pierwszej, Arroyo rzucił się, żeby go zatrzymać, a A-Rod wytrącił mu piłkę z ręki!

Z ławki wstał Francona, żeby się poskarżyć. Sędziowie zbili się w grupkę i odbyli naradę. Kiedy zmienili swoją pierwotną decyzję, kibice Nowego Jorku zaczęli gwizdać i rzucać różne przedmioty na murawę.

– Nie do wiary – odezwała się Alice. – To było niewiarygodnie dziecinne. – Spojrzała na Ezrę, który wpatrywał się w ekran. – Gdybym grała dla Yankees, wstydziłabym się, że próbują objąć prowadzenie, stosując takie metody.

– Gdybyś grała dla Yankees – stwierdził cicho Ezra – nie graliby o mistrzostwo.

Roześmiała się.

– Możemy już wyłączyć dźwięk?

Powoli odwrócił głowę w jej stronę.

– Mary-Alice...

– Co?

– Boli mnie.

– Wiem. Ale jak mogę...

Skrzywił się.

– Ale jak możesz mi pomóc?

Przytaknęła niepewnie ruchem głowy.

– Zaczekaj – dodała po chwili. – Właściwie to dużo mogę. Chodzę dla ciebie po zakupy do Zabara i do Duane’a Reade’a, i do delikatesów, żeby ci kupić lody na czas rozgrywania dodatkowych inningów...

– Kochanie, sama zaproponowałaś, że będziesz to robić. Pamiętasz? Zaproponowałaś, że będziesz mi pomagać w chorobie. Powiedziałaś: „Jeśli tylko czegoś potrzebujesz, to mieszkam tuż za rogiem”. W innym wypadku o nic bym cię nie prosił.

– Wiem, ale...

– Myślisz, że mi się podoba, że jestem w takim stanie? Myślisz, że podoba mi się starość, że jestem zadowolony, że ból odbiera mi sprawność i staję się zależny od obcych ludzi? – Głowa Ezry pulsowała teraz wyraźniej, jak gdyby miała za chwilę eksplodować.

– Spierdalaj – odparła.

Przez chwilę jedynymi odgłosami w pokoju były trzaski zmieniającej się częstotliwości zakłóceń na ekranie telewizora, kiedy ekran migotliwie przechodził z ciemności w jasność i z jasności w ciemność. Alice ukryła twarz w dłoniach i siedziała tak przez dłuższy czas, może czekając, że się stąd dokądś przeniesie – albo może odliczając w myślach upływ czasu; chciała dać im obojgu szansę, by mogli się gdzieś ukryć – lecz kiedy w końcu cofnęła dłonie, Ezra wciąż siedział na miejscu, dokładnie w tej samej pozycji co poprzednio: z nogą założoną na nogę, oczami pociemniałymi od udręki, i czekał. Nie widziała go wyraźnie przez szkliwo swoich łez.

– Co ja mam z tobą zrobić, Mary-Alice? Co chciałabyś, żebym zrobił? Co zrobiłabyś na moim miejscu?

Znowu zakryła oczy rękami.

– Traktowałabym samą siebie jak gówno – powiedziała w swoje dłonie.

W domu znalazła w skrzynce list ze studenckiego biura kredytowego uniwersytetu Harvarda z podziękowaniem za całkowitą spłatę pożyczki Federal Perkins.

Red Sox wygrali.

BARMAN BEZ PYTANIA NALAŁ Alice do szklaneczki resztę zawartości butelki.

Przesunęła szklankę o cal w bok i znowu położyła sobie rękę na kolanach.

– Grasz w szachy? – zapytał siedzący obok mężczyzna z brytyjskim akcentem.

Odwróciła się do niego.

– Mam szachownicę.

– Znasz francuski?

– Nie. Dlaczego?

– Bo jest takie wyrażenie, którego używają szachiści, żeby powiedzieć, że bierka została tylko przesunięta w miejscu, a nie przeniesiona na inne pole.

– Naprawdę? Jak ono brzmi?

– *J'adoube*.

Skinęła głową, spojrzała na telewizor, podniosła szklaneczkę i tym razem się z niej napiła.

– **CZEŚĆ – RZUCIŁA**, pukając do drzwi gabinetu swojego szefa. – Masz tu te...

Odłożył z trzaskiem słuchawkę na widelki.

– Przepraszam – powiedziała Alice. – Nie wiedziałam...

– Ten jebany Blazer zostaje u Hilly'ego.

Wściekle masował sobie czoło palcami. Alice położyła tekturową teczkę na jego biurku i wyszła.

– **RZECZ W TYM – ZWRÓCIŁA SIĘ** do Brytyjczyka, który miał na imię Julian – że oni nie grali w World Series od 1986 roku. Niektórzy przypisują to tak zwanej klątwie Bambino: uważają, że drużyna Red Sox ponosi karę za sprzedanie Babe Ruth do Nowego Jorku.

– Do zespołu Yankees.

– Tak. Chociaż dzisiaj w tym mieście występuje też drużyna Mets, ale ona powstała dopiero w latach sześćdziesiątych. – Pociągnęła łyk ze szklanki. – Wcześniej w poszczególnych ligach grało tylko po osiem zespołów.

PUJOLS ZDOBYŁ DRUGĄ BAZĘ, gdy miotacz rzucił piłkę za blisko pałkarza.

Kiedy Rentería odbił piłkę do Foulke’a, ten wyautował go już pierwszym rzutem i wszyscy gracze z ławki rezerwowych wybiegli na murawę, żeby się ściskać z radości, wskakiwali jeden drugiemu na plecy, padali sobie w ramiona, młócili pięściami powietrze i z wdzięcznością wskazywali na niebo. Na trybunach flesze aparatów fotograficznych trzaskały, trzask, trzask, trzask, jak strzały z broni palnej. Na chwilę pokazano satelitarne zdjęcie żołnierzy w Bagdadzie, świętujących zwycięstwo w mundurach z pustynnym kamuflażem, a potem nastąpiło cięcie i na ekrany powrócił program Bank of America Postgame Show, a Bud Selig wręczał Manny’emu Ramírezowi nagrodę dla najlepszego gracza meczu. Reporter zapytał go, jak się teraz czuje.

– No wie pan, najpierw było kiepsko, wie pan, mieli mnie sprzedać, ale wie pan, mam do siebie zaufanie i wierzę w siebie, i udało mi się, wie pan, niebo mi sprzyja, i wie pan, udowodniłem, że dużo ludzi się myliło, wie pan, wiedziałem, że mi się uda, i udało mi się, dzięki Bogu.

– Wierzy pan w klątwy?

– Nie. Myślę, że sami decydujemy o swoim losie, i udało się nam, wie pan, wierzymy w siebie nawzajem. Wyszliśmy na boisko, gramy na luzie, wie pan, wymęczyliśmy zwycięstwo i udało się.

Alice spojrzała na swój telefon. Barman przyniósł im następną kolejkę.

– Każdy sam decyduje o swoim losie – powiedziała kostycznie, chowając komórkę do torebki.

– On ma rację – stwierdził Julian, przyciągając Alice, żeby ją pocałować.

STUK-PUK, stuk-puk.

Anna stała w progu mieszkania Alice z zakurzoną butelką wina, pozbawioną etykiety, tylko gęsto pokrytą defiladą hebrajskich liter. Głowa staruszki dygotała lekko, jak gdyby przymocowana do korpusu na sprężynie.

– Mogłabyś mi to otworzyć, kochanie?

Korek był poczerńiały.

– Proszę.

– Chcesz trochę?

Podeszła do blatu w swojej kuchni, napełniła do połowy dwa słoiki po dzemie i zaniósła je Annie, która stała wciąż drżąc w tym samym miejscu co przedtem, tuż za drzwiami. Na klapie jej szlafroka w wyblakłe stokrotki widniała brązowa plama, przypominająca kształtem Florydę. Przyjęła wino ostrożnie, obiema rękami, mówiąc, że od dawna nie piła niczego na stojąco.

– Mój siostrzeniec popełnił dziś samobójstwo.

Alice opuściła rękę, w której trzymała słoik.

– ...Dlatego musiałam się napić.

– Nie dziwię się – odparła cicho Alice. – Ile miał lat?

– Co?

– Ile...

– Pięćdziesiąt.

– Chorował?

– Nie.

– Miał dzieci?

– Co?

– Czy miał dzie...?

– Nie.

Żadna nic nie wypła, ale Anna patrzyła na swoje wino takim wzrokiem, jak gdyby zastanawiała się, kiedy zacznie działać.

– Głosowałaś? – zapytała Alice.

– Co?

– Czy byłaś dzisiaj głosować? W wyborach na prezydenta?

– Czy nie mam pręta?

Alice pokręciła głową.

– Powiedz mi... – zaczęła Anna.

– Alice.

– Wiem. Mieszkasz tu sama?

Przytaknęła.

– I nie czujesz się samotna?

Wzruszyła ramionami.

– Czasem...

Anna spoglądała teraz za jej plecy, w głąb korytarza i dalej, tam gdzie paliła się lampka do czytania i gdzie na łóżku okładką do góry leżał rozłożony *The Fall of Baghdad*. Radio na komódce informowało cicho, że w Nowym Jorku wygrał Kerry, a w Nebrasce Bush.

– Ale chłopaka masz, kochanie, prawda? Jest ktoś wyjątkowy w twoim życiu? – Jej słoik z winem, który trzymała wciąż obiema rękami niczym kapłan kielich, przechylił się jeszcze o jeden stopień katowy niżej.

Alice uśmiechnęła się dość smutno.

– Może będzie.

„Numer ukryty”.

SOBOTA

21

MAJA

SOBOTA

18

CZERWCA

SOBOTA

2

LIPCA

ROZLEGŁ SIĘ TRZASK zamykanych drzwi od samochodu.

– Przepraszam państwa! – zawołał z okna w kuchni. – Rezerwację macie dopiero od jutra!

Dzieci, nie zwracając na niego uwagi, ruszyły w wesołych podskokach po kamiennej ścieżce, chłopiec wymachiwał zabawką, policyjną motorówką, a dziewczynka miała przymocowane do pleców skrzydła wróżki, połyskujące ametystowo w mocnym letnim słońcu. Ezra, który trzymał otwarte drzwi, żeby je wpuścić, wyglądał jak elficki lokaj.

– Olivio! Wyrośli ci skrzydła!

Kyle podskakiwał jeszcze przez całą drogę na piętro po schodach i do salonu, gdzie padł do góry nogami na otomanę Ezry i zamiatając włosami deski podłogowe, oświadczył:

– Olivii rusza się ząbek!

– Naprawdę, Olivio?

Siadając na samym brzeżku kanapy, by nie zmiażdżyć swoich skrzydeł, Olivia przytaknęła.

– Mocno się rusza?

– Mosno! – odpowiedział Kyle.

Zerkając ukradkiem na Ezrę, Olivia oblała się rumieńcem.

W czasie lunchu:

– Ezro?

– Tak, skarbie?

– Jak to się stało, że jesteś taki obyty, wyrobiony?

Opuścił rękę, w której trzymał korniszona.

– Obyty w jakim sensie?

Olivia wzruszyła ramionami.

– Nosisz ładne koszule. I znasz prezydenta.

Z talerza Kyle’a w stronę krawędzi stołu potoczyło się samotne winogrono.

– Oho – powiedziała Alice, rzucając się, żeby je złapać. – Uciekające winogrono.

– Usiekające winogrono!

– Aż taki obyty to ja wcale nie jestem – stwierdził Ezra.

– Ezra ciężko pracuje – powiedział Edwin, wyciągając z włosów córki drzazgę ziemniaczanego chipsa. – Jak będziesz ciężko pracować i dobrze się uczyć, to może pewnego dnia ciebie też będzie stać na ładne koszule.

– I poznam prezydenta?

– Sama zostaniesz prezydentem – powiedziała Eileen.

– Tak jest – dodał Ezra. – Prezydentem Wu. Panią prezydent Wu. Zresztą już dzisiaj byłabyś lepsza od tego prezydenta, którego mamy teraz.

Olivia wsunęła sobie do buzi łyżeczkę lodów miętowych z kawałkami czekolady i powoli, z namysłem, poruszała ustami, jakby trzymała w nich kamyk albo włos. Kyle, który siedział u Alice na kolanach, pierdnął.

– Ojejku – powiedziała Alice.

– Ojejku – powtórzył Kyle, chichocząc w łyżeczkę.

Na basenie nosił kąpielówki w homary, a jego siostra za duży na nią kostium jednoczęściowy, który opadał, odsłaniając płaskie jak jednocentówki, blade brodawki.

– Patrz – powiedziała rozkazująco Olivia, kiedy matka energicznie nacierała jej ramionka olejkami do opalania; w otoczeniu czterech oblepionych czekoladą siekaczy ruszający się ząb chwiał się mocno w przód i w tył pod palcem dziewczynki, jak pijak.

– O kurczę – powiedziała Alice. – Naprawdę mocno się rusza.

Był ciepły, pochmurny i duszny dzień, ale Ezra siedział na leżaku w spodniach, koszuli z długimi rękawami i sznurowanych półbutach, zawiązanych na podwójną kokardkę. Na jego kolanach leżała założona zakładką *Wieczna orgia*, a czapka z napisem „Penn State Altoona” zwisała mu z głowy tak, że litery trochę się załamywały.

– No, pamiętajcie tylko, dziewczynki i chłopcy, że wpuszczam do basenu specjalny środek chemiczny, od którego siuski robią się czerwone. Jasnoczerwone! Więc jak tylko ktoś nasika do basenu, to woda przybierze jasnoczerwony kolor.

Kyle rzucił za siebie ukradkowe spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

– Marco – powiedziała Alice.

– Polo! – wrzasnęły dzieci.

– Marco.

– Polo!

– Marco!

– Polo!!!

– Marco!!!

– Polooooooooo!

Ezra podniósł rękę.

– Przepraszam, ale czy któreś z was naprawdę wie, kim był Marco Polo?

Kyle i Olivia zatrzymali się, leżeli na powierzchni, podskakując jak korki, i prychali wodą przez nos i usta; po chwili Olivia zwróciła się do Alice i zapytała słodko:

– Zabierzesz mnie tam, gdzie jest głębiej?

Alice przykucnęła, a dziewczynka uczepiła się jej biodra; potem Alice szła przed siebie tak długo, aż wreszcie przestała wyczuwać dno pod stopami i musiała zacząć wyciągać najpierw jedną, a potem drugą rękę

wzdłuż długiego, kamiennego brzegu. Im głębiej się robiło, tym mocniej przywierała do niej Olivia, która oglądała się przez ramię i dygotała, jakby widząc na dnie skutki przerażającej katastrofy morskiej.

– Alarm, alarm! – roześmiała się Alice, kiedy zdalnie sterowana motorówka Kyle’a dogoniła ich i uderzyła ją w pierś.

– Trzymaj się mocno, Olivio! – zawołała jej matka.

Gdy dotarły na drugi koniec basenu, ręce i nogi dziewczynki oplatały Alice mocno jak imadło.

– No i jak? – spytała Alice.

– Dobrze – szepnęła Olivia, szczękając zębami.

Ezra machał nogą i z lekko znudzoną miną spytał, czy ktoś słyszał jakieś nowe dowcipy.

Edwin opuścił swój smartfon.

– Co mówi blondynka, jak widzi dwa bociany?

– Będę miała bliźniaki! – wrzasnęła Olivia do ucha Alice.

– Dobrze – powiedział Ezra. – Coś jeszcze?

Kyle spróbował stanąć na kickboardzie.

– So nam wyjcie, jak skszysujemy tyranosaura s... s... s, no...

– Z czym?

Kickboard podskoczył do góry.

– Sapomniałem.

Ezra pokręcił głową.

– Nad tym trzeba jeszcze popracować.

– A dlaczego herbatnik zgłosił się do szpitala? – zapytała Olivia.

– Dlaczego?

– Bo czuł, że jest z nim krucho!

Kyle zachichotał; Ezra stęknął. Wciąż przyklejona do Alice jak skałoczep Olivia odwróciła się do niej i zmarszczyła nosek.

– Nad tym też trzeba jeszcze popracować?

– Ja mam kawał – odezwał się Ezra. – Facet płaci mandat na poczcie. Kasjerka pyta, za co. „Za plucie”. „Plucie chyba nie jest jeszcze karalne”,

mówi kasjerka, a facet na to: „Nie, ale ja pluję setką w telenie zabudowanym”.

Dzieci patrzyły na niego.

– Nie rosumiem – przyznał Kyle.

– Chodzi o to, że on tak śmiesznie mówi – powiedziała Olivia. – Prawda?

– Prawda.

– Ale so w tym simiesznego? – spytał Kyle.

– Nic – odparł Ezra. – Nieważne.

– Trzeba jeszcze nad tym poplacować – podpowiedziała Eileen.

Wzmagał się wiatr i zaszeleścił liśćmi. Niezbite z tropu dzieci nauczyły Alice zabawy w „rekina i rybki”, potem w „głupiego Jasia”, a później same wymyśliły jakąś zabawę, polegającą na tym, że najpierw jedno z nich, a potem drugie wspinało się Alice na plecy, udając, że bije ją po pupie batem, czyli zrobionym z pianki poliuretanowej makaronem pływackim.

– Chcesz mieć dzieci, Mary-Alice? – spytała Eileen.

Kyle wymachiwał „batem” nad głową jak lassem, chlapiąc jej wodą w oczy.

– Może – odpowiedziała Alice. – Po czterdziestce.

Eileen uniosła swoje okulary przeciwsłoneczne i pokręciła głową.

– To za późno.

– Tak słyszałam. Ale boję się urodzić wcześniej. Boję się, że... macierzyństwo mnie zniszczy.

– Mary-Alice jest bardzo delikatna – wyjaśnił Ezra.

Eileen skinęła głową na znak, że rozumie, i spojrzała w niebo, mrużąc oczy.

– Cofam to, co powiedziałam. Kobieta czterdziestoletnia nie jest za stara, żeby mieć dzieci. Za stara jest kobieta pięćdziesięcioletnia, żeby mieć dziesięcioletnie dziecko.

Kiedy lekki deszczyk zaczął cętkować kamienne płyty chodnika i basenu, Ezra podźwignął się i klasnął w dłonie.

– Kto chce pączka z konfitulą?

Alice i Eileen pomogły dzieciom włożyć skarpetki, teoretycznie mające zapobiegać ukąszeniom kleszczy, a Kyle i Olivia dygotali, skomleli, jęczeli, przymilali się do nich i rzucali przez ramię tragiczne spojrzenia na wodę, z której wyszli, wciąż falującą i już gęsto naznaczoną wypryskami deszczu. Zdalnie sterowana motorówka uderzała o aluminiową drabinę. Piankowy makaron pływacki leżał na wodzie; przypominał zabawkowe węże, wyrzucane na sprężynie z pudełka. Zabrali wszystkie pozostałe ręczniki, torby, kremy do opalania i maleńkie okulary pływackie, a Alice wyruszyła na końcu grupki, idącej po trawie gęsiego jak zmęczeni marynarze; Ezra sadił długie, samotne kroki, mijając przekwitłe już judaszowce; Edwin i Kyle wskazywali coś w zatoce, robiąc uczone miny; Olivia i Eileen miały idealnie proporcjonalne, ale krzywe nogi.

– Widzisz te drzewa? – mówiła Eileen do córki w hałaśliwym deszczu, bulgocącym niczym wrzący olej. – Jak mamusia była mała, to pomagała Ezrze je posadzić...

POOBIEDZIE grali w scrabble.

Olivia miała na sobie koszulkę nocną z Małą Syrenką, klęczała na krześle i przez dłuższą, pełną lęku chwilę zastanawiała się, co zrobić ze swoim zębem, aż w końcu wyciągnęła rękę nad stołem i starając się jak najbardziej zwiększyć napięcie, ułożyła słowo „kszak”.

– Nie, cukiereczku – odezwał się Edwin. – Pisz się „krzak”.

– Och – odpowiedziała Olivia, opadając na oparcie. – Zapomniałam.

– Nic się nie stało, moja droga – powiedział Ezra. – Popełniłaś po prostu juniorski błąd.

Edwin ułożył „Frisbee”.

– Jedenaście punktów.

– Nie wolno używać nazw własnych – powiedziała Eileen.

Edwin wycofał „Frisbee” i ułożył „frymuśny”.

– Dobre słowo – stwierdziła Alice. – Dwadzieścia jeden punktów.

– So tam pisze? – spytał Kyle.
– Jest napisane, „frymuśny” – odpowiedziała Eileen.
– A co to znaczy? – spytała Olivia.
– Frymuśny to wymyślny – powiedziała Alice. – Wyszukany, niezwykły, taki, co zwraca uwagę. – Sama ułożyła słowo „piwonia”. – Osiem punktów.

Ezra ułożył „pipa”.

Alice zasłoniła sobie usta kartką z wynikami. Eileen szeroko otworzyła oczy nad kieliszkiem z winem.

Ezra ściągnął usta w bok, raz jeszcze przyjrzał się swoim literom, po czym potrząsnął ze smutkiem głową.

– To wszystko, co mam.

Edwin uśmiechnął się szeroko, podnosząc wzrok znad telefonu.

– So? – spytał Kyle. – So tam pisze?

– Jest napisane, „pipa” – powiedziała wyraźnie Eileen.

– Nie ma takiego słowa – oświadczyła Olivia.

– A właśnie, że jest! – powiedział Kyle. – Jak jest lipa, to musi być i pipa.

– No właśnie – zauważył z ulgą Ezra. – Jest takie słowo.

– A co ono znaczy? – zapytała Alice.

– To dosyć staroświecka nazwa nalewaka do piwa.

– Jest też imię Pippa, zdrobnienie od Philippa – powiedział Edwin.

– Nie wolno używać nazw własnych – powtórzyła Eileen. – A zresztą to się inaczej pisze.

– Mniejsza z tym – zaśmiała się Alice. – Pięć punktów dla Ezry.

Olivia wyjęła paluszek z buzi i odwróciła się, żeby na nią popatrzeć.

– Dlaczego ty się ze wszystkiego śmiesz?

– Kto? – zapytała Alice. – Ja?

Olivia skinęła głową.

– Śmiesz się ze wszystkiego.

– Och – powiedziała Alice. – Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Zupełnie nie wiem dlaczego.

- Mam pewną teorię – powiedział Ezra, przekładając swoje litery.
- Tak?
- Uważam, że śmiesz się dlatego, żeby zachować bez troskę. Żeby dokonać ekstrakcji klów okolicznościom.
- Co to jest ekstrakcja? – spytała Olivia.
- Przekonasz się o tym niedługo na własnej skórze – odpowiedział Edwin, łaskocząc ją w żebra.
- To był jego pomysł – oświadczyła rano Eileen, kiedy znowu siedzieli przy basenie. – Wychowano go po katolicku i wydaje mu się, że wszyscy powinni pobierać jakieś nauki religijne. Ale kiedy przyszła pora, żeby wytłumaczyć dzieciom, jak Maryja zaszła w ciążę i nosiła w brzuchu Jezusa, nie mogłam zachować powagi.
- Mamo! Mamo, patrz!
- Olivio, skarpetki!
- Olivia, jeszcze w koszulce nocnej, obiegała przepompownię jak pełen wiatru żagiel i bez tchu dotarła na kamienny pomost, machając banknotem.
- Patrz! Patrz, co mi przyniosła Wróżka Zębuszka!
- Nieźle! – powiedział Ezra. – Pięćdziesiąt baksów.
- To bardzo hojny prezent – stwierdziła Eileen.
- Mogę go zatrzymać?
- Daj go tacie, proszę. I włóż skarpetki. – Kiedy dziewczynka zniknęła, Eileen rzuciła Ezrze ostre spojrzenie. – Pięćdziesiąt dolarów?
- No co? To nic w porównaniu z tym, co dałem facetowi od hot dogów.
- Alice podniosła wzrok znad książki.
- Dałeś temu sprzedawcy hot dogów pieniądze?
- Oczywiście.
- Ile?
- Machnięciem ręki odgonił muchę.
- Siedem stów.
- Siedemset dolarów!

– Ty przecież nie lubisz hot dogów – dodała Eileen.

Wzruszył ramionami.

– Chciałem mu pomóc. Chciałem pomóc znajomemu. Opowiadał mi, że ostatnio jest mu ciężko, bo cena licencji na handel poszła w górę, kamienicznik podniósł czynsz, a on ma na utrzymaniu żonę i troje dzieci. Powiedział, że jeśli nie uda mu się jakoś zdobyć dodatkowych pieniędzy, w przyszłym miesiącu nie będzie w stanie zapłacić rachunków. Więc następnego dnia wróciłem do niego i zapytałem: „Jak się nazywasz?”. Podał mi swoje nazwisko, wyciągnąłem książeczkę czekową, a on na to: „Zaczekaj! To nie jest moje prawdziwe nazwisko”.

Alice jęknęła.

– Więc już byłem skołowany, rozumiesz. Ale co tam, do diabła. Wypisałem mu czek. Na siedemset pięćdziesiąt dolarów.

– Wydawało mi się, że mówiłeś o siedmiuset – powiedziała Eileen.

– Nie, skarbie. Siedmiuset pięćdziesięciu.

– Powiedziałeś siedemset – stwierdziła Alice.

Ezra pokręcił głową.

– Bywam roztargniony.

– Mniejsza z tym – odezwała się Alice.

Ezra podniósł rękę.

– Nie widziałem go od tamtej pory.

– Mogę zapytać – zagadnęła Eileen – skąd pochodzi ten facet od hot dogów?

– Jest chyba Jemeńczykiem. – Patrzyli, jak dumny Kyle idzie po trawniku, niosąc parę płetw i pilota od swojej motorówki. Ezra zrobił zmartwioną minę. – Chyba właśnie podarowałem siedemset pięćdziesiąt dolarów Al-Kaidzie.

– *En garde!* – zawołał Kyle, upuszczając płetwy i zataczając w powietrzu łuk wycelowaną w nich anteną od pilota.

Ezra rzucił się do tyłu na trawę jak strzała, upadł razem z krzesłem i w ogóle, o mało nie uderzając głową o korzeń pnia starego, ściętego świerka. Zachwycony Kyle upuścił pilota na ziemię i dołączył do Ezry z niezdarnym potknięciem.

– Nie żartuję – odezwał się Ezra, nadal leżąc na wznak. – Właśnie włączył się mój defibrylator.

– O mój Boże – powiedziała Eileen.

– Nic ci nie jest? – zapytała Alice.

– Wszystko w porządku. Czuję się okej. Wydaje mi się, że czuję się okej. Tylko że... Tylko że przeżyłem mały wstrząs. – Zaśmiał się niepewnie. – Dosłownie.

Eileen podniosła pilota za antenę i odrzuciła go pomiędzy drzewa niczym martwe zwierzątko.

– Ale powinniśmy wezwać lekarza, nie sądzisz? Żeby mieć pewność?

Kiedy przyjechał Virgil, Olivia wybiegła mu na spotkanie na podjazd, machając skrzydełkami.

– Ejże! – zawołała. – A ty ile masz lat?

W SKRZYNCIE POCZTOWEJ Alice, kiedy dotarła do domu:

Wezwanie do sądu; wybrano ją na ławniczkę.

Zaproszenie na Trzecie Doroczne Zaciemnienie na Fire Island, imprezę na plaży, zaadresowane na nazwisko poprzedniego najemcy.

Zawiadomienie z Wydziału Nieruchomości miasta Nowy Jork; kopia tego listu zawisła też na drzwiach wejściowych do recepcji apartamentowca: ZEZWOLENIE NA PRACE HYDRAULICZNE; PRZEBUDOWA TYP 1, PODANIE O POZWOLENIE NA PODZIAŁ SZEŚCIU (6) POKOI W AMFILADZIE NA CZWARTYM PIĘTRZE NA DWA APARTAMENTY, KAŻDY Z JEDNĄ (1) SYPIALNIĄ. ROBOTY BUDOWLANE OGÓLNE, PRACE HYDRAULICZNE, INSTALACJA GAZOWA I PRACE WYKOŃCZENIOWE WEDŁUG POTRZEB. DRZWI W MIESZKANIU ZOSTANĄ NIENARUSZONE. WYJŚCIE Z APARTAMENTU NA KORYTARZ NIE BĘDZIE PRZEBUDOWANE.

W SALI POSIEDZEŃ dla członków ławy przysięgłych Alice zajęła miejsce koło mężczyzny w koszulce z napisem „Nie jestem nietowarzystki, po

prostu cię nie lubię”. Siedzący przed Alice inny mężczyzna jadł babeczkę z jagodami i tłumaczył swojej sąsiadce, dlaczego niektórzy muzulmanie starają się, jak mogą, raczej unikać muzyki gatunkowej. Dzień wcześniej odwiedził MoMA, gdzie słyszał, jak jakiś adiunkt opowiada grupce uczniów o „muzyczności” dzieła Kandinskiego; wydało mu się to wyjątkowo interesującą uwagą porównawczą, „bo muzulmanie, którzy, jak można by się spodziewać, powinni przedkładać Kandinskiego nad artystów figuratywnych, niemal na pewno pozostają przez całe życie podejrzliwi wobec muzyki, gdyż jej zmysłowość i bezinteresowność budzi ich zdaniem w ludziach «najpodlejsze instynkty»”.

– Jakie? – zapytała kobieta.

– Rozwiążłość – odparł, jedząc. – Lubieżność. Nieskromność. Przemoc. Na przykład dla mojego bardzo konserwatywnego wuja – strzepnął okruchy z kolan na podłogę – Britney Spears i Beethoven to jedno i to samo. Muzyka jest agresywna, bo odwołuje się do animalistycznych namiętności i odciąga ludzi od mądrzejszych zainteresowań.

– Więc jeśli twój wuj siedziałby w restauracji, gdzie puszczano by muzykę poważną, to zasłoniłby sobie uszy rękami? Albo wstałby i wyszedł?

– Nie. Ale pewnie uznałby nadawanie jakiegokolwiek muzyki za wyjątkowo głupi pomysł.

Im więcej człowiek się uczy, pomyślała Alice, tym bardziej zdaje sobie sprawę, jak niewiele wie.

O dziewiątej dwadzieścia na podwyższenie przy wejściu do sali wszedł niski łysol, który przedstawił się jako woźny Willoughby.

– Drodzy rodacy. Dzień dobry. Niech każdy popatrzy teraz na swoje wezwanie. Chcemy mieć pewność, że znaleźliście się we właściwym miejscu właściwego dnia. Na wezwaniu powinna być data 14 lipca i adres Centre Street 60. Jeśli ktokolwiek z was ma w ręku wezwanie, na którym napisano coś innego, niech weźmie swoje rzeczy i przejdzie korytarzem do głównego biura, gdzie wszystko się wyjaśni.

Kobieta siedząca za Alice westchnęła głośno i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– No dobrze. Żeby zostać ławnikiem w tym sądzie, trzeba być obywatelem Stanów Zjednoczonych, mieć ukończone osiemnaście lat, znać język angielski i mieszkać na Manhattanie, Roosevelt Island albo w Marble Hill. Ławnikiem nie może być osoba, która ma na koncie prawomocny wyrok skazujący. Jeżeli ktoś nie spełnia tych wymagań, niech weźmie swoje rzeczy i pójdzie do biura naszej administracji.

Mężczyzna w nietowarzyskiej koszulce wstał i wyszedł.

– Ławnicy pracują od dziewiątej rano do piątej po południu z przerwą na lunch od pierwszej do drugiej. Ławnicy, którzy nie będą brali udziału w procesie, czyli pozostaną w tej sali do szesnastej trzydzieści, najprawdopodobniej zostaną zwolnieni do domu. Jeżeli natomiast sędzia skorzysta z waszych usług, nie jestem władny nic zrobić i będziecie musieli tu pozostać, dopóki was nie zwolni. Procesy trwają przeciętnie siedem dni, ale zdarzają się i dłuższe, i krótsze. Na początek pokażemy wam film instruktażowy, byłbym zatem wdzięczny, gdyby zechcieli państwo zdjąć słuchawki, zamknąć książki, odłożyć gazety i się skupić.

Film zaczął się od rozjaśnienia na jezioro. Gromada średniowiecznych chłopów, prowadzona przez przysadzystego strażnika, zbiegła na brzeg.

– W dawnych czasach – odezwał się głos z offu – jeśli ktoś oskarżył cię o jakieś przestępstwo albo wykroczenie, musiałeś się poddać czemuś, co nazywano wówczas sądem bożym. Koncepcja takiego sądu pojawiła się po raz pierwszy ponad trzy tysiące lat temu, w epoce Hammurabiego.

Wieśniacy rozstąpili się, żeby przepuścić człowieka, który ręce w nadgarstkach miał mocno związane sznurem. Dwaj strażnicy popchnęli go w stronę wody.

– Sąd mógł polegać na tym, że trzeba było włożyć dłoń do wrzątku. Jeśli po trzech dniach oparzeliny były zagojone, oskarżony odzyskiwał wolność. Bardziej ekstremalna forma sądu bożego polegała na wrzuceniu skępowanego człowieka do wody. Jeżeli utrzymywał się na powierzchni, był winny. Jeśli tonął, niewinny.

Strażnicy wiązali teraz więźniowi nogi, czemu beznamietnie przypatrywało się dwóch stojących obok przedstawicieli

średniowiecznej władzy. Uciszone niespokojnych chłopów, a potem strażnicy wrzucili więźnia do jeziora. Zatonął. Tam, gdzie poszedł na dno, na powierzchnię wzbily się pęcherzyki powietrza. Sędziowie patrzyli przez chwilę, po czym dali znak strażnikom, żeby wyciągnęli podejrzanego. Chłopi zaczęli wydawać okrzyki radości.

– Czy były to sądy sprawiedliwe i obiektywne? Ci ludzie mniemali, że tak...

Alice była wprawdzie rozkojarzona i w nastroju przedmenstruacyjnym, ale film się jej podobał. Poprowadził ją wspomnieniem do zajęć z socjologii i ostatecznie niewiele od niej wymagał – właściwie tylko tyle, żeby nie traktowała swobód obywatelskich jak danych jej raz na zawsze; ale czy ona kiedykolwiek tak do nich podchodziła? Na ekranie wyświetlały się napisy końcowe, a Willoughby znów wszedł na podwyższenie i niczym iluzjonista, który pokazuje, jak solidne są jego rekwizyty, podniósł przykładowe wezwanie i kazał wszystkim oderwać wzdłuż perforacji tę jego część, którą należało oddać w biurze.

– Nie tę – powtórzył co najmniej dwukrotnie, raz pod jedną, a raz pod drugą ścianą sali. – Tę.

Jego palce albo wskazująca coś ręka za każdym razem zasłaniały jednak widok Alice, więc kiedy przyszła jej kolej, odbierająca od niej pasek papieru urzędniczka syknęła z niezadowoleniem, oddała go dziewczynie i powiedziała:

– To nie ten kawałek.

– Och, przepraszam. Więc co mam teraz zrobić?

Urzędniczka znowu chwyciła wezwanie, wzięła z biurka taśmę klejącą, przykleiła oderwany świstek na właściwe miejsce i oddała kartkę kandydatce na ławniczkę.

– Proszę usiąść. – Po chwili, kręcąc głową i zapraszając już gestem następną osobę z kolejki, dodała: – Bardzo słabo.

O dziesiątej trzydzieści pięć Willoughby zaczął wyczytywać nazwiska.

– Patrick Dwyer.

– José Cardozo.

– Bonnie Slotnick.

- Hermann Walz.
- Rafael Moreno.
- Helen Pincus.
- Lauren Unger.
- Marcel Lewinski.
- Sarah Smith.

Siedzący przed Alice mężczyzna, którego muzułmański wuj nie lubił muzyki za to, że budzi w ludziach zwierzęce instynkty, czytał „The Economist”. Alice wyjęła swojego discmana, rozplątała kabel i wcisnęła „play”.

- Bruce Beck.
- Argentina Cabrera.
- Donna Krauss.
- Mary-Ann Travaglione.
- Laura Barth.
- Caroline Koo.
- William Bialosky.
- Craig Koestler.
- Clara Pierce.

Nastawiła płytę Janáčka, pierwszego utworu wysłuchała trzy razy i z każdym odtworzeniem wydawało się jej, że pojmuje jego złożoność gorzej zamiast lepiej. Ale przemoc? Lubieżność? Pomyślała, że jej niska, bezprzedmiotowa lubieżność pozostaje nieukierunkowana, może więc muzyka, tak jak alkohol, nada jej jakiś straceńczy wektor...

- Alma Castro.
- Sheri Bloomberg.
- Jordan Levi.
- Sabrina Truong.
- Timothy O’Halloran.
- Patrick Philpott.
- Ryan McGillicuddy.
- Adrien Sanchez.

– Angela Ng.

Kilka minut po czwartej tych, których nazwiska nie zostały wywołane, zwolniono do domu z poleceniem, żeby wrócili rano. Alice poszła do pubu, gdzie wcześniej zjadła też lunch, i zamówiła kieliszek wina, potem drugi, położyła należność koło gazety z nagłówkiem „Bomba w Bagdadzie zabija 27 osób, w większości dzieci”, a później zeszła do metra na pierwszej napotkanej stacji. Była godzina szczytu, więc zamiast się przesiąść w długiej, dusznej i tłocznej ciasnocie na Times Square, wysiadła przy Pięćdziesiątej Siódmej i poszła dalej pieszo. Światło raziło ją w oczy i przemieszczała się lekkim zygzakiem, jak gdyby nieprzywykła do trzeciego wymiaru. Dudniący podmuch z szybu wentylacyjnego na chodniku zdawał się wskazywać, że podziemny świat rozgniewał się z powodu jej rejterady. Las szkła i stali kołysał się zawrotnie w górze na tle nieba. Idący tuż za nią mężczyzna gwizdał niemelodyjnie, dźwięk był cienki i zagłuszany przez wielki, hałaśliwy szum miasta niczym przez dwie gigantyczne muszle przyłożone do uszu: nieustanne szemranie wiatru i kół spieszących, żeby zdążyć na zielonym świetle, trąbienie taksówek, postękiwania i westchnienia autobusów, węże polewające chodniki wodą, ustawiane jedna na drugiej skrzynki i zamykane z trzaskiem drzwiczki furgonetek. Drewniane obcasy. Fletnia Pana. Nieszczere pozdrowienia petentów. Było bardzo ciepło, ale wiele sklepów szeroko otworzyło drzwi wejściowe – niemal widziało się, jak wylatuje z nich pędem bezcenne chłodne powietrze, które więdnie zaraz na ulicy – a z wnętrza ryczały wykastrowane melodie, jak gdyby ktoś szukał w radiu odpowiedniej stacji i nie mógł jej znaleźć: muzakowy Bach, muzakowi Beatlesi, *Ipanema*, Billy Joel, Joni Mitchell, *What a Wonderful World*. Nawet z wejścia na stację metra linii 1/9 zdawał się dobiegać stłumiony bebop jakiegoś zespołu swingowego... Minęła schody prowadzące pod ziemię, ale muzyka stawała się coraz głośniejsza i wyraźniejsza, jakby swobodnie unosiła się w powietrzu; Alice rozpoznawała jedyne w swoim rodzaju echa dęciaków i bębnow. Dopiero wtedy zauważyła tancerzy.

Wyglądało to tak, jakby przedstawienie *Rigoletta* wylało się ze sceny na miejski plac. Pod szerokim białym niebem morze podskakujących ramion i rozkołysanych bioder chwiało się w metronomicznym rytmie;

co chwila ktoś machał ręką albo nogą z takim entuzjazmem, że wydawało się, iż kończyła oderwie się od tułowia. Kilka osób poruszało się ociężale, w skupieniu – ironicznie albo z powodu zaawansowanego wieku – ale zawzięta determinacja, żeby ruszać się za wszelką cenę, sprawiała wrażenie powszechnej. Wysocy mężczyźni tańczyli z niskimi kobietami, wysokie kobiety z niskimi mężczyznami, starcy z młodymi dziewczynami, a staruszki z innymi staruszkami; w pobliżu punktu kontrolnego, gdzie sprawdzano torebki i plecaki, troje dzieci skakało wokół swojej mamy – w pantoflach na czerwonych, połyskliwych obcasach – jak dookoła słupa. Tancerze pływali samotnie albo z wymaginanymi partnerami, choć w kilku szelmowskich przypadkach tańczyli w hermetycznym stylu awangardowym. Nastoletnie dziewczyny z łatwością wślizgiwały się pod mostki utworzone z własnych ramion, a mniej sprawni fizycznie spośród tańczących zginali się wpół i rezygnowali z dalszych akrobacji na rzecz rozwidzonego charlestona. Inni, w tym pewne starsze małżeństwo, całkowicie ignorowali tempo i tańczyli tak powoli, jak gdyby znajdowali się w salonie własnego domu. Upalny letni wieczór, *Stompin' at the Savoy*, pięć tysięcy ludzi zebranych w pokojowym celu pod chmurami, które uprzejmie wstrzymywały deszcz, a ta obejmująca się, niepomna niczego leciwa para wydawała się kluczem do tego wszystkiego, była niejako centralnym punktem uniesienia – zdrowym rozsądkiem, umożliwiającym doświadczenie delirium. Jedyna przerwa w ich zadumie nastąpiła wtedy, gdy facet tańczący obok jitterbuga potknął się i otarł o plecy starszej pani; potrącona rzuciła wtedy tylko przelotne spojrzenie w dół i za siebie, jak gdyby próbowała nie nadepnąć psa.

Kiedy zabrzmiało *Sing Sing Sing*, Alice odwróciła się i poszła dalej, bo miała do pokonania jeszcze dwadzieścia skrzyżowań.

Dotarła do mieszkania Ezry, sama otworzyła sobie drzwi i podeszła do łóżka. Podniósł powieki.

– Kochanie. Co się stało?

Pokręciła głową. Przez chwilę obserwował ją z troską, a potem dotknął ręką jej policzka.

– Źle się czujesz?

Znowu zaprzeczyła ruchem głowy i długo wpatrywała się w recenzję książkową, widoczną w otwartej gazecie leżącej przed nim na kołdrze. Odpowiadało jej spojrzenie kiepskiej karykatury Ezry, na rysunku miał za blisko osadzone oczy, a podbródek przypominał indyjskie korale. Odsunęła gazetę, zdjęła sandały i podkurczyła nogi, żeby przysunąć się jak najbliżej niego. Położyła mu dłoń na piersi, kryjąc twarz w jego żebrach. Jak zawsze pachniał chlorem, szamponem Aveda i proszkiem do prania Tide.

Niebo krwawiło najpierw na różowo, potem na fioletowo. Wyciągnął rękę, żeby włączyć światło.

– Mary-Alice – odezwał się z największą cierpliwością, jaką można sobie wyobrazić. – Twoje milczenia są niezwykle skuteczne. Wiesz o tym?

Przewróciła się na plecy. Jej oczy zaszczyły łzami.

– Spędziłam tu wiele czasu – powiedziała w końcu.

– Tak – odrzekł po kolejnej dłuższej chwili. – Myślę, że ten pokój zapadnie ci w pamięć na zawsze.

Zamknęła oczy.

– **ALEJANDRO JUAREZ.**

– Kristine Crowley.

– Nigel Pugh.

– Ajay Kundra.

– Robert Thirwell.

– Arlene Lester.

– Katherine Flaherty.

– Brenda Kahn.

Nie tylko Alice wyszukała sobie to samo miejsce, które zajmowała dzień wcześniej; ludzie jak gdyby bali się, że jeśli usiądą gdzie indziej, to ich wczorajsze długie oczekiwanie nie będzie się liczyć. Mężczyzna z muzułmańskim wujkiem zamienił „The Economist” na laptopa,

którego fotograficzna tapeta przedstawiała jego właściciela w towarzystwie gościa o takiej samej cerze jak on; obaj mieli też identyczne brwi, tak samo zarysowane szczęki i nosili wiatrówki tej samej marki. Stali objęci na tle dramatycznie marmurkowego nieba. Z tyłu ciągnęły się brunatne góry, których trójkątne szczyty pokrywał skomplikowany deseń śnieżnych żyłek. Potem z dolnej części ekranu wysunął się dokument programu Excel, zastępując przyrodę oślepiającą zadymką tabel.

- Devon Flowers.
- Elizabeth Hamersley.
- Kanchan Khemhandani.
- Cynthia Wolf.
- Orlanda Olsen.
- Natasha Stowe.
- Ashley Brownstein.
- Hannah Filkins.
- Zachary Jump.

Czasami jakieś nazwisko trzeba było powtórzyć i okazywało się, że jego właściciel jest w toalecie, poszedł do atrium rozprostować nogi albo zasnął. Tylko raz zdarzyło się, że nikt się nie ujawnił, co wywołało na sali coś w rodzaju irytującej zbiorowej konsternacji. A kim jest ten cały Amar Jamali na samowolce i z jakiego powodu miałby reprezentować amerykański wymiar sprawiedliwości? A przecież Alice trochę mu zazdrościła, bo sama rozpaczliwie chciała być gdzie indziej. Albo być kimś innym.

- Emanuel Gat.
- Conor Fleming.
- Pilar Brown.
- Michael Firestone.
- Kiril Dobrovolsky.
- Abigail Cohen.
- Jennifer Vanderhoven.
- Lottie Simms.

– Samantha Bargeman.

Alice podniosła wzrok. Siedząca obok niej kobieta ziewnęła.

– Samantha Bargeman?

Kilkoro innych ławników też podniosło głowy i rozejrzało się. Alice odwróciła leżące na jej kolanach wezwanie i zmarszczyła brwi.

– Samantha Bargeman...

Mężczyzna zajmujący miejsce bezpośrednio przed nią, który niedawno znowu na nim usiadł, potarł ręką oko. Willoughby powiódł po sali zwiędłym spojrzeniem, pokręcił głową i coś zanotował.

– ...Purva Singh.

– Barry Featherman.

– Felicia Porges.

– Leonard Yates.

– Kendra Fitzpatrick.

– Mary-Alice Dodge.

Nadal oszołomiona Alice wstała i wraz z innymi wyczytanymi osobami poszła pozbawionym okien korytarzem do pokoju, gdzie rozdawano i wypełniano kwestionariusze w niemal całkowitej ciszy, synkopowanej tylko skrzypieniem adidasów, pociąganiem nosem, chrząknięciami i kaszlem. Urzędnik pocierał podbródek, czytając odpowiedzi; zwolnił kilka osób, które najwyraźniej mimo wszystko nie nadawały się na ławników, a pozostałych zaprowadzono do przyległego pokoju, gdzie już pojedynczo pytania zadawał im prawnik.

– Czy ktoś podał kiedyś panią do sądu?

– Nie.

– Czy pani kiedyś kogoś pozwała?

– Nie.

– Czy padła pani kiedyś ofiarą przestępstwa?

– Chyba nie.

– Nie wie pani?

– Nie jestem tego pewna.

– Błędu lekarskiego?

- Nie.
- Gwałtu?
- Nie.
- Kradzieży?
- No, może. Ale to nie było nic ważnego.
- Tu jest napisane, że pracuje pani jako redaktorka.
- Tak.
- Co pani redaguje?
- Głównie beletrystykę. Ale w przyszłym tygodniu zamierzam złożyć wymówienie.

Prawnik zerknął na zegarek.

– Sprawa procesowa ma związek z narkotykami. Bierze pani narkotyki?

- Nie.
- A zna pani kogoś, kto je zażywa?
- Nie.
- Nikogo?

Alice zmieniła pozycję na krześle.

– Jak byłam mała, mój ojczym brał kokainę.

Prawnik spojrzał na nią.

– Tak?

Przytaknęła ruchem głowy.

– W domu?

Przytaknęła raz jeszcze.

– Czy kiedykolwiek zastosował wobec pani przemoc?

– Nie, nie wobec mnie.

– Czyli stosował ją wobec innych osób?

Przez chwilę mrugała, patrząc na wypytującego ją prawnika, a potem odparła:

- On nie jest złym człowiekiem. Po prostu miał ciężkie życie.
- A pani ojciec?

– Co mój ojciec?
– Zżywał narkotyki?
– Nie wiem. Nie sądzę. Nie mieszkaliśmy razem. – Głos się jej załamał. – Nie umiem odpowiedzieć.
– Przepraszam...
– Nie szkodzi.
– Nie chciałem...
– Nic się nie stało.
– Nie sądziłem...
– Wiem. Nie sprawił mi pan przykrości. Nie o to... Nie o to chodzi. Jestem po prostu... zmęczona. I w pewnym sensie mam teraz kłopoty życiowe.

–CHOO?

– Mmm?
– Gdzie jesteś?
– W domu.
– Co robisz?
– Spałam. Coś się stało?
– Boli mnie w klatce piersiowej.
– Ojej. Dzwoniłeś do Pransky'ego?
– Jest w Saint Lucia. Jego sekretarka powiedziała, że powinienem się zgłosić do szpitala.
– Ma rację.
– Skarbie, nie mówisz poważnie.
– Oczywiście, że poważnie!
– Mam jechać na ostry dyżur w Washington Heights w sobotę o ósmej wieczorem?

Za oknami taksówki Upper West Side przeszła w Harlem, a Harlem w dzielnicę, której nazwy nie знаła, pokrytą szerokimi ulicami ziemię

jałową delikatesów i salonów piękności, sklepów typu „wszystko za dolara”, *iglesias*, salonów fryzjerskich, gdzie pleciono afrykańskie warkoczyki. Niebo było tu niemal jak na Środkowym Zachodzie, bo pokryte szerokimi pastelowymi smugami. Na Sto Pięćdziesiątej Trzeciej kierowca nagle zahamował, by nie najechać na plastikową torbę, wirującą na jezdni między cmentarzem Trinity i Jenkins Funeral Chapel. Kiedy oprzytomnieli po gwałtownym szarpnięciu, Ezra grzecznie pochylił się do przodu, a Alice pomogła mu przytrzymać laskę.

– Przepraszam pana! Mógłby pan trochę zwolnić? Chciałbym najpierw dojechać do szpitala, a dopiero potem umrzeć.

Przez ponad godzinę siedzieli w izbie przyjęć, przyglądając się dwóm małym dziewczynkom, które kolorowały motyle na podłodze; trzecia leżała wsparta bezwładnie na ramieniu kobiety w zaawansowanej ciąży. Potem młoda Koreanka w zielonych chodakach, burgundowych spodniach i bluzie chirurgicznej zaprosiła Ezrę na EKG, a później kazała mu czekać w długiej sali, gdzie było za mało przepierzeń, aby oddzielić od siebie dziesiątki mężczyzn i kobiet, leżących na szpitalnych łóżkach na kółkach albo siedzących na wózkach inwalidzkich. Pacjentami w większości byli starzy Afroamerykanie albo leciwi Latynosi, w domowych kapciach i piżamach lub szlafrokach. Niektórzy spali, leżąc w takich pozycjach, jakby wydawało im się, że śmierć może być lepsza od kolejnej godziny w tym czyścicu, rozbrzmiewającym popiskiwaniami aparatury medycznej. Inni obserwowali młode salowe i salowych, biegających tam i z powrotem z oszołomionymi, a nawet zadziwionymi minami, sugerującymi, że nie jest to najgorszy sobotni wieczór, jaki im się przytrafił. Kilka stóp od miejsca, gdzie Ezra siedział przykuty do kroplówki, podającej mu dożylnie płynny cukier, kręcił się jakiś śmierzący, szukający towarzystwa facet w poplamionych spodniach i z nabiegłymi krwią oczami.

– Siadaj, Clarence – zwróciła się do niego przechodząca obok pielęgniarka.

– Wiedziałem, że tak będzie – skwitował Ezra.

Kilka minut po dziesiątej pielęgniarka wróciła powiedzieć im, że rozmawiała z gabinetem Pransky’ego i że EKG Ezry nie wskazuje na

jakiegokolwiek odchylenia od normy, ale dla pewności chcieliby go zatrzymać w szpitalu na noc. Wcześniej zachowywała się lekceważąco, a teraz wręcz dziewczęco, nawet flirciarsko; przycisnęła notatnik do piersi, zatrzepotała rzesami i powiedziała:

– A tak nawiasem mówiąc, to moja mama jest pana wielką fanką. Zabiłaby mnie, gdybym panu nie powiedziała, że *Dowcip przewodni* to jej ulubiona książka.

– To dobrze.

– Jak się pan teraz czuje? Boli pana?

– No.

– Tak samo? Czy gorzej?

– Tak samo.

– A jak by pan opisał ten ból?

Ezra podniósł rękę.

– Promieniuje? – zapytała Alice.

– Właśnie. Promieniuje. Aż do szyi.

Pielęgniarka zmarszczyła brwi.

– Okej. Sprawdzę, czy mogę coś panu na to dać. Ma pan jeszcze jakieś życzenia?

– Mógłbym dostać osobny pokój?

– Ale będzie pan musiał za niego zapłacić.

– Nie szkodzi.

Za przepierzeniem naprzeciwko nich jakaś kobieta wyjęła z torebki różaniec i zaczęła przesuwając po nim palcami, a mężczyzna w łóżku, przy którym siedziała, wił się i jęczał. Inne małżeństwo w identycznych bluzach drużyny Mets modliło się w duecie; przyciskali sobie dłonie do czoła w tak żarliwym skupieniu, że nie zakłócił im go nawet Clarence, który potknął się najwyżej o cal od ich nóg.

– Jezu! – powiedział mężczyzna, kładąc ręce na brzuchu swojej partnerki. – Niech ten ból ustąpi i już nie wraca!

Ezra patrzył jak zaczarowany, oczy mu błyszczały, rozchylił wargi. Nigdy nie miał dosyć ludzkości, pod warunkiem że spała w innym pokoju.

- Otworzyłeś usta – powiedziała Alice.
Zamknął je, kręcąc głową.
- Nie cierpię tego. Mój brat zaczął bezwiednie otwierać usta na rok przed śmiercią. Okropnie to wygląda. Jeżeli mnie na tym przyłapiesz, kochanie, każ mi zamknąć buzię.
- Nie!
- Nie musisz robić z tego wielkiego halo. Po prostu powiedz „usta”.
Wstała i podeszła do szpary w zasłonce. Spojrzał na zegarek.
- Mówiłem ci, że to mieszkanie przez ścianę z moim jest na sprzedaż?
- Za ile?
- Zgadnij.
- Nie wiem. Czteryście tysięcy?
Zaprzeczył ruchem głowy.
- Milion.
- Żartujesz.
- Nie.
- Za kawalerkę?
- To jest właściwie mały apartament z dwiema sypialniami. Ale to i tak sporo.
Przytaknęła i znowu odwróciła się w stronę zasłonki. Popatrzyła na lewo i na prawo.
- Jeszcze nigdy nie widziałem cię w dzinsach.
- Tak? No i co myślisz?
- Przejdź się kawałek.
Odsunęła zasłonkę i doszła do wózka z kaczkami, po czym zawróciła. Clarence wyszedł zza swojego przepierzenia i klasnął w dłonie.
- Czy nie wygląda świetnie? – zawołał Ezra. Kiedy wróciła do jego łóżka, wyciągnął do niej rękę i zapytał: – No to co powinienem zrobić?
- Z czym?
- Z tym mieszkaniem.
- Jak to?

- Mam je kupić?
- Po co?
- Żeby nie wprowadził mi się tam ktoś z dzieckiem. I żebym mógł rozebrać ściankę działową i w ten sposób zyskać jeden wielki pokój, bo wtedy mielibyśmy o wiele więcej miejsca, skarbie. Potrzeba nam więcej miejsca w mieście, naprawdę.
- Mężczyzna w bluzie Metsów wskazał coś na stronie „New York Post”. Towarzysząca mu kobieta roześmiała się.
- Przestań – rzuciła, trzymając się za brzuch. – Boli.
- Usta – powiedziała Alice.
- Ezra zamknął je z trzaskiem jak lalka brzuchomówcy i po chwili ścisnął Alice za rękę.
- Kochanie, strasznie mi przykro, że cię o to proszę. Będę potrzebował moich pigułek.

NA STO DWUDZIESTEJ PIĄTEJ do metra wsiedli dwaj czarni faceci z saksofonami i zaczęli występ, stojąc w przejściu naprzeciwko siebie. Duet grał najpierw powoli, muzycy dreptali na palcach ku sobie i od siebie niczym samotny człowiek i jego lustrzane odbicie; potem muzyka przyspieszyła, stała się głośniejsza i bardziej chaotyczna, a pasażerowie zaczęli kiwać głowami, klaskać, pokrzykiwać i gwizdać; jakiś mężczyzna z wytatuowaną na bicepsie krwawiącą różą zerwał się na nogi i puścił w taniec. „Są ludzie, którzy kupują rozrywkowy bełkot, odciągający ich od słowa Bożego”, przestrzegała leżąca przy nodze Alice broszura. A inna, leżąca przy drugiej nodze: „Kto czerpie największą przyjemność ze sprowadzania ludzi na złą drogę?”. Poprzedniej nocy w wannie Ezry spomiędzy nóg Alice wypłynął glut zakrzepłej krwi, który rozpuścił się w wodzie niczym akwarela. Ezra włączył partitę Bacha – pudełko od płyty wciąż leżało otwarte na otomanie – i przyniósł jej szklaneczkę knob creeka. Przyklejał sobie nowy plaster fentanylu tuż powyżej defibrylatora i tak długo trzymał podniesioną rękę, że zdążyłby wyrecytować w tym czasie „Ślubowanie wierności” fladze Stanów Zjednoczonych. Alice obserwowała go, kiedy się golił. Okulista przepisał

mu krople regulujące ciśnienie w gałkach ocznych, ale okazało się, że Ezra jest na nie uczulony – skóra wokół jego rzęs zrobiła się jak papier i popękała. Czytali w łóżku, Ezra Keatsa, a Alice jakiś artykuł o zeszlotygodniowych zamachach bombowych w londyńskim metrze; mniej więcej o jedenastej dziesięć zgasili światło, winda przestała jeździć, a blask drapaczy chmur przyciemniała roleta, którą zainstalował, by trochę osłabiała poranne słońce. Dla ulgi obolałym plecom spał z piankową poduszką pod kolanami. Żeby złagodzić skurcze, które około czwartej nad ranem zrobiły się tak dotkliwe, że dostała mdłości, Alice wstała i poszła do łazienki zażyć przeciwbólowy lek Ezry. „Jedna pastylka doustnie co cztery do sześciu godzin albo według potrzeb dla złagodzenia bólu”, głosił napis na walcowatym opakowaniu. Podłużna gładka tabletką, którą połknęła, miała wytłoczony napis „Watson 387”. Gdyby istniała pigułka, która mogłaby uczynić ją pisarką mieszkającą w Europie, i pigułka, dzięki której Ezra mógłby żyć dalej i kochać ją aż do dnia jej śmierci, to czy wybrałaby tę pierwszą, czy tę drugą? Kiedyś naliczyła dwadzieścia siedem różnych dozowników lekarstw w jego łazience, różne opakowania opatrzone fantastycznonaukowymi nazwami, od atropiny po zantac, pokryte całą lawiną krzyczących ostrzeżeń: „Stosować po jednej tabletkę dziennie albo co sześć lub osiem godzin według potrzeb”. „Stosować jedną tabletkę doustnie przed snem przez miesiąc, następnie zwiększać dawkę o jedną tabletkę miesięcznie aż do czterech tabletek na dobę”. „Zażyć najpierw dwie kapsułki, potem stosować jedną co osiem godzin do ustąpienia objawów”. „Stosować jedną tabletkę, popijając szklanką wody raz na dzień”. „Zażywać w czasie posiłku”. „Nie spożywać grejpfrutów i nie pić soku grejpfrutowego w czasie przyjmowania leku”. „Nie zażywać aspiryny i produktów zawierających aspirynę bez wiedzy i zgody lekarza”. „Przechowywać w lodówce i wstrząsnąć przed użyciem”. „Zachować ostrożność w czasie prowadzenia samochodu”. „Unikać naświetlania lampą UV”. „Nie zamrażać”. „Chronić przed światłem”. „Chronić przed światłem i wilgocią”. „Przechowywać w szczelnym, chroniącym przed światłem opakowaniu”. „Popijać dużą ilością wody”. „Połykać w całości”. „Nie udostępniać leku osobom nieprzyjmującym go z przepisu lekarza”. „Nie rozgryzać i nie kruszyć...” I tak dalej, do znudzenia i mdłości, zwłaszcza jeśli zastanowić się nad

tym, jak dużo takich laboratoryjnie wytworzonych substancji chemicznych miesza się w żołądku, i nad tym, że te napisy sprowadzały spory kawałek reszty życia człowieka do stania w kolejkach w aptece, patrzenia na zegarek, nalewania sobie wody, czekania, liczenia i połykania pastylek.

Tam, gdzie zostawiła Ezrę, leżała jakaś staruszka, pomrukująca coś w swoim hispanoangielskim. Recepcjonistka skierowała Alice na oddział. Ezra spoczywał wygodnie w nieostro oświetlonym pokoju, z którego roztaczał się migotliwy widok na rzekę; złożone w kostkę ubranie leżało na kaloryferze, bo pisarz miał teraz na sobie niebieską szpitalną koszulę, której tasiemki zawiązano mu na karku w kokardkę. Ręce trzymał zaciśnięte na podwiniętym pod materac prześcieradle i z radością podniósł brwi na widok kobiety w białym laboratoryjnym kitlu i z platynowym kucykiem sięgającym jej krzyża. Zapewniła go, że bóle w piersi były najprawdopodobniej spowodowane gazami. Skoczyło mu jednak ciśnienie i ucieszyła się, że na noc zostanie w szpitalu, bo dzięki temu będą mogli mieć go na oku. Ezra się rozpromienił.

– Mary-Alice! Genevieve zamówi mi kurczaka. Ty też chcesz coś zjeść?

Kiedy Genevieve wyszła, Alice położyła torebkę z lekarstwami Ezry na łóżku i usiadła na krześle pod oknem, podczas gdy on sprawdzał, czy przyniosła wszystko, co potrzeba. W lewym dolnym rogu szyby okiennej pojawiło się światło samolotu, powoli i stopniowo wzbijające się na wysokość rejsową niczym jadąca do góry kolejka górską. Obserwowała je, dopóki nie przesunęło się poza prawy górny róg okna; kiedy tylko zniknęło, w lewym dolnym rogu pojawił się kolejny mrugający reflektor, który rozpoczął identyczną wspinaczkę po tej samej niewidzialnej ścieżce.

Ezra połknął tabletkę.

– Idź, mały uroxatralu, na lewo oraz prawo, do wszystkich moich przyjaciół, których kocham łzawo...

Kiedy pojawił się trzeci samolot, odwróciła się od okna.

– Leci ci krew z oka.

– To nic strasznego. Okulista mówił, że to się może zdarzyć. Nie bój się, kochana. Mój stan się polepsza, nie pogarsza.

Do pokoju weszła drobna Chinka z notesem w ręku.

– Mam do pana kilka pytań.

– Niech pani wali.

– Kiedy pan ostatnio oddawał mocz?

– Jakies pół godziny temu.

– A kał?

Ezra pokiwał głową.

– Dzisiaj rano.

– Defibrylator?

– Medtronic.

– Alergie?

– Tak.

– Na co?

– Morfina.

– Objawy?

– Dostaję halucynacji paranoidalnych.

– Choroby?

– Serce. Zwyródnieniowa choroba kręgosłupa. Jaskra. Osteoporoza.

– To wszystko?

Uśmiechnął się.

– Na razie.

– Leci panu krew z oka.

– Wiem. Proszę się tym nie martwić.

– Kontakt w nagłych wypadkach?

– Dick Hillier.

– Pełnomocnik do spraw opieki zdrowotnej?

– Też Dick Hillier.

– A kim jest ta pani?

– Mary-Alice. Moja córka chrzestna.

– Zostanie dziś z panem na noc?

– Tak jest.

– Wyznanie?
– Jestem bezwyznaniowcem.
Pielęgniarka podniosła wzrok.
– Wyznanie? – powtórzyła.
– Nie mam wyznania – odparł Ezra. – Jestem ateistą.
Przypatrywała mu się przez chwilę, po czym odwróciła się do Alice.
– Czy ten pan mówi poważnie?
Alice przytaknęła.
– Chyba tak.
Pielęgniarka zwróciła się znów do Ezry.
– Jest pan tego pewien?
Wyprężył pod kołdrą palce stóp.
– No.
– Okeeeeeeej – powiedziała pielęgniarka, przechylając głowę na bok i zapisując ostatnią odpowiedź Ezry, ten jego okropny błąd. Kiedy wyszła, Alice zapytała:
– Dlaczego oni pytają o takie rzeczy?
– No bo jeśli odpowiesz, że jesteś katolikiem, i wygląda na to, że przychodzi twój koniec, to przysyłają ci księdza. A jak jesteś żydem, to rabina.
– A jeżeli jesteś ateistą?
– To przysyłają Christophera Hitchensa.
Alice ukryła twarz w dłoniach.
– Ze wszystkich białych dziewczyn ciebie najłatwiej...
– Ezro!
– Co?
– Nie mogę...
– Czego nie możesz?
Odsłoniła twarz.
– Nie mogę tego znieść!
– Nie rozumiem, skarbie.

– Po prostu... jest mi tak... ciężko.
– I mówisz mi o tym właśnie w takiej chwili?
– Nie! Nie zrobiłabym czegoś takiego. Nie zostawiłabym cię tutaj. Kocham cię. – Była to prawda. – Tak wiele mnie nauczyłeś i jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego mam. Po prostu nie mogę... To takie... Nienormalne.

– A kto chce być normalny? Na pewno nie ty.
– Nie o taką normalność mi chodzi. Chodzi mi o to, co... jest dla mnie dobre. W tej chwili. – Wzięła głęboki oddech. – Jeżeli zostanę z tobą...

Ezra starannie pokręcił głową, jak gdyby Alice właściwie nie wiedziała, kim on jest.

– Przemawia przez ciebie zmęczenie, najdroższa.
Skinęła głową.
– Wiem.
– I zdenerwowanie, jak mi się wydaje. Ale wszystko będzie z nami dobrze.

Przytakiwała mu co chwilę, pociągając nosem.

– Wiem. Wiem.

Przyglądał się jej w zamyśleniu, krwawa kropka pod jego okiem wyglądała niczym zatrzymana w ruchu łza. Potem dobrodusznie skrzywił twarz i trochę pochylił się naprzód, żeby poprawić poduszki. Otarłszy policzki, pospieszyła mu z pomocą, przypadkowo wyciągając pilota, który zsunął się za jego plecy.

– Och! – zawołał wesoło Ezra, biorąc urządzenie do ręki. – Mamy telewizor.

Obrócił pilota w dłoni, wycelował w ekran, włączył odbiornik i skakał po kanałach, aż trafił na najciekawsze fragmenty meczu. Nowy Jork prowadził trzema punktami pod koniec dziewiątej rundy.

Przyglądali się, jak uderza Rentería.

– Usta.

Gdy Ortiz rzucił piłkę do Jetera, Ezra odwrócił swoją spoczywającą na pościeli dłoń grzbietem w dół, zapraszając Alice, żeby podała mu rękę. Patrzył wciąż na ekran.

– Alice – odezwał się rozsądnie. – Nie zostawiaj mnie. Nie odchodź. Chcę mieć partnerkę życiową. Wiesz o tym? Dopiero zaczynamy. Nikt nie umiałby kochać cię tak bardzo jak ja. Wybierz moją miłość. Wybierz tę przygodę, Alice. To właśnie ta przygoda, którą powinnaś przeżyć. Przygoda, chociaż jednocześnie pomyłka. Takie jest życie.

Stuk-puk, stuk-puk.

Weszła pielęgniarka ze szpitalnym kurczakiem.

II

SZALEŃSTWO

Nasze myśli o wojnie to *była* wojna.

WILL MACKIN, KATTEKOPPEN

SKĄD PAN PRZYLECIAŁ?

Z Los Angeles.

Podróżuje pan sam?

Tak.

Cel pańskiej wizyty?

Chcę się zobaczyć z bratem.

Jest Brytyjczykiem?

Nie.

Więc czyj to adres?

Alastaira Blunta.

A pan Alastair Blunt jest Brytyjczykiem?

Tak.

Jak długo zamierza pan pozostać w Zjednoczonym Królestwie?

Do niedzieli rano.

Co będzie pan tu robił?

Chcę odwiedzić znajomych.

I wystarczą panu na to dwa dni?

Tak.

A potem?

Lecę do Stambułu.

Pański brat mieszka w Stambule?

Nie.

A gdzie?

W Iraku.

I zamierza pan tam do niego pojechać?

Tak.

Kiedy?

W poniedziałek.

Jak?

Samochodem z Diyarbakir.

A jak długo będzie pan tam przebywał?

W Diyarbakir?

Nie, w Iraku.

Do piętnastego.

A potem?

Lecę z powrotem do Stanów.

Czym się pan tam zajmuje?

W Stanach?

Tak.

Właśnie skończyłem doktorat.

Z czego?

Z ekonomii.

I teraz szuka pan pracy?

Tak.

W Stanach?

Tak.

A czym się zajmuje pan Blunt?

Jest dziennikarzem.

A konkretnie?

Korespondentem zagranicznym.

I zatrzyma się pan u niego?

Tak.

Pod tym adresem?

Tak.

Tylko na dwie noce?

Tak.

Czy był pan już kiedyś w Zjednoczonym Królestwie?

Tak.

W pana paszporcie nie ma żadnych stempli.

Jest nowy.

A co się stało ze starym?

Laminat się odkleił.

Proszę?

To tutaj się odkleiło.

Kiedy był pan ostatni raz w naszym kraju?

Dziesięć lat temu.

Co pan tu robił?

Byłem stażystą w instytucie bioetyki.

Miał pan wizę?

Tak.

Z pozwoleniem na pracę?

Tak.

Ma je pan przy sobie?

Nie.

Ma pan przy sobie bilet do Stambułu?

Nie.

Dlaczego?

Jest elektroniczny.

Plan podróży?

Nie wydrukowałem go.

No dobrze, panie Jaafari. Niech pan spocznie, bardzo proszę.

POCZĘTO MNIE W KARRADZIE, ale urodziłem się wysoko w powietrzu nad Cape Cod, w miejscu, w którym ten półwysep zgina się jak łokieć. Jedynym lekarzem na pokładzie samolotu był mój ojciec, hematolog i onkolog, który swój ostatni poród odebrał jeszcze na studiach, w akademii medycznej w Bagdadzie w 1959 roku. Do sterylizacji nożyc, którymi przeciął pępowinę, użył whisky z butelki. A żebym zaczął oddychać, klepnął mnie otwartą dłońią w podeszwy stóp. „Alhamdulillah!”, zawołała jedna ze stewardes, widząc, że jestem chłopcem. „Oby okazał się jednym z siedmiu braci!”

W tym miejscu tej opowieści moja matka zwykle przewraca oczami. Przez wiele lat uznawałem to za oznakę pogardy wobec faworyzowania mężczyzn w jej ojczyźnie, choć może był to tylko wyraz ulgi, że los oszczędził jej pięciorga dzieci więcej, bo to, czy byliby to sami chłopcy, nie robiłoby jej większej różnicy. Później mój starszy brat, wówczas dziewięcioletni, wysunął inną teorię: matka przewraca oczami, bo stewardesy przez cały lot pochylały się nad naszym *babą*, żeby mu przypalać papierosy. W wersji Samiego whisky należała do naszego ojca.

Jeżeli chodzi o moją narodowość, to urzędnicy imigracyjni przez trzy tygodnie drapali się po głowie. Moi rodzice urodzili się w Bagdadzie (jak Sami, który przyszedł na świat tego samego dnia co Kusajj Husajn). Lecieliśmy maszyną należącą do irackich linii lotniczych, a ONZ uznaje, że człowiek urodzony w czasie rejsu automatycznie staje się obywatelem kraju, w którym zarejestrowany jest samolot. My jednak przenosiliśmy się do Ameryki w stosunkowo dobrym po temu czasie i jeszcze dzisiaj dziecko urodzone nad terytorium Stanów Zjednoczonych ma prawo do amerykańskiego obywatelstwa, bez względu na to, kto jest właścicielem statku powietrznego. Ostatecznie przyznano mi oba obywatelstwa: dwa paszporty w dwóch kolorach i trzech językach, chociaż po arabsku ledwo umiem się dogadać, a po

kurdyjsku nie znałem ani słowa, właściwie dopóki nie skończyłem dwudziestu dziewięciu lat.

A zatem: dwa paszporty, dwa obywatelstwa, żadnej ziemi ojczystej. Słyszałem kiedyś, że istnieje coś w rodzaju rekompensaty za ten brak korzeni, bo dziecko urodzone w trakcie podróży samolotem może do końca życia za darmo latać liniami, do których należy maszyna. Jest to uroczy pomysł: bocian, który cię przynosi, pozostaje twój, możesz na nim podróżować tu, tam i wszędzie, aż przyjdzie czas, żebyś powrócił do wielkich słonych bagien na niebie. Ale o ile wiem, nigdy nie zaproponowano mi takiej premii. Chociaż i tak niewiele bym na niej skorzystał. Najpierw podróżowaliśmy lądem, przez Amman. Potem Irak dokonał inwazji na Kuwejt i wszyscy posiadacze amerykańskich paszportów zostali uziemieni, to znaczy nie mogli więcej korzystać z irackich bocianów, jak się okazało, w sumie przez trzynaście lat.

PANIE JAAFARI?

Podszedłem do tej kobiety.

Chciałabym raz jeszcze omówić z panem pański plan podróży. Czyli przyleciał pan z Los Angeles, tak?

Tak.

I zarezerwował pan lot do Stambułu w niedzielę. Mam rację?

Tak.

A wie pan, jakimi liniami pan leci?

Turkish Airlines.

O której ma pan odlot?

O siódmej pięćdziesiąt pięć rano.

Przyleci pan do Stambułu i co dalej?

Będę miał pięć godzin na przesiadkę.

A potem?

Lecę do Diyarbakir.

Jakimi liniami?

Też Turkish Airlines.

O której godzinie?

Tak dokładnie to nie wiem. Chyba koło szóstej.

A potem?

Przylatuję do Diyarbakir, gdzie czeka na mnie kierowca.

Kim on jest?

Znajomym mojego brata.

Z Iraku?

Tak, z Kurdystanu.

I dokąd pana zawiezie?

Do As-Sulajmanijji.

Tam mieszka pański brat?

Tak jest.

Jak długo będzie trwać podróż samochodem?

Jakieś trzynaście godzin.

Ale pan osobiście nie zna tego człowieka?

Tego kierowcy? Nie.

Czy to niebezpieczna droga?

Potencjalnie.

Chyba naprawdę chce się pan spotkać z bratem.

Zaśmiałem się.

Co pana tak rozbawiło? – zapytała.

Nic, odpowiedziałem. Chcę.

NASZE PIERWSZE LOKUM W AMERYCE znajdowało się na nowojorskiej Upper East Side. Mieliśmy tam mieszkanie z jedną sypialnią, na piątym piętrze, bez windy, w starej czynszówce należącej do Cornell Medical College, nowego pracodawcy mojego ojca. Sami spał na kanapie. Ja w inkubatorze w New York Hospital. Gdy osiągnąłem masę pięciu funtów, a moja mama okazała się niezłomna w swojej opinii, że wertykalne rojowisko Manhattanu w żadnym wypadku nie jest odpowiednim miejscem, by wychowywać dziecko, przeprowadziliśmy się do Bay Ridge, gdzie za mieszkaniowe stypendium ojca stać nas było na zajęcie całego piętra dwukondygnacyjnego domu z gardeniami w skrzynkach na oknach i długim słonecznym tarasem, świeżo wyłożonym sztuczną trawą AstroTurf. Moje najwcześniejsze wspomnienie dotyczy właśnie tego tarasu, gdzie obudziwszy się z drzemki, wyciągnąłem rękę, żeby pogłaskać kotka, który wykonywał różne akrobacje na żelaznym ogrodzeniu, i za pieszczotę nagrodził mnie prychnięciem oraz uderzeniem łapy w twarz. Siedem polaroidowych zdjęć rozoranego policzka potwierdza, że przynajmniej częściowo dobrze pamiętam ten incydent, chociaż czasami zastanawiam się, czy po prostu nie mylę przebudzenia z drzemki z wynurzeniem się na powierzchnię świadomości po czterech latach dziecięcej amnezji. Mama mówi, że stało się to tego samego dnia, kiedy zabrała mnie z Samim do miasta na *Piotrusia Pana*. Z tego przedstawienia pamiętam jedynie, jak w stronę widowni rzuca się Sandy Duncan, która podwieszona na drutach, wyglądała niczym ukrzyżowana – ale to wszystko, mam tylko jeden taki mentalny slajd, którego bez dobrego powodu z pewnością nie połączyłbym z blizną na policzku.

Co każe postawić pytanie: dlaczego matka zabrała mnie na broadwayowskie przedstawienie, skoro byłem jeszcze taki mały, że nie potrafiłem go zapamiętać?

Gdy ostatnio widziałem mojego brata, czyli na początku 2005 roku, powiedział mi, że rodzice nie wiedzą, kiedy przebudzą się wspomnienia ich dzieci. Dodał też, że niepamięć pierwszych kilku lat życia nigdy nie daje się całkowicie wyleczyć. W ogóle znaczną część życia pamiętamy jedynie w krótkich przeblyskach.

A czego ty nie pamiętasz? – zapytałem.

Czyli co pamiętam? A co ty pamiętasz z zeszłego roku? Z 2002? Z 1994? I nie chodzi mi o nagłówki gazet. Wszyscy pamiętamy jakieś najważniejsze fakty, na przykład wiemy, gdzie pracowaliśmy. Pamiętasz nazwisko swojego nauczyciela angielskiego z pierwszego roku studiów. Pierwszy pocałunek. Ale czy pamiętasz myśli, wiesz, co myślałeś tego dnia, a co tamtego? Czego byłeś świadomy? Co powiedziałeś? Na kogo się natknąłeś na ulicy albo na siłowni i jak te spotkania wzmacniają albo osłabiają twój obraz samego siebie, ten obraz, z którym żyjesz na co dzień? W 1994 roku, kiedy ciągle jeszcze siedziałem w Hajj al-Dżihad, czułem się samotny, chociaż nie jestem pewien, czy wtedy zdawałem sobie z tego sprawę. Kupiłem notes i zacząłem pisać dziennik, w którym moje zapiski na początku wyglądały zwykle mniej więcej tak: „Szkoła. Kebaby z Nawfalem. Bingo w HC. Spać”. Zero wrażeń. Zero uczuć. Zero myśli. Każdy dzień kończył się słowem „Spać”, jak gdybym szukał jakiegoś alternatywnego zakończenia dobowego cyklu. Potem chyba sobie powiedziałem: „Słuchaj. Jeżeli chcesz poświęcać na to czas, to rób to tak jak należy. Zapisuj, co czujesz, co myślisz, co naprawdę jakoś wyróżnia dany dzień, bo inaczej po co robić takie rzeczy?”. Na pewno odbyłem tego rodzaju rozmowę sam ze sobą, bo po pewnym czasie notatki stały się dłuższe, bardziej szczegółowe i analityczne. Najdłuższa dotyczyła sporu, jaki najwyraźniej toczyłem w tamtych czasach z Zaidem o Claudię Schiffer. I przynajmniej raz napisałem kilka niezgrabnych zdań o tym, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie osiedlił się z powrotem w Iraku. Ale nawet te późniejsze fragmenty są drewniane, wygląda na to, że układałem je owładnięty myślą, co będzie w nich widział ktoś inny. I mniej więcej po sześciu tygodniach poddałem się – schowałem notes do pudełka i nie wracałem do niego przez dwadzieścia lat. Kiedy wróciłem, musiałem się zmusić, żeby przeczytać ten dziennik. Mój

charakter pisma sprawiał wrażenie strasznie dziecinnego, głupiego. Moje „przemyślenia” były żenujące. Najbardziej irytowało mnie to, że bardzo wielu rzeczy, o których napisałem, nie mogłem sobie przypomnieć. Nie pamiętam już tego sporu z Zaidem. Nie pamiętam, żebym naprawdę spędził tak wiele piątkowych wieczorów w Hunting Club. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek pragnął nowego życia w Ameryce, i nawet nie rozważałem możliwości mieszkania tam na stałe. I kto to jest ta Leila, która piła ze mną herbatę w pewien „chłodnawy” kwietniowy wtorek? Chwilami wyglądało na to, że powypadały mi z pamięci całe tygodnie.

Zapytałem, dlaczego w ogóle zaczął pisać dziennik.

Może dlatego, odparł, że czułem się tak przeraźliwie samotny. Może myślałem, że prowadząc te zapiski, uwieczniając swoje życie, przeciwdziałam swojemu... zniknięciu z tego świata. Wymazaniu. Wiesz, jak to się mówi: pozostaw po sobie jakiś ślad na ziemi. Ale powiadam ci, mój młodszy bracie, ten notes jest śladem żalonym.

Za to zostawiłeś po sobie inne ślady.

Skinął głową.

Mało widoczne, tak.

I teraz masz Zahrę.

Działo się to cztery lata wcześniej, w ogrodzie domu mojego brata w As-Sulajmanijji, gdzie pomimo że był początek stycznia, temperatura wynosiła około czternastu stopni Celsjusza. Jedliśmy daktylę z krążącą między nami miseczki, a pestki rzucaliśmy na krokusy, zaczynające kwitnąć na rabatkach. Dwa tygodnie później Sami i Zahra wzięli ślub. Teraz wychowują córeczkę, Yasmine, która zdaniem Zahry ma usta Samiego, ale moje oczy. Zgadza się co do ust. Są szerokie i lekko podnoszą się w kącikach, nawet kiedy mała się nie uśmiecha. Ale w naszych oczach widzę niewiele wspólnego, może tylko kapryśny odcień zieleni. Moje odznaczają się naburmuszonym, jakby wątpięcym wyrazem, a oczy Yasmine wyglądają na wiecznie zawieszane w pełnej zadziwienia melancholii. Ze względu na te uniesione kąciki ust i płaczliwe spojrzenie można by powiedzieć, że Yasmine nosi na twarzy obie maski dramatyczne jednocześnie. Niedawno wykorzystałem jej

zdjęcie jako nową tapetę w moim laptopie i teraz każdego ranka, kiedy go otwieram, wydaje mi się, że po nocy dostrzegam na twarzy mojej młodej siostrzenicy nieznaczną zmianę w proporcjach między komedią i tragedią. Jej oblicze wydaje się wyrażać szerokie spektrum emocji, które można uznać za niemożliwe u kogoś, kto nie ma za sobą długich lat obserwacji i doświadczeń – a przecież Yasmine skończyła dopiero trzy latka, co każe się zastanowić, czy nie jest tak, że od czasu do czasu ktoś z nas rodzi się z włączoną już pamięcią i nigdy niczego nie zapomina.

Więc czego ja nie pamiętam? Bardzo wielu rzeczy. Kiedy zastanawiam się nad dziurami we własnej pamięci, zaczyna brakować mi tchu. Lecz jeśli chodzi o mnie, pisanie nie pomaga – chyba że w tym sensie, że im więcej czasu spędzamy na pisaniu, tym mniej go nam zostaje na robienie rzeczy, których nie chcemy zapomnieć.

Można by pomyśleć, że nie ma na świecie nikogo trudniejszego do zapomnienia niż mój brat. Jest wysokim i dobrze zbudowanym facetem, który w białym kitlu laboratoryjnym wygląda na jeszcze wyższego i silniejszego, mówi dźwięcznym głosem, wyraża stanowcze opinie i potrzebuje przeciętnie czterech sutyh posiłków dziennie. Gdy wspomniał o swoim zniknięciu z tego świata, roześmiałem się. Powiedziałem, że przypomina mi to scenę z filmu *Człowiek, który się nieprawdopodobnie zmniejsza*, kiedy Grant Williams wypelza przez dziurkę w moskitierze i kieruje swój końcowy monolog do powoli zagarniającego go ujęcia Drogi Mlecznej: „Są tak blisko; to, co nieskończenie małe i nieskończenie wielkie... to, co mniejsze niż najmniejsza drobinka... Dla Boga nie ma zera! Ja wciąż istnieję!”. No więc kto zniknął? Nie facet o grzmiącym śmiechu. Nie facet, którego ręce, kiedy gra na pianinie, sprawiają, że oktawa zdaje się mieć długość najwyżej cala. Gdy ostatni raz widziałem swojego brata, rozpartego jak gigant w plastikowym fotelu ogrodowym, uśmiechał się szeroko i strzepywał niewidoczne pyłki z bicepsów, a potem podniósł głowę, żeby przyjrzeć się kurdyjskiemu niebu i uciekającym na zachód chmurom, które przywodziły na myśl exodus. Wyglądał w tym momencie na kogoś, od kogo zależy świat, a nie na kogoś, kto jest od niego zależny, że myśli, że mógłby zniknąć, gdyby nie zapisywał, o której

kiedys poszedł spać i ile wygrał w bingo, wydała mi się absurdem. Ale jednak zniknął.

SIEDZIAŁEM JESZCZE PRZEZ JAKIEŚ DWADZIEŚCIA PIĘĆ MINUT, a następnie wstałem i o to, czy mogę skorzystać z toalety, zapytałem inną funkcjonariuszkę. Była to młoda kobieta w lawendowym hidżabie, miała intensywny czarny makijaż, nadający jej miłym oczom nieco pajęczy wygląd. Ze sceptyczną miną przyprowadziła mężczyznę, żeby mi towarzyszył. Był o kilka cali niższy ode mnie i z niewiadomej przyczyny uznał za stosowne iść o mniej więcej jard za mną, czułem się więc tak, jak gdybym to ja prowadził do ubikacji dziecko, a nie jak smarkacz, któremu przydzielono opiekuna.

Przyspieszył kroku dopiero, gdy minęliśmy pusty punkt kontrolny. Oczywiście tylko ktoś bardzo zdesperowany mógłby spróbować urwać się straży granicznej, nie mając przy sobie paszportu. A nawet jeśli udałoby mi się uciec, to co miałbym robić w Anglii bez dokumentów? Rozprowadzać jakiś towar z przemytu albo do śmierci chlać piwsko gdzieś na zadupiu? Odebrali mi paszport i dali w zamian pół kartki papieru jako zaświadczenie, że zostałem zatrzymany. Niosąc je w obu rękach, jak gdyby widniały na nim instrukcje potrzebne, żeby oddać mocz i spuścić wodę, wszedłem do męskiej toalety. Zamiast poczekać na zewnątrz, mój opiekun ruszył za mną, zaproponował, że potrzyma mi ten świstek, i stanął przed szeregiem umywalek, brzęcząc drobnymi w kieszeni, gdy opróżniałem pęcherz, a potem niespiesznie myłem i suszyłem ręce. Przynajmniej miałem się czym zająć. Mógłbym też ewentualnie sprawdzić, czy nie przyszły do mnie jakieś wiadomości, ale nie było zasięgu. Gdy wróciliśmy i usiadłem znów na swoim miejscu, mój opiekun bez słowa skinął mi głową i zajął stanowisko przy namalowanej na podłodze linii, prowadzącej do wyjścia dla obywateli Unii Europejskiej. Widziałem, jak co chwila ktoś pokazuje paszport, ktoś inny go otwiera, przegląda, stempluje i zwraca, poświadczając w ten sposób jego autentyczność, a właściciel dokumentu zaczyna już kierować się myślami ku logistyce odbioru bagażu i dalszej podróży.

Nigdzie nie zauważyłem jednak funkcjonariuszki, która zabrała mój paszport.

ŻEBY WYJŚĆ NA POKRYTY SZTUCZNĄ TRAWĄ TARAS, trzeba było się przecisnąć przez wąski, przypominający korytarz pokoi, gdzie stało podwójne łóżko i staromodne pianino. W tym łóżku sypiał Sami. Kiedy się wprowadziliśmy, pianino już tu było. W pokoiku panowała taka ciasnota, że mój brat mógł wyciągnąć rękę i zagrać najwyższą oktawę, nawet leżąc w łóżku.

Instrument miał zwyczajny pudełkowaty kształt i porysowaną obudowę z ciemnego drewna, które czerwieniało w porannym słońcu. Wyprodukowała go firma Weser Bros. Został odnowiony w czasie drugiej wojny światowej, gdy nie nadążano z produkcją nowych pianin i producenci wpadli na pomysł, by wyposażać używane instrumenty w nowe płyty rezonansowe, klapy, nogi i obudowę. Ukrywali też kołki stroikowe pod długą lustrzaną pokrywą, dzięki której pianina wydawały się mniejsze niż w rzeczywistości. Nasza pokrywa była pęknięta na skos i ze starości prawie cała w plamkach. Wydaje mi się, że to Saul Bellow powiedział, że śmierć jest ciemnym tłem, jakie musi mieć lustro, abyśmy mogli cokolwiek w nim zobaczyć; ale co myśleć o lustrze, w którym widać właściwie już tylko ciemność?

Nazywam je pianinem Samiego, chociaż po prawdzie należało do naszych gospodarzy, Marty'ego Fisha i Maxa Fischera, mieszkających na dole.

Fischer grał pierwsze skrzypce w Nowojorskiej Orkiestrze Filharmonicznej, a Fish na pianinie w jakimś barze w West Village, popularnym wśród tych muzyków, którzy lubią, kiedy podpici goście psują ich popisowe utwory, śpiewając razem z nimi. Ponieważ „fish” to „ryba”, my, rodzina Jaafari, nazywaliśmy tych facetów „Rybami”, a Marty'ego dodatkowo „Shabbootem”, bo niezwykle jajowaty kształt jego korpusu przypominał mojemu bratu karpie o tej nazwie, które rybacy z Bagdadu łowili na wędkę i piekli na ruszcie nad brzegami Tygrysu. Maxwell Fischer natomiast miał bezdyskusyjnie nazbyt dobre

serce, żeby zasłużyć sobie na dodatkowe przezwisko. Bawarski absolwent paryskiego konserwatorium, pedantycznie schludny, odbywał swoje wczesnoporanne przechadzki dla zdrowia we wzorzystych krawatach, które na ulicach Bay Ridge wyglądały tak egzotycznie, jakby nosił kobrę indyjską owiniętą wokół szyi. Miał łagodny wysoki głos i chrupki niemiecki akcent, przez co rozmowy z nim przybierały ton lekko filozoficzny. Zawsze wiedzieliśmy, kiedy jest w domu, bo zamiast przytłumionego Sondheima albo Hamlischa, oznaczających, że Shabbot wojuje z funkiem, na górę napływały cnotliwe wysiłki Elgara albo Janáčka, jeśli nie z jego ukochanych głośników hi-fi, to grane na stradivariusie Fischera przez niego osobiście. Czyścił te swoje skrzypce i polerował je jak narzędzie chirurgiczne. Raz dziennie zamykał wspólny hol, a w soboty sprzątał go odkurzaczem tak zapamiętałem, że potem przez pół godziny dzwoniła nam w uszach cisza. Przyzwyczailem się zdejmować buty, ilekroć wchodziłem do mieszkania „Ryb”, na długo przedtem, zanim nikt już nie musiał mi przypominać, że powinienem zdjąć buty przed wejściem do meczetu. Całe domowe piękno było zasługą Fischera. Pozostawiony sam sobie Shabbot nic by nie zrobił z kłakami kurzu i pastelowym wzgórkami ubrań, pozostawionych do wyprasowania na podłodze. Jedyną rzeczą, którą czyścił z własnej woli, była jego odpowiedź na skrzypce Fischera: olejowany hebanowy steinway, który mierzył prawie siedem stóp długości i zajmował dużo miejsca w salonie – i to właśnie z powodu tego steinwaya stare pianino firmy Weser Bros. relegowano na górę.

Mama, mająca skłonności do mitologizowania naszego dzieciństwa, kazała nam wierzyć, że Sami, który nigdy wcześniej nawet nie dotykał żadnego instrumentu, po raz pierwszy w życiu usiadł do pianina rano, a wieczorem już wygrywał na nim bagatele. Nie wydaje mi się, żeby tak było naprawdę. Bliższa faktom wersja tej historii zaczyna się od czegoś, co od dawna zbijało z tropu rodziców, a do pewnego stopnia także i mnie, a mianowicie od tego, że mojemu bratu nie podobało się życie w Ameryce. Niemal od początku skarżył się, że tęskni za swoimi kolegami z Bagdadu, i ewidentnie miał problemy w szkole, chociaż nie był wcale mniej bystry niż inni uczniowie, a odkąd skończył trzy lata, po

angielsku mówił równie dobrze jak po arabsku. W domu zrobił się płaczący i nieruchawy, wstawał z kanapy tylko na posiłki albo żeby palić marihuanę na boisku do koszykówki w towarzystwie dziewczyny z Trynidadu, która mieszkała jedną ulicę dalej, za synagogą. Potem pewnego popołudnia Shabboot, który przyszedł na górę, żeby usunąć niecierpiącą zwłoki awarię hydrauliczną, mitrężył czas nad pianinem Weser Bros. na tyle długo, żeby wystukać na nim pierwsze takty *Bohemian Rhapsody*, a Sami wstał z kanapy i poprosił go, by zrobił to jeszcze raz. Pół godziny później rura w kuchni wciąż ciekła, ale Sami i Shabboot siedzieli ramie w ramie przy pianinie, Sami przygryzał wargę, a Shabboot nucił korekty, poprawiał Samiemu ułożenie palców i z oburzeniem dźgał lepiący się klawisz środkowego D. Od tej pory można było ich zastać tak siedzących prawie w każdą środę: latem ich sylwetki rysowały się na tle tarasu, a zimą pochylali się nad kubkami herbaty, której para powlekała cętkowane lustro. Teoretycznie po dwudziestej drugiej trzydziści nie wolno było ćwiczyć, ale Sami często czekał, aż w drugim końcu mieszkania robiło się ciemno i wtedy znowu grał, trzymając nogę na pedale wyciszającym, a głowę schyloną tak nisko nad klawiaturą, że mógłby pochłaniać uchem jej dźwięki. Oczywiście całkiem cicho na pianinie grać się nie da. Melodię też można co najwyżej wyszeptać. Nikt jednak nie odważył się zniechęcać mojego brata; był nieszczęśliwy, a moi rodzice winili za to siebie. A tak miał wreszcie przynajmniej jakieś zajęcie.

Nie był ambitny w żadnym konwencjonalnym sensie tego słowa. Nie dawał recitali. Nie występował publicznie. Dla niego celem grania było po prostu granie: chciał umieć położyć odpowiedni palec na właściwym klawiszu, kolejno, jeden za drugim, albo skupiać je w jak gdyby owocowe grona i cieszyć się efektem jak ktoś, kto słucha rozwijającej się ciekawie opowieści. W maciupieńkiej sypialni, bardziej przypominającej korytarzyk niż pokój, mój brat garbił się nad pianinem z czymś w rodzaju elektryzującego przymusu, nawiedzającego nałogowych palaczy, żarłoków albo ludzi, którzy mimo woli bezustannie podrygują. Może wymagało to jakiejś nerwowej energii. Może łagodziło ból; nie wiem. Mogłoby się nawet wydawać, że marnuje czas – tak szybko przeglądał nuty, że rzadko grał dany utwór częściej niż dwukrotnie, bo

wolał iść do przodu, do kolejnej sonaty, kolejnego koncertu, mazurka, nokturnu czy walca. Jak gdyby nuty tych utworów biegły niczym prąd – bez końca – a Sami był miedzianym drutem, przez który chciały płynąć. Oczywiście od czasu do czasu napotykał jakiś trudny pasaż i musiał się cofać, by zagrać go od nowa, ale zdarzało się to rzadziej, niż można by się spodziewać. I nigdy, ani razu, nie warczał zniecierpliwiony pod nosem ani nie walił pięściami w klawiaturę – nie potrafię sobie nawet wyobrazić, by mógł się tak zachować. Zawsze mu zazdrościłem tej przygody z pianinem. Od razu było widać, że się nie przejmuje przemijaniem – ludzi takiego pokroju zawsze łatwo poznać na pierwszy rzut oka.

ODSIEDZIAŁEM JESZCZE CAŁE CZTERDZIEŚCI MINUT, trzymając tę połówkę kartki, zanim wstałem i zapytałem kobietę w lawendowym hidżabie, czy mógłbym zatelefonować.

Kto prowadzi pańską sprawę?

Nie przedstawiła mi się. Ma jasne włosy, takie dotąd...

Denise. Zaraz zobaczymy, spróbuję ją znaleźć.

Moje miejsce było jeszcze ciepłe.

Miałem przy sobie jakąś lekturę uzupełniającą na temat post-Keynesowskiej teorii cen, ale zamiast ją otworzyć, przyglądałem się kolejnym podróżnym, którzy docierali do końca metalowego labiryntu. Stał tam mężczyzna w turbanie, z identyfikatorem na wstążce wokół szyi, i pokazywał zarówno grupom nowych przybyszów, jak i indywidualnym turystom, do którego stanowiska mają podejść. Ludzie człapali przed siebie w garniturach i sari, na szpilkach i w spodniach od dresu, pchali wózki spacerowe, trzymali w rękach poduszki turystyczne, teczki, pluszowe misie albo ozdobione kokardkami i gałązkami ostrokrzewu torby na zakupy. Czasami urzędnicy stemplowali tylko jeden paszport; czasami słyszało się, jak stemplują dwa, trzy albo cztery, szybko, jeden po drugim – jak kiedyś książki w bibliotece, dawno temu. Cały ten rytm podchodzących do odprawy przyjezdnych i stukania stempli miał w sobie jakąś przeciągłą regularność, niczym improwizacja jazzowa, która pomimo licznych dygresji nigdy nie gubi tempa.

Wreszcie jakaś drobna, samotna młoda kobieta nie ruszyła się z miejsca. Miała ciemne włosy sięgające ramion i stała przy stanowisku, do którego ją skierowano, z bojaźliwą miną, jakby usiłowała być niewidzialna. Kiwała głową na wszystko, co mówił do niej urzędnik imigracyjny. Nawet wtedy, kiedy z wyrazu jego twarzy wynikało, że najprawdopodobniej nie zrozumiała pytania. Nie miała żadnego bagażu, tylko małą, obszytą atlasem torebkę, którą trzymała przed sobą

obiema rękami niczym listek figowy. Urzędnik podniósł na nią brwi uprzejmie, ale i z uwagą, jak gdyby próbował unieść dziewczynę oczami.

Kiedy podał jej połówkę identycznej kartki jak moja, nieznajoma odwróciła się, żeby usiąść, i wtedy zobaczyłem, że jest Chinką.

Funkcjonariusz wrócił do niej nie później niż po pięciu minutach. Wkurzyło mnie, że stało się to tak szybko, a mojej urzędniczce się nie spieszyło.

Zwrócił się do innej funkcjonariuszki:

– Powiedz jej, że jesteś tu, żeby tłumaczyć.

Tłumaczka podwinęła nogawki i kucnęła, by porozmawiać z dziewczyną, używając krótkich, brzdękliwych słów, które dla mnie brzmiałyby identycznie, nawet gdyby je nagrać i puścić od tyłu. Chinka kiwała głową.

Powiedz, że nie zrobiła nic złego, tylko martwimy się o nią i musimy jej zadać kilka dodatkowych pytań, zanim ją wypuścimy.

Tłumaczka znów się odezwała, a dziewczyna przytaknęła ruchem głowy.

Jak się nazywa jej szkoła tutaj, w Zjednoczonym Królestwie?

Dziewczyna wyjęła z torebki kawałek papieru.

Funkcjonariusz wskazał go i spytał:

Czyj to numer?

Jej profesora.

A jak on się nazywa?

Profesor Ken.

I to profesor Ken pomógł jej załatwić wizę?

Tak.

Ale ona nie wie, jak się nazywa ta szkoła?

Ken School.

Jak długo zamierza zostać w Wielkiej Brytanii?

Sześć miesięcy.

Ma bilet na lot powrotny?

Nie, ale kupi.

Gdzie będzie mieszkać?

Profesor Ken ma dom.

Gdzie?

Tego nie wie.

A ile ona ma pieniędzy?

Profesor Ken przyznał jej stypendium.

Czy jej rodzice wiedzą, że ich córka tu jest?

Dziewczyna przytaknęła.

A ma przy sobie ich numer telefonu? Żebyśmy i my mogli do nich zadzwonić?

Chinka wyjęła różową nokię i pokazała tłumaczce, która zanotowała numer.

Powiedz jej, że nie zrobiła nic złego; po prostu martwimy się, że najwidoczniej nie ma gdzie mieszkać i prawie wcale nie mówi po angielsku.

Kiedy tłumaczka przełożyła słowa swojego kolegi, dziewczyna po raz pierwszy mówiła przez dłuższą chwilę wysokim, pospiesznym głosem, który wydawał się wysiłony pod wpływem paniki. Potem gwałtownie urwała i zarówno funkcjonariusz, jak i funkcjonariuszka wyglądali na niepewnych co do tego, czy skończyła.

Mówi, że przyjechała uczyć się angielskiego, powiedziała funkcjonariuszka. Dostała stypendium od profesora Kena, który załatwił jej wizę, a kiedy odbierze bagaż, ma zadzwonić pod ten numer i wtedy pan profesor po nią przyjedzie.

Funkcjonariusz zmarszczył brwi.

Powiedz jej, że będzie musiała jeszcze chwilę poczekać. I że nie ma się czego obawiać. Że nie zrobiła nic złego. Po prostu martwimy się o jej bezpieczeństwo i musimy zasięgnąć kilku informacji natury ogólnej. Musimy się upewnić, że jest w dobrych rękach.

Kiedy urzędniczka przetłumaczyła jego słowa, dziewczyna pociągnęła nosem.

Powiedz jej, że nie zrobiła nic złego, powtórzył znów funkcjonariusz jeszcze uprzejmiej niż przedtem, ale tym razem młoda Chinka, wciąż pociągając nosem, wydawała się go już nie słyszeć.

JAK TWIERDZIŁ CALVIN COOLIDGE, ekonomia to dzisiaj jedyny sposób przygotowania się na postęp, jaki niesie przyszłość. Cokolwiek możecie myśleć o Coolidge'u, stwierdzenie to wydaje się z grubsza słuszne, a kiedy po raz pierwszy się na nie natknąłem, pomyślałem: „No, nareszcie, chcę uprawiać zawód, który dobrze pasuje do mojej nerwicy”.

A przyszło mi to do głowy dlatego, że myśląc o tym, jak czuję się aktualnie, w danej chwili, zawsze się zastanawiam, jak mi będzie później. Później tego samego dnia. Później w tym tygodniu. Później w życiu, które oglądane z takiej perspektywy, zaczyna przypominać serię posunięć wymyślonych po to, żebym mógł się poczuć dobrze właśnie później, nie teraz. Mimo to świadomość, że będzie mi dobrze kiedyś, sprawia, że już teraz czuję się właściwie nie najgorzej. Coolidge powiedziałby, że tak powinno być, ale moja mama twierdzi, że istnieje jeszcze jedno określenie na takie szczegółowo planowane życie; w wolnym tłumaczeniu można by powiedzieć, że człowiek, który je prowadzi, nie umie żyć jak pies.

Byłbyś szczęśliwszy, mówiła mi kilka razy, gdybyś z charakteru przypominał brata. Sami żyje chwilą, jak pies.

Tak dla porządku, to imię mojego brata znaczy „wysoki”, „wzniosły” albo „wyniesiony” – czyli obejmuje tego rodzaju cechy, jakich raczej nie przypisujemy zwierzęciu, które obwąchuje zadki swoich pobratymców i robi publicznie kupę. Podejrzewam jednak, że moi rodzice nie przewidzieli psiej spontaniczności Samiego, kiedy nadawali mu to imię; nie przewidzieli też, że ten, którego nazwali „budowniczym domowego ogniska”, wyrośnie na człowieka niemającego w lodówce nic poza siedmioma opakowaniami sosu sojowego i kartonem przeterminowanych jaj.

W grudniu 1988 roku, w czasie lotu z Ammanu do Bagdadu, rodzice zabronili nam poruszać w Iraku dwa tematy: Saddama Husajna i pianina mojego brata, chociaż Sami przez dziesięć lat pobierał lekcje

muzyki u naszego homoseksualnego gospodarza z dołu. Natomiast większość ciotek i wujków, zgromadzonych wokół kuchennego stołu w domu babci, chciała rozmawiać o mojej egzotycznej amerykańskości: o brooklińskim akcencie, o bluzie z bejsbolistą Donem Mattingly, o nieskazitelnym granatowym paszporcie i świadectwie urodzenia z wytłoczonym herbem Nowego Jorku. To ostatnie oznaczało, rzecz jasna, że pewnego dnia będę mógł się ubiegać o amerykańską prezydenturę, i kiedy Sami i ja ćwiczyliśmy żonglowanie pomarańczami w ogrodzie za domem, nasi starsi krewni omawiali taką ewentualność trzeźwo i poważnie niczym uczestnicy konferencji G7. Prezydent Jaafari. Prezydent Amar Ala Jaafari. Prezydent Barack Hussein Obama. Chyba to pierwsze nazwisko nie brzmi o wiele bardziej nieprawdopodobnie niż drugie. A przecież chociaż skończyłem dopiero dwanaście lat, doskonale zdawałem sobie sprawę, że moi rodzice żywili raczej nadzieję, że będę robił to, co oni, i co – jak wskazywały wszystkie znaki na niebie i ziemi – będzie robił mój brat, czyli zostanę lekarzem. Lekarza się szanuje. Lekarzowi nie grozi bezrobocie. Przed lekarzem otwierają się wszystkie drzwi. Moi rodzice ekonomię też uważają za godną szacunku naukę, ale czy jest ona godna zaufania? Nie. Jest niepojęta (tak mówił ojciec). I nawet jeśli istnieje większe prawdopodobieństwo, że po prezydenturę sięgnie ktoś z doktoratem z ekonomii niż dyplomem lekarza, to moja mama ostatnio nie wspomina, że nadaję się na prezydenta, zapewne dlatego, że jej zdaniem takiego stanowiska nie może objąć człowiek, który nie za bardzo potrafi przestać myśleć – a jeśli potrafi, to rzadko i przypadkowo – o tym, jak będzie się czuł w przyszłości w wyniku działań, które podejmuje w chwili obecnej.

W święta Bożego Narodzenia przyjechali mój wujek Zaid i ciocia Alia ze swoimi czterema córkami, które stojąc w szeregu w identycznych czerwonych hidżabach, wyglądały jak rosyjskie lalki-babuszki. Dziesięć lat wcześniej najstarsza z nich, Rania, trzymała mnie owiniętego w pieluszki na swoich kolanach i karmiła wyglądającymi jak rubiny ziarnkami granatu, po jednym naraz. Była teraz starsza, zbyt ładna, żebym mógł się jej przyglądać wprost, tak jak nie można patrzeć prosto w słońce. W kuchni podeszła do mojego brata i powiedziała: Be Amrika

el dunya maqluba! Amrika to oczywiście Ameryka. Maqluba znaczy „do góry nogami”, ale tak nazywa się też zapiekankę z mięsa i ryżu, odwracaną przed podaniem dołem do góry. El dunya maqluba znaczy, że ktoś albo coś stoi na głowie, a wyrażenia tego używa się w Iraku głównie wobec ludzi lub miejsc znajdujących się w stanie niezwyklego pobudzenia, graniczącego z chaosem i anarchią. Mój brat się roześmiał. Ameryka w Boże Narodzenie faktycznie tak wygląda. Dzisiaj ten kraj naprawdę stoi na głowie! Kojarzył mi się z ilustracjami przedstawiającymi światowy pokój i harmonię pomimo różnic rasowych – ludzie o różnych kolorach skóry trzymają się na nich za ręce niczym łańcuch papierowych lalek, obejmujący cały świat. A skoro Ameryka stoi na głowie, to w takim wypadku ludziom mieszkającym na tamtym kontynencie chociaż raz napływa do niej krew.

Zgodnie z nowoczesną kartografią antypodami mojej sypialni w Bay Ridge jest jakaś fala na Oceanie Indyjskim, kilka mil na południowy zachód od Perth. Ale dla dwunastoletniego chłopca, który wyjeżdża za granicę po raz pierwszy, odkąd zaczął raczkować, równie dobrze mogła nimi być moja sypialnia w domu dziadków w Hajj al-Dżihad. Dzieliłem ten pokój z trzema kuzynami, których rodzice wyemigrowali z kraju wkrótce po tym, jak urodziły im się dzieci. (Mój ojciec i Zaid byli najstarszymi z dwanaściorga rodzeństwa, z którego pięcioro wyjechało z Iraku, czworo zostało w kraju, a troje nie żyje). Jak się słuchało nas, chłopaków, leżących na piętrowych łóżkach i skarżących się na to, czego nam brakuje i co pozostawiliśmy w domu, można było pomyśleć, że jesteśmy jakimiś utracjuszami, zabójczymi podrywaczami, którzy odsiadują wyrok dziesięciu lat więzienia o zaostrzonym rygorze. Ali i Sabah, mieszkający w Londynie, martwili się, że ich dziewczyny sprzątną im sprzed nosa chłopcy starsi od nich, którzy mogliby już nawet mieć prawo jazdy. Mieszkający w Columbus Husajn przeżywał męczarnie, że nie będzie mógł obejrzeć meczu drużyny Bengals z 49ers w Super Bowl, a wynik pozna dopiero za dziesięć dni (Bengalsi przegrali). Dzisiaj można by stanąć na Firdos Square i wygoogłować sobie informację, jak idzie w tej chwili Bengalsom, 49ersom, drużynom Red Sox, Yankees, Manchester United czy Mongolia Blue Wolves; można by sprawdzić temperaturę w Bay Ridge albo Helsinkach; można

byłoby się dowiedzieć, o której godzinie nastąpi najbliższy przypływ w Santa Monica albo w Suazi, albo kiedy zajdzie słońce w Poggibonsi. Zawsze coś się dzieje, zawsze znajdzie się coś, co trzeba obejrzyć, ocenić, i dzień jest na to za krótki. Szczególnie jeśli człowiek ma jeszcze jakieś szlachetniejsze ambicje. Ale dwadzieścia lat temu w odciętym od świata Bagdadzie czas włókł się jak żółw.

Słyszałem kiedyś, jak jeden filmowiec powiedział, że człowiekowi naprawdę twórczemu potrzebne są cztery rzeczy: ironia, melancholia, chęć współzawodnictwa i nuda. Trzech pierwszych z tych elementów może mi brakowało, ale nudów tamtej zimy w Iraku miałem w takim nadmiarze, że zanim wróciliśmy do Nowego Jorku, wysmażyłem swój pierwszy i jedyny w życiu zbiorek poezji. Co jeszcze tam robiłem? Całymi godzinami żonglowałem, czyli podrzucałem i podnosiłem z ziemi pomarańcze w ogródku, aż zapadał zmierzch i przestawiałem je widzieć. Jeździłem z ojcem i Zaidem na groby naszych krewnych na cmentarz pod Najaf, a wieczorami siedziałem przy stole w kuchni, bazgrząc na marginesach w zeszytach w czasie odrabiania pracy domowej – dodatkowej, żeby nadrobić lekcje, które opuszczałem. Obok mnie dziadek powoli przewracał stronicę gazety „Al-Thawra”. Pewnego wieczoru zajrzał mi przez ramię i zobaczył, jak uzupełniam rysunek tonącego pancernika o kilka szczegółów. Musisz się bardziej starać, powiedział, jeżeli chcesz zostać prezydentem Amriki.

Jeździłem z Samim do zoo w Zawraa Park – wrzucaliśmy tłące się papierosy do klatek z szympanсами i śmialiśmy się z tego, jak bardzo małpy przypominały ludzi, kiedy paliły. Mój brat skończył właśnie studia na Georgetown, gdzie był prezesem Pre-Med. Society i napisał pracę o zwalczaniu gruźlicy wśród bezdomnych. Nieco na przekór swojemu wykształceniu, po tygodniu od naszego przyjazdu do Bagdadu i bez żadnego widocznego powodu, zaczął uprawiać narodowy sport Irakijczyków, czyli palenie czerwonych marlboro. Z dachu domu babci roztaczał się daleki widok na Tygrys i kiedy Sami stał koło mnie, paląc i mrużąc oczy, żeby zobaczyć Karradę, opowiedział mi, jak w latach siedemdziesiątych w upalne letnie wieczory on i nasi rodzice wynosili materace na dach, by spać na rzeczonym wietrze, przynoszącym ulgę od gorąca. Tego wieczoru, gdy usłyszałem tę historię, nie było ciepło; nie

mieliśmy też pod ręką materaca, tylko stary afgański koc, który Sami przewiesił sobie przez ramię i przyniósł na górę z pokoju. Mimo to położył się na dachu w świetle księżyca, zapraszająco klepnął otwartą dłońią miejsce obok siebie i kiedy wpatrywaliśmy się razem w gwiazdy, zaczął prorokować, że Irak wkrótce znów stanie się wielkim krajem. Na drogach nie będzie wybojów i dziur, powstaną lśniące wiszące mosty i pięciogwiazdkowe hotele, ruinom Babilonu, Hatry i stelom z Niniwy zostanie przywrócona dawna świetność i wszystkie zabytki będzie można zwiedzać bez nadzoru uzbrojonych strażników. Zamiast na Hawaje nowożeńcy zaczną latać do Basry. I nie będą się zachwycać lodami włoskimi, tylko dolmą i herbatą. Wycieczki szkolne będą pozować do zdjęć przed zikkuratem z Ur, turyści z plecakami wysyłać do domu pocztówki z widokiem al-Askari, a emeryci owijać słoje miodu z Jusufiji w folię bąbelkową. Bagdad zostanie gospodarzem igrzysk olimpijskich. Lwy Mezopotamii zdobędą Puchar Świata. Poczekaj tylko, braciszku. Poczekaj. Zapomnij o Disney Worldzie. Zapomnij o Wenecji. Zapomnij o temperówkach z Big Benem i horrendalnie drogiej kawie ze śmietanką nad Sekwaną. Teraz jest kolej Iraku. Irak skończył z wojnami i ludzie zaczną tu przyjeżdżać z całego świata, żeby na własne oczy zobaczyć piękno i historię naszego kraju.

Pewnego razu zakochałem się w dziewczynie, której rodzice rozwiedli się, gdy była bardzo młoda. Opowiadała mi, że kiedy dowiedziała się od matki, co się stanie – czyli że przeprowadzą się z małą siostrą do nowego domu na drugim końcu miasta – zaczęła się martwić o to, czego nie będzie mogła zabrać ze sobą. Co chwila wracała do mamy z nowymi pytaniami. Mogę zabrać biurko? A pieska? A książki? A kredki? Wiele lat później psycholog zasugerował, że może fiksacja na tym, co mała mogła, a czego nie mogła zabrać, wynikała z faktu, że powiedziano jej już wcześniej, czego na pewno nie zabierze: ojca. A co powinno się pozwolić zatrzymać dziecku przy sobie, jeśli nie ojca? W tamtym czasie nie czułem się kompetentny, żeby ocenić taką hipotezę, miałem jednak pewne podejrzenia co do autentyczności samego tego wspomnienia. Zapytałem Maddie, czy jest możliwe, że w gruncie rzeczy nie pamięta dokładnie, kiedy zadawała mamie te pytania, i że to raczej matka powtarzała jej tę historię tak często, że

z czasem stała się dla niej jakby własnym wspomnieniem. Maddie w końcu przyznała mi rację: być może jej wspomnienie tak naprawdę zrodziło się właśnie z opowieści matki. Ale powiedziała też, że nie rozumie, co to za różnica, skoro tak czy owak jest to część jej życia, i dodała, że nie będzie stawiać na głowie, żeby się oszukiwać. Zauważyła także, że nie pamięta zupełnie nic z chwili rozstania z ojcem, mimo że było to jedno z najbardziej dramatycznych wydarzeń w jej życiu. Zapytałem, ile miała wtedy lat. Odpowiedziała, że cztery. Prawie pięć. Wydawało mi się, że moja, lepsza pamięć nigdy nie wykasowałaby takiego zdarzenia, i zasugerowałem, że może Maddie należy do tych osób, które nie pamiętają nic sprzed, powiedzmy, szóstego roku życia. Zachowałem się bardzo arogancko. Nie zdziwiłbym się dzisiaj, gdybym się dowiedział, że kiedy Maddie myśli o spędzonych ze mną latach, nie przypomina sobie, że mnie kochała.

Gdy wiele lat później, już po skończonych studiach doktoranckich, przyjechałem do domu, poszedłem raz na obiad z rodzicami w Bay Ridge i ojciec zaczął nam opowiadać o Schiphol, lotnisku pod Amsterdamem. Mówił głównie o tym, że schiphol znaczy po niderlandzku „grób statków”, bo ten port lotniczy zbudowano na miejscu płytkiego jeziora, słynącego kiedyś z licznych katastrof. Tato, powiedziałem, ja już o tym wiem. Opowiadałeś mi to, jak miałem dwanaście lat. Dokładnie wtedy, gdy czekaliśmy na tym lotnisku na samolot do Ammanu. Na pewno nie, odparł. Bo przeczytałem o tym dopiero dzisiaj po południu. No to może zapomniałeś, że o tym wiesz, powiedziałem, bo ja wyraźnie pamiętam, jak siedzę w terminalu, czekam, żeby wejść na pokład, patrzę na pasy startowe i myślę o tych statkach, pogrzebanych pod ziemią. Pamiętam, że wyobrażałem je sobie w formie szkieletów, że mają kości jak ludzkie – kości udowe, strzałkowe i wielkie żebra tworzące ich kadłuby.

Ha, rzucił mój ojciec.

Chwilę później dodałem:

A może to był Sami. Może to Sami powiedział mi o tych statkach.

W tym momencie mama podniosła rękę i stwierdziła, że pierwszy raz w życiu słyszy o jakimś tam cmentarzysku dla statków. Przypomniała nam też, że wtedy, w grudniu 1988 roku, kiedy miałem dwanaście lat,

Sami dochodził do zdrowia po mononukleozie i wszystkie przesiadki po drodze do Bagdadu spędził przewieszony bezwładnie przez nasze walizki albo leżąc jak długi na ławce. No tak, odpowiedziałem. Mimo to mógł przecież o tym mówić. Albo może opowiedział mi o tym w podróży powrotnej, kiedy znów mieliśmy międzylądowanie na Schiphol, jadąc do domu. W tym momencie mama posłała mi urażone spojrzenie, które chwilę później przeszło łagodnie w coś w rodzaju litości dla mnie i mojej wybiórczej amnezji. Amarze, powiedziała cicho, twój brat nie wracał z nami.

OKAZUJE SIĘ, ŻE WŁOSY DENISE mają raczej kolor orzecha włoskiego. Jest też szersza w biodrach, niż mi się wydawało; przyniosła wspartą na zgiętej w łokciu ręce żółtą kopertę, tak grubą, że można by pomyśleć, że jestem Algerem Hissem. Odstawiłem teatr, czyli wyprostowałem grzbiet, włożyłem zakładkę do książki, której nie czytałem, i podniosłem brwi jak ktoś gotów do współpracy, ale zdezorientowany. Zresztą zdezorientowany rzeczywiście byłem, chociaż moje skłonności do współpracy malały.

Usiadła koło mnie i mówiła cicho, dyskretnie; zauważyłem w jej oczach pewne poruszenie. Jak gdyby długo czekała na taki przypadek jak mój. Może nawet byłem jej pierwszym przypadkiem.

Panie Jaafari. Czy oprócz paszportu amerykańskiego ma pan jeszcze paszport albo dokument tożsamości wydany w innym kraju?

Tak.

Ma pan?

Tak.

Jaki?

Mam jeszcze paszport iracki.

(Znowu poruszenie). Jak to możliwe?

Moi rodzice są Irakijczykami. Wystąpili o paszport iracki dla mnie zaraz po moim urodzeniu.

Ma go pan przy sobie?

Schyliłem się, żeby rozpiąć plecak. Kiedy wyciągnąłem dokument i podałem go Denise, zaczęła z wolna przewracać jego kartki, trzymając je za brzegi jak pocztówkę, na której jeszcze nie wysechł atrament.

Kiedy się pan nim legitymuje?

Bardzo rzadko.

Ale w jakich okolicznościach?

Ileć wjeżdżam do Iraku albo stamtąd wyjeżdżam.

I daję to panu korzyści?

Jakie?

Tego właśnie chcę się dowiedzieć od pana.

Gdyby miała pani dwa paszporty, zauważyłem spokojnie, czy nie używałaby pani brytyjskiego, wjeżdżając albo wyjeżdżając ze Zjednoczonego Królestwa?

Oczywiście, odpowiedziała Denise. Takie jest tu prawo. Ale nie znam przecież prawa irackiego, prawda?

Uśmiechnąłem się mimo woli, a Denise nieco się skrzywiła. Potem, wciąż trzymając w dłoni mój drugi paszport – czyli jedyny, jaki mi pozostał – skinęła powoli głową na znak, że rozumie, postukała lekko dokumentem o kolano, wstała i dokądś poszła.

CZASAMI WYDAJE MI SIĘ, że pamiętam ten granat. Jego taninową słodycz, lepki sok spływający mi po brodzie. Ale do dzisiaj zachowało się polaroidowe zdjęcie z tamtych czasów, wisi przyklejone taśmą na naszej lodówce w Bay Ridge, i znowu nie mogę być pewien, czy gdyby go nie było, nie byłoby też wspomnienia.

Rania na obu fotografiach jest w niebieskim hidżabie. Trzyma mnie w taki sposób, że tkanina spływa w dół z jej ramion, wokół mojej pieluszki i znika pod jej bluzką, mogłoby się więc wydawać, że pozujemy do obrazu z serii „Madonna z Dzieciątkiem”. Ile razy chłopiec otwiera lodówkę w swojej młodości? Sześć tysięcy? Dziewięć? Bez względu na to, jaka to może być liczba, jest na tyle duża, by wyrzucić na człowieka niezapomniane wrażenie. Każda szklanka mleka, każdy łyk soku, każdy plaster wczorajszej maqluby... I oczywiście w młodości mój brat też oglądał takie rzeczy codziennie przez wiele lat.

W grudniu następnego roku rodzice wrócili do Bagdadu sami. Ja zostałem w Bay Ridge – rzekomo dlatego, że nie chciałem przegapić eliminacji do uniwersyteckiej drużyny pływackiej – a kuratelę sprawowali nade mną rodzice kolegi, który miał w sypialni pękate rozsuwane łóżko i naturalnej wielkości plakat ze zdjęciem Pauliny Porizkowej. Nie wystartowałem w eliminacjach do drużyny pływackiej, a kiedy pod koniec stycznia wrócili tata i mama, nie zapytali nawet, jak mi poszło. Byli przejęci wiadomością, że mój brat chce się ożenić z Ranią.

Sami wspomniał też, że chce się przenieść do Najafu i tam studiować w islamskim seminarium. Kiedy ojciec przekazał mi tę wiadomość, mama ukryła twarz w dłoniach.

To, że Rania była naszą kuzynką, nie stanowiło specjalnego problemu. Podobnie jak zwiększone ryzyko wystąpienia u potomstwa autosomalnych mutacji recesywnych – chociaż moi rodzice od dawna wyraźnie mówili, że plemienna czystość nie jest warta obciążania

dziecka niebezpiecznym schorzeniem, którego łatwo można by uniknąć, wykonując kilka badań genetycznych. Kłopot polegał na tym, że pomysł poślubienia Ranii wskazywał wyraźnie, że mój brat chce osiedlić się z powrotem w Iraku, którego wartości kulturowe przedkładał nad ewidentną w Ameryce nieprzyzwoitość. Mimo to żeby zaręczyny były dla niego ważne – czyli jeśli chciał pozostać w zgodzie właśnie z tymi przyzwoitszymi wartościami, które, jak sam twierdził, preferował – młodych musieli pobłogosławić rodzice. Rodzice Ranii dali im już swoje błogosławieństwo, a nawet odstąpili od żądania posagu. Ale moja mama i ojciec nie za bardzo chcieli usankcjonować rezygnację Samiego z życia w Ameryce, które podarowali nam, wykorzeniając się z takim trudem z ojczyzny. Zdecydowali, że udziela młodemu błogosławieństwa pod warunkiem, że Sami i Rania pobiorą się w Nowym Jorku, a mój brat ukończy amerykański uniwersytet. Jeśli chce, może poświęcić się studiom religijnym zamiast medycznym i wrócić potem do Iraku. Ale jeżeli pragnie poślubić Ranię za zgodą rodziców, musi spełnić te ich dwa życzenia, i Sami na nie przystał.

Spodziewaliśmy się, że przyjedzie do Nowego Jorku z Ranią i naszą babcią w lipcu. Ale na lotnisku matka mojego ojca czekała sama przy wyjściu z hali przylotów. Doleciała z narzeczonymi do Ammanu, gdzie wszyscy mieli przesiąść się na samolot do Kairu, ale jordańska straż graniczna zatrzymała Samiego i Ranię, nie uwierzyła im bowiem, że jadą do Ameryki, aby wziąć ślub. Po co naprawdę lećcie do Stanów Zjednoczonych? Żeby się pobrać, odpowiedział Sami. To kłamstwo! – stwierdzili strażnicy. Nie podróżowaliście razem, gdybyście nie byli już małżeństwem. Nie, upierał się Sami. Naprawdę. Nie jesteśmy jeszcze mężem i żoną; weźmiemy ślub dopiero w Stanach, gdzie mieszkają moi rodzice i czekają na nas. W takim razie ty na pewno jesteś kurwą, zwrócił się do Ranii jeden ze strażników. Dziwką. Bo jak inaczej wytłumaczysz to, że podróżujesz z mężczyzną, który nie jest twoim mężem?

Na te słowa Rania zemdląła, a zadowoleni strażnicy uznali to za potwierdzenie swoich podejrzeń.

W rezultacie Sami i Rania wrócili do Iraku, a babcia do Kairu, Londynu i Nowego Jorku poleciała sama. Miała zostać u nas siedem

tygodni – dziadek nie mógł przyjechać, bo wracał do zdrowia po operacji biodra. Potem jednak Irak napadł na Kuwejt i z siedmiu tygodni zrobiło się siedem miesięcy. Nie tylko moja babcia została wysiedlona: ja przeniosłem się do sypialni Samiego i zostawiłem jej swoją, a to dlatego, że mama martwiła się, że w pokoju mojego brata są za duże przeciągi, chociaż moim zdaniem chodziło jej o to, że stało tam pianino, które babcia wskutek swojego wychowania uważała wprowadzić za wynalazek frywolny, ale nie aż tak, by z niego nie korzystać, gdy wydawało się jej, że nikogo poza nią nie ma w domu.

Od czasu do czasu telefonował Zaid, żeby nam powiedzieć, że wszyscy mają się dobrze. Biodro dziadziusia ładnie się goiło. Alia dbała o drzewka owocowe. Nie wspominali o syrenach oznajmujących naloty ani o rakietach Cruise przelatujących z gwizdem po niebie, bo życie w Panoptikonie już dawno nauczyło Irakijczyków wierzyć, że ściany mają uszy, a okna oczy, i nigdy nie wiadomo, kiedy klawisze kończą służbę, należy więc zakładać, że zawsze ktoś nas pilnuje. Panoptikon miał też ponosić winę za długie okresy milczenia ze strony mojego brata, co już było mniej przekonujące. Sami nigdy nie lubił pisać listów, nie miałem zatem prawa oczekiwać sążnistych odpowiedzi na rozgadane nowele, które spisywałem na maszynie i wysyłałem mu mniej więcej raz w miesiącu. Mój brat jednak nigdy nie kwitował odbioru tych listów, nawet w pospiesznie pisanych pocztówkach z nadrukiem „Pozdrowienia z Bagdadu!” ani w czasie rozmów telefonicznych, kiedy już do nas dzwonił, chociaż wydaje mi się, że zrobił to tylko dwukrotnie. Pierwszy raz w sylwestra; rodzice pojechaliby na ten dzień do Iraku, gdyby nie trwała tam wojna. Zatelefonował niby po to, żeby złożyć nam życzenia szczęśliwego Nowego 1991 Roku, inszallah, ale zaraz potem oznajmił, że nie wezmą jednak ślubu z Ranią. Nie wyglądało na to, by czuł się zawiedziony. Przeciwnie, wydawał się pełen nadziei, a może nawet odczuwał pewną ulgę. Rania zamierzała studiować w Paryżu historię sztuki, a on też zmienił plany, nie chciał już przeprowadzić się do Najafu i starał się o przyjęcie do Akademii Medycznej w Bagdadzie. A co jest złego w amerykańskich akademiach medycznych? – spytałem, kiedy przyszła

moja kolej, żeby wziąć słuchawkę. Nic, odparł wesoło Sami. A co jest złego w irackich?

Drugi telefon dostaliśmy jakieś trzy miesiące później, gdy Amerykanie zaczęli się wycofywać, a babcia pakować, żeby wyjechać do domu. Tym razem Sami rozmawiał tylko z ojcem, który po odłożeniu słuchawki natychmiast zdjął z wieszaka marynarkę i poszedł na spacer. Po powrocie zajrzał do mojej sypialni, gdzie stała prawie już pełna walizka babci i jej karty pokładowe na podróż do Londynu, Kairu i Ammanu, oparte o miseczkę z moimi kośćmi do gry. Usiadł na łóżku, wziął babcię za rękę, a potem powiedział jej, że Ahmed, od pięćdziesięciu siedmiu lat jej mąż, zmarł rano na zator tętniczy.

PANIE JAAFARI?

Podniosłem wzrok i zobaczyłem ją, stała po drugiej stronie, za stanowiskami straży granicznej, najwyraźniej nie chcąc zmniejszyć dystansu między nami.

Chcielibyśmy zadać panu jeszcze kilka pytań. Mógłby się pan tu do mnie pofatygować?

Zjechaliśmy razem ruchomymi schodami do hali odbioru bagażu, gdzie Denise zaczęła przyglądać się wiszącym nad naszymi głowami monitorom. Potem przeszliśmy przez całe to długie, ogromne pomieszczenie, by znaleźć moją walizkę, stojącą samotnie obok nieruchomej karuzeli. Wyciągnąłem rączkę walizki, przechyliłem ją tak, by dała się toczyć na kółkach, i poszedłem za Denise z powrotem w kierunku schodów. Dopiero tuż przed nimi skręciliśmy w lewo, w stronę stanowiska „Towary do oclenia”. Czekał tam na nas celnik, który z trzaskiem wciągnął na dłonie gumowe, fioletowe rękawiczki.

Sam pan się pakował?

Tak.

Nikt panu w tym nie pomagał?

Nie.

Wie pan, co jest w środku?

Tak.

Kiedy gmerał wśród moich skarpetek i gaci, Denise na nowo podjęła przesłuchanie, kryjące się pod cienkim kamuflażem pogawędki.

No dobrze. To jaka jest o tej porze roku temperatura w Iraku?

No, to oczywiście zależy od tego, o której części kraju rozmawiamy. W As-Sulajmanijji powinno być całkiem znośnie, może z pięćdziesiąt stopni Fahrenheita.

Znaczy ile to będzie? – zwróciła się do celnika. Dziesięć? Dwanaście Celsjusza?

Nie mam pojęcia.

A kiedy pan ostatnio widział brata?

Znów otworzyła mój iracki paszport.

W styczniu 2005 roku.

W Iraku?

Tak.

On też jest ekonomistą?

Nie, lekarzem.

Celnik podniósł paczuszkę w różowo-żółtym papierze podarunkowym.

Co to jest?

Liczydło, odpowiedziałem.

Takie do liczenia?

Tak jest.

Po co to panu?

Na prezent dla bratanicy.

Ile ma lat? – spytała mnie Denise.

Trzy.

I myśli pan, że się ucieszy z liczydła? – zapytał celnik.

Wzruszyłem ramionami. Celnik i Denise przez chwilę studiowali moją twarz, a potem mężczyzna zaczął majstrować przy taśmie, którą zostało zaklejone opakowanie. Papier był cienki i facet razem z taśmą zerwał z niego kolorowy nadruk, pozostawiając pod spodem białą pręgę. Zajrzał w rozdarcie i potrząsnął paczuszką; wszyscy usłyszeliśmy klekot drewnianych paciorków, które suwały się tam i z powrotem po cienkich metalowych pręcikach. Liczydło, powtórzył z niedowierzaniem, zanim anemicznie zaczął zawijać je z powrotem w papier.

Wróciłem w ślad za Denise na schody, a potem przeszliśmy wąskim korytarzem do pokoju, gdzie wskazała mi krzesło, zwrócone przodem

do biurka, za którym usiadła. Zaczęła suwać myszką komputerową. Minęło kilka sekund, po czym zapytałem, czy potrwa to jeszcze dłużej, bo jeśli tak, to chciałbym zadzwonić.

Do pana Blunta?

Tak.

Już do niego telefonowaliśmy.

W końcu znalazła to, czego szukała, podniosła się zza biurka, przeszła przez cały pokój i zaczęła majstrować inną myszką, podłączoną do innego komputera. Jego monitor wyglądał na nowszy niż pierwszego peceta i był podłączony do skomplikowanego labiryntu dodatkowego sprzętu, między innymi do jakiejś połyskliwej szklanej płytki i aparatu fotograficznego, który przypominał maleńkiego cyklopa. Zrobili mi zdjęcie, na którym miałem całkowicie obojętną minę, a potem pobrali moje odciski palców – wszystko cyfrowo. Chcąc mieć ich pełny i zdalny do użytku zestaw, Denise musiała ścisnąć każdy mój palec kolejno pomiędzy swoim kciukiem i palcem wskazującym, a potem co najmniej dwa razy, a czasami trzy, przyłożyć opuszki do połyskliwej płytki; jeden kciuk trzeba było przyciskać nawet czterokrotnie. Nie wydawała mi się atrakcyjna. Nie było też nic prowokacyjnego w tym, jak obchodziła się z moimi dłońmi, zdziwiłem się więc, kiedy nasz przedłużony kontakt fizyczny zaczął mnie trochę podniecać. Współpracowaliśmy ze sobą, połączeni pragnieniem ugłaskania jej wymagającego komputera, wyświetlającego czerwone ikony i wydającego wyniosłe, lekceważące, ciche pobrzękiwania, i wydawało mi się, że tylko się bawimy w kontrolę na przejściu granicznym i lada chwila zadzwoni mama Denise, która każe jej wrócić do domu na kolację, a ja zostanę zwolniony.

Ale kiedy skończyliśmy z odciskami, przeszliśmy do drugiego pokoju; stał tam mały kwadratowy stolik i trzy metalowe krzesła. Górna połowa jednej ściany została wykonana z przyciemnionego szkła, w którym moje odbicie nie wyglądało jak obraz w lustrze, było raczej tylko sylwetką. Poziomo pod szkłem biegł długi pas czerwonego plastiku albo gumy, przypominający odcieniem guzik w autobusie, który trzeba nacisnąć, żeby kierowca zatrzymał pojazd. Na szkłe widniał przyklejony taśmą napis: „Prosimy nie opierać się o ścianę na wysokości czerwonego pasa, gdyż uruchamia on alarm”.

Usiedliśmy twarzą w twarz, na stoliku leżały moje paszporty i jej gruby żółty folder. Potem zmieniła zdanie co do lokalizacji i przesunęła krzesło tak, że siedzieliśmy teraz pod kątem prostym do siebie. Wyprostowała się, jakby połknęła kij, otworzyła folder i wyjęła z niego plik papierów, który ułożyła równiutko, stukając nim o blat. Następnie wyjaśniła, że zada mi serię pytań, zanotuje moje odpowiedzi i pozwoli mi je później przejrzeć. Jeśli zaakceptuję to, co napisała, podpiszę się na każdej stronie osobno. Nie widziałem lepszego wyjścia z tej całej sytuacji, ale kiedy już wszystko mi wytłumaczyła, ogarnęło mnie poczucie przygnębienia, jakie nachodzi człowieka, gdy gra z kimś w kółko i krzyżyk i zgadza się, żeby to przeciwnik zaczął grę.

Przez następne dwadzieścia minut powtórzyliśmy z Denise prawie słowo w słowo całą tę rozmowę, którą odbyliśmy niemal trzy godziny wcześniej, kiedy dotarłem na koniec metalowego labiryntu. Powtórka trwała oczywiście dłużej, bo Denise musiała wszystko zapisać swoim zapętlonym, uczniowskim charakterem pisma, a poza tym ilekroć dochodziła do końca kartki, mijało trochę czasu, bo podsuwała mi ją i czekała, aż przeczytam i złożę swój podpis na dole. Naturalnie odpowiadanie na pytania, na które wcześniej już odpowiedziałem, wydawało mi się stratą czasu – szybko pożałowałem jednak swojej niecierpliwości, bo kiedy wreszcie posunęliśmy się naprzód, okazało się, że wchodzimy na bardziej złowieszczy teren.

Został pan kiedyś aresztowany?

Nie.

Amar Ala Jaafari, czy tak nazywa się pan od urodzenia?

Tak.

Czy używał pan kiedyś innego imienia lub nazwiska?

Nie.

Nigdy?

Nigdy.

Nigdy nie podał pan żadnemu funkcjonariuszowi sił porządkowych innego nazwiska niż Amar Ala Jaafari?

Nie.

Denise przyglądała mi się uważnie przez chwilę, zanim odnotowała to ostatnie „nie”.

Czy może mi pan opowiedzieć bardziej szczegółowo, co pan robił w naszym kraju w 1998 roku?

Byłem świeżo po studiach i dostałem roczne stypendium na staż w Toynbee Bioethics Council. W weekendy pracowałem też w szpitalu jako wolontariusz.

Pod jakim adresem pan mieszkał?

Tavistock Place trzydzieści dziewięć. Nie pamiętam numeru mieszkania.

A jak to się stało, że zatrzymał się pan właśnie tam?

Było to mieszkanie mojej ciotki.

Czy nadal do niej należy?

Nie.

Dlaczego?

Umarła.

Przykro mi. Na co?

Na raka.

Długopis krążył nad kartką.

Trzustki, dodałem.

I teraz wraca pan do Londynu po raz pierwszy od dziesięciu lat? Spotkać się z przyjaciółmi?

Z Alastairem Bluntem, tak.

Tylko na dwa dni?

Spojrzałem na zegarek.

Tak.

Wie pan, tak sobie myślę... Jechać taki kawał drogi na zaledwie czterdzieści osiem godzin? Nawet niecałe.

No, bo jak już mówiłem, w niedzielę lecę dalej, do Stambułu. To był najtańszy lot, który udało mi się znaleźć.

Co pana łączy z panem Bluntem?

Jesteśmy przyjaciółmi.

Ma pan dziewczynę? Partnerkę?

Nie.

Nikogo?

W tej chwili nie.

I pozostaje pan bez pracy.

Tak.

Uśmiechnęła się do mnie ze smutkiem.

No tak, to chyba nie jest dobry moment, żeby jej szukać, co?

Przez chwilę myślałem, że mówi o dziewczynie.

Och, rzuciłem beztrąsko. W końcu coś się znajdzie.

Kiedy zabrakło jej pytań, okazało się, że wspólnymi siłami zapisaliśmy trzynaście stron.

W porządku, powiedziała energicznie, wstając i poprawiając nogawki spodni na udach. Zabiorę pana teraz do pokoju zatrzymań, bo muszę sprawdzić kilka kwestii natury ogólnej.

A potem?

Omówię pański przypadek z dyżurnym kierownikiem urzędu imigracyjnego.

Kiedy?

Nie wiem.

Przepraszam, powiedziałem, zdaję sobie sprawę, że pani wykonuje tylko swoją pracę, ale czy mogłaby mi pani chociaż zasugerować, o czym będziecie rozmawiać? Na czym polega problem?

Nie ma żadnego problemu, musimy po prostu sprawdzić parę drobiazgów. Historię pańskich paszportów, to wszystko. Jak już to wyjaśniłam. Po prostu kilka kwestii natury ogólnej.

Popatrzyłem na nią.

Jest pan głodny?

Nie.

Potrzebuje pan skorzystać z toalety?

Nie. Ale martwię się o swojego przyjaciela. Miałem spotkać się z nim w mieście za niecałą godzinę.

Wytłumaczyliśmy panu Bluntowi, co się dzieje. Wie, że jest pan tutaj.
I że zostało nam jeszcze kilka spraw do wyjaśnienia.

POCZĄTKOWO MIAŁEM OKO na inną dziewczynę. Ale potem poszedłem na *Trzy siostry*, w których jeden z moich współlokatorów wcielał się w porucznika Tuzenbacha, a Maddie grała Olgę; imienia tej drugiej dziewczyny już nawet nie pamiętam. Jak wiele studenckich przedstawień produkowanych przez Ivy League i to okazało się wymęczone; sprawiało takie wrażenie, że jego dwudziestoletni reżyser może już skreślić „wyreżyserować sztukę teatralną” z listy spraw do załatwienia przed uzyskaniem stypendium Rhodesa w Oksfordzie. Tego dnia studentka grająca Anfisę zażyła pigułkę „dzień po” w porze lunchu i w chwili kiedy miała wyjść na scenę na początku trzeciego aktu, rzygała w toalecie. W związku z tym Maddie zaczęła ten akt sama, podając kwestie obu postaci, nieco je zmieniając i destylując najważniejsze informacje w jeden rwący monolog, skupiony wokół tego, że (a) Anfisa jest zbyt zmęczona, żeby dotrzeć pieszo na czas z miasta, gdzie (b) szaleje wielki pożar, co tak dręczy Olgę, że słyszy głosy i rozmawia z osobami, których przy niej nie ma. „Może się, nie daj Bóg, spalił!”, zawołała Maddie/Olga/Anfisa. „Takie głupstwa... i na podwórzu pełno... też ledwo odziani! [Wyjmując suknie z szafy]. Weź tę popielatą, Anfiso... I jeszcze tę... I tę bluzeczkę... Och, oczywiście, masz rację, nianiu, nie zabierzemy ich wszystkich!... Zawołam na Fieraponta”. Kiedy na scenę weszła władcza Natasza, Maddie leżała na kanapie z koronkowym obrusem na głowie, dygocząc delirycznie. „I co, Anfiso?”, rzuciła Natasza. „Co ty...?” Wykręcając głowę pod obrusem, Maddie posłała Nataszy znaczące spojrzenie. „Anfiso!”, odezwała się Natasza, zrzucając maskę. „Jak śmiesz siadać w mojej obecności!” W tym momencie Maddie wstała, zdjęła z głowy coś, co udawało szal i – znowu grając Olgę – unieruchomiła partnerkę piorunującym spojrzeniem. „Przepraszam cię, Nataszo, ale tak brutalnie potraktowałaś nianię!”^[20]

Miałem wrażenie, że w życiu nie widziałem lepszego aktorstwa. Gdyby nie oburzeni tradycjoniści, którzy szeptali za moimi plecami,

nie podejrzewałbym, że coś jest nie w porządku. Tamtej nocy, kiedy porucznik Tuzenbach wrócił do naszego apartamentu z resztką makijażu w dyniowym kolorze na szyi, dowiedziałem się, że Maddalena Monti zagrała już wszystkie ważniejsze główne role w tym semestrze i obraca się teraz wśród studentów ostatniego roku, którzy chcieli iść dalej na studia podyplomowe w Los Angeles albo Nowym Jorku. Potem jak nowe słowo, które zaczynasz dostrzegać wszędzie, kiedy już je poznasz, zaczęła się pojawiać na mojej drodze albo w polu widzenia kilka razy w tygodniu: czytała w jadalni, paliła papierosa przed laboratorium językowym, siedziała z wyciągniętymi nogami w bibliotece, tłumila głośnie ziewnięcie. Pomyślałem, że jest piękna w taki sposób, w jaki piękne są dziewczyny, których właściwie nie można nazwać ładnymi. Miała płochliwą urodę, którą w każdym momencie mogły zmącić sardoniczne usta albo brwi, wyginające się pod tak ostrym kątem, że przywodziły na myśl komiksową rozwiązłość. Chwilę później te same rysy, które czyniły ją elektryzującą Olgą, Sonią albo lady Makbet, układały się w promienną symetrię Eleny lub Salome. Z początku bałem się tej zmienności, widocznej też w jej nastrojach. Podejrzewałem, że to gra, mająca na celu manipulację i uwodzicielstwo, a co gorsza, że Maddie nie za bardzo zdaje sobie sprawę z motywacji i konsekwencji swojego zachowania. Z czasem jednak zacząłem myśleć, że w istocie z powodu swojej zmienności sama cierpi bardziej niż ktokolwiek inny, a co więcej, że prawdopodobnie dlatego ją pociągałem – stanowiłem antidotum na to, co lubiła w sobie najmniej. I wbrew wrażeniu, że nie zdaje sobie sprawy z przyczyn i skutków przejawów własnej psychiki, potrafiła zaskakująco jasno formułować wypowiedzi, dowodzące jej samoświadomości. Kiedy przez miesiąc co piątek jadaliśmy razem lunch, spytałem, dlaczego nie jest bliżej ze swoimi współlokatorkami.

Och, nie dogaduję się za dobrze z kobietami, odparła po prostu. Wydaje mi się, że nic przy nich nie znaczę.

Wieczorem przed feriami bożonarodzeniowymi, na pierwszym roku studiów, przyszła do mojego pokoju, gryząc kciuk. Spojrzała na kalendarz, który wisiał na drzwiach mojej szafy. Zaszła w ciążę – z jakimś starszym studentem z filologii klasycznej, chociaż nigdy się nie

dowiedziałem, jak się nazywał ani gdzie i kiedy wylądowali w łóżku – i ktoś z kampusowego centrum opieki zdrowotnej powiedział jej, że zrobić zabieg można najwcześniej w piątym tygodniu. No to trzydziestego grudnia, zawyrokowała, nie chcąc zwlekać ani o jeden dzień. W 1994 roku trzydziesty grudnia wypadał w święto Isry i al-Miradż; byłem wtedy w domu, w Bay Ridge, i szykowałem się do wyjścia do meczetu. Maddie zadzwoniła do mnie od swojej matki gdzieś spod Albany i wyznała, że nie może się zdecydować na zabieg. Bardzo mnie chciała przekonać, że wcale nie dlatego, żeby nabrała jakichś spóźnionych wątpliwości moralnych. Bez wiedzy swojej matki pojechała do ośrodka planowania rodziny w centrum miasta, zarejestrowała się, zapłaciła za aborcję z góry, gotówką, przebrała się w papierową koszulę, oddała do laboratorium próbkę krwi i moczu, przeszła badanie ultrasonograficzne i usiadła w poczekalni w towarzystwie mniej więcej sześciu innych kobiet. W sali był włączony telewizor, ale cokolwiek oglądały pacjentki, program został nagle przerwany relacją z tragedii, do jakiej właśnie doszło w Massachusetts, gdzie jakiś facet wszedł z karabinem do ośrodka planowania rodziny w Brookline, otworzył ogień i zabił recepcjonistkę. Potem poszedł do centrum badań prenatalnych i zabił też tamtejszą recepcjonistkę. „Gdzie jest Brookline?”, zapytała dziewczyna siedząca obok Maddie. „Daleko”, zapewniła ją Maddie. „Nie ma się czego obawiać”. Ale potem w klinice rozdzwonił się telefon i przyszło dwóch policjantów, którzy kazali kobietom w poczekalni ubrać się i wracać do domu.

I teraz nie wiem, czy mam tam pojechać jeszcze raz, czy nie.

Chcesz mieć to dziecko, Maddie?

Nie.

Chcesz je urodzić i oddać do adopcji?

Nie.

Czekałem.

Wiem, że muszę to zrobić, powiedziała. Ale nie chcę iść tam sama.

Tej nocy ukląknęłam obok ojca w meczecie i myślałam, jak by to było, gdybym towarzyszył dziewczynie, której nie zapłodniłam, w drodze na zabieg przerwania ciąży. Tego dnia było wśród nas o wiele więcej dzieci

niż zwykle, a kiedy z szeroko otwartymi, rozbieganymi oczami słuchały opowieści o Mahomecie i archaniele Gabrielu, wstępujących do nieba, poczułem się perwersyjnie, chociaż propozycja Maddie zarazem mi schlebiała. Później na parkingu rodzice przedstawili mnie córce jakichś swoich znajomych z Libanu, ładnej dziewczynie o długich, lśniących włosach i inteligentnych oczach, mistrzowsko obwiedzionych czarną kredką. Przyjechała do domu z Princeton, gdzie studiowała już na drugim roku biologię ewolucyjną, i zaproponowałem, żebyśmy poszli kiedyś razem na popołudniową kawę, zanim rozjedziemy się na swoje uczelnie. Ale nigdy do niej nie zadzwoniłem.

Maddie zapukała do moich drzwi tydzień później. Była w spódnicy.

Miałem się jakoś elegancko ubrać? – zapytałem.

Och, odrzekła cicho. Nie. Tylko pomyślałam, że jak będę ładnie wyglądać, to poczuję się lepiej.

Potem nie mówiliśmy już zbyt wiele. Było zimno, wydawało mi się, że miała to być kara za to, co robimy, więc kiedy dotarliśmy do jakiejś miło wyglądającej kawiarni, zaproponowałem, żebyśmy weszli napić się czegoś ciepłego. Odmówiła, twierdząc, że musi być na czczo, więc wszedłem kupić coś dla siebie, a potem poszliśmy dalej. Klinika wyglądała zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. Wyobrażałem ją sobie mgliście jako coś... hmm... bardziej klinicznego, może przypominającego nowoczesny blok z prefabrykatów, ale Maddie miała poddać się aborcji w dwupiętrowym pałacyku, którego pełen kalenic i kominów dach oraz szeroki trawnik sprawiały, że budynek wyglądał raczej na wiktoriański zakład dla umysłowo chorych. Nie pozwolono mi wejść do środka, bo miałem w ręku kubek z gorącą czekoladą, więc Maddie poszła do rejestracji sama. Stałem przy drzwiach i patrzyłem, jak podchodzi do biurka recepcjonistki, przed którym w kapturze na głowie i z rękami w kieszeniach wyglądała jak Eskimos pytający o drogę. Przy komputerze recepcjonistki stało miniaturowe foliowe drzewko świąteczne, oplecione kolorowymi lampkami, które mrugały raz szybko, raz wolno, później cztery razy szybciej, niczym stroboskopy w dyskotecie, po czym gasły na długą, pełną napięcia chwilę i cały cykl zaczynał się od nowa.

Po co ja tam poszedłem? Skończyłem dopiero osiemnaście lat. Miałem stosunki tylko z dwiema dziewczynami i z każdą z nich spałem raz, używając kondomów tak sprawnie, jakbyśmy kręcili film na potrzeby edukacyjne. Może z tej przyczyny byłem trochę krytyczny wobec Maddie – choć oczywiście nawet najdoskonalej włożony kondom nie zawsze pozostaje na swoim miejscu i/albo nie pęka. W każdym razie to nie była moja sprawa. Gdyby mnie i moją moralność oraz Maddie i jej moralność przedstawić graficznie jak kręgi z teorii zbiorów, nie przecinałyby się nawet brzegowo. Nie miałem swojego udziału w powstaniu tego embriona. Nie prosiłem jej, żeby to zrobiła. Później ona zostanie w swoim pokoju, a ja w swoim, i oboje będziemy nadrabiać zaległości w lekturze nad jakąś zupą w proszku, zmarnuję więc po prostu kilka godzin, nic więcej.

Ale czy bardzo by mi przeszkadzało, gdyby te kręgi jednak się przecinały?

Moja moralność, jakakolwiek by była, zrobiła się nagle przestarzała, abstrakcyjna. Wyrzuciłem resztę czekolady i wszedłem do środka powiedzieć recepcjonistce, że przyszedłem tu z Maddaleną Monti, po czym zapytałem, jak długo jej zdaniem moja przyjaciółka będzie musiała pozostać w klinice. Odpowiedziała, że ruch nie jest duży, Maddie nie musiała długo czekać, ale anestezjolog ma jakieś tyły, więc pewnie zajmie to co najmniej ze trzy godziny. Usiadłem w poczekalni i wziąłem do ręki starego „New Yorkera”. Z niewidocznego głośnika sączyła się cicho piosenka *Ob-La-Di, Ob-La-Da*. Jediną osobą w pomieszczeniu poza mną była jakaś kobieta, która jak na ironię robiła na drutach sweterek dla dziecka. Przez chwilę przypatrywałem się, jak fechtuje drutami, a potem zacząłem przeglądać pismo, w którym zwróciłem w końcu uwagę na reklamę najlepszych grejpfrutów Ruby Red z Indian River na Florydzie: „Dojrzewają na drzewach... Ociekają sokiem... Jest w nich słodycz sadu... Nie trzeba dodawać cukru... Satisfakcja gwarantowana!”.

Odezwał się telefon recepcjonistki.

...Nie, u nas nie... Nie... Żadna z tych rzeczy tutaj się nie liczy, kochanie. Możesz do nas przyjść, to nie ma znaczenia... Między czwartym i siódmym, zależy, w którym jesteś... Zrobisz u nas wszystkie

badania i ultrasonografię... Mieszkasz gdzieś w pobliżu?... Okej, pogadaj z nim, a może w ogóle zadzwonicie później razem, to ustalimy jakąś datę wizyty... W naszej klinice obowiązuje dyskrecja, kochanie... Nie... Nie... Od poniedziałku do soboty... Znasz jego rozkład zajęć na tyle, żeby już teraz umówić się na wizytę?... Okej. Tylko nie... Tylko nie... Aha. Wiesz co, nie... Na twoim miejscu, kochanie, nie przyprowadzałabym go ze sobą. Zapomnij o tym i... Nie musisz do nas oddzwaniać. Po prostu przyjdź przed szóstą trzydzieści, okej? Nazywam się Michelle... Okej? Okej... Okej... To na razie.

Dużo później, kiedy Maddie wyszła, trzymając na rękach swój płaszcz, wydała mi się jakby mniejsza, chociaż nie potrafiłem sobie wyobrazić, dlaczego miałyby zmaleć.

Umieram z głodu, powiedziała.

Kupiliśmy pączki w kawiarni w drodze powrotnej do Silliman, a kiedy weszliśmy do mojego pokoju, zapytała, czy mam coś do picia. Znalazłem na kominku butelkę japońskiego likieru midori, należącego do mojego współlokatora, który miał wrócić dopiero w przyszłym tygodniu. Maddie nalala sobie pół kubka szmaragdowego syropu i wypila, krzywiąc się. Jak to powinno smakować? – zapytała.

Spojrzałem na butelkę.

Jak melon, odparłem. Zdaje się, że miodowy.

Zdjęła buty i położyła się na moim łóżku. Włączyłem płytę CD Cheta Bakera, a potem usiadłem na krześle, żeby przejrzeć katalog wiosennych zajęć na uczelni. Pierwsze trzy utwory okazały się bardzo melancholijne, właściwie przygnębiające, miałem więc już wstać i poszukać czegoś innego, kiedy uratowała nas jedyna, jak myślę, podnosząca na duchu piosenka na tym krążku.

They all laughed at Christopher Columbus when he said the world was round.

They all laughed when Edison recorded sound.

They all laughed at Wilbur and his brother when they said that man could fly.

They told Marconi, wireless was a phony; it's the same old cry!

*They laughed at me, wanting you, said I was reaching for the moon.
But oh, you came through; now they'll have to change their tune!
They all said we never could be happy; they laughed at us, and how.
But ho-ho-ho, who's got the last laugh now?*^[21]

Myślałem, że Maddie zasnęła, ale kiedy przyszła kolej na solo na trąbce, odezwała się, nie otwierając oczu.

Wiesz, kim jest Bob Monkhouse?

Nie. A kim?

To taki brytyjski komik, którego lubi mój tata. Wydaje mi się, że ten Monkhouse nawet jeszcze żyje. Opowiadał często taki dowcip: „Jak byłem mały, mówiłem wszystkim, że kiedy dorosnę, to chcę być komikiem, i wszyscy się ze mnie śmiali. Za to dzisiaj wcale się nie śmieją”.

DWA LATA PÓŹNIEJ, gdy powiedziała mi, że też chce zostać lekarzem, wybuchnąłem śmiechem. Śmiałem się z wyższością nauczycielki baletu, która informuje karlicę, że nigdy nie będzie z niej primabaleriny. Ale po dwudziestu czterech godzinach Maddie siedziała już naprzeciwko uczelnianego doradcy zawodowego i rozmawiała z nim o tym, jak zmienić program studiów z teatrologii na antropologię, a po licencjacie przejść na tak zwane zajęcia konwertowane w jednej z wielu akademii medycznych, do których sam złożyłem papiery. Zareagowałem gorączkowym oburzeniem.

I jak przypuszczam, powiedziałem, za miesiąc zechcesz zostać astronautką, mistrzynią Wimbledonu albo klarncistką nowojorskiej orkiestry filharmonicznej.

Nie, odpowiedziała cicho. Chcę być lekarką. Bo przeczytałam Williama Carlosa Williamsa i uznałam go za swój życiowy wzór do naśladowania.

Och, rozumiem, powiedziałem z pogardą, chociaż nigdy nie czytałem Williama Carlosa Williamsa. Czyli chcesz nie tylko zostać lekarką, ale

i przecenioną poetką.

Chociaż lało, wyszła natychmiast i nie rozmawialiśmy ze sobą przez trzy dni. W czasie tego wymuszonego okresu zadumy doszedłem do przekonania, że moja dziewczyna będzie fatalną lekarką. Nie wątpiłem, że jest inteligentna. Nie zauważyłem też, żeby jakoś specjalnie bała się bólu czy widoku krwi. Ale jaki ona miała charakter! Prowadziła bałaganiarskie, nieprzytomne życie – nigdy nigdzie nie przychodziła na czas, sweter zawsze wkładała na lewą stronę, Amar, gdzie moje okulary, gdzie dokumenty; widział kto moje klucze? Nawet kiedy miała dobry dzień, ten chaos z trudem dawał się ogarnąć. Trzeba było jednak zobaczyć ją na scenie. Aktorstwo w jakimś sensie przywoływało Maddie do porządku. Stawiało ją do pionu. Niczym kilkupasmosfera autostrada regulowało prędkość, z jaką jechała, i zwykle zapobiegało konfliktowi uczuć. Była dobrą aktorką, ale poza tym – co stanowiło jakby decydującą o przetrwaniu cechę biologiczną – aktorstwo wychodziło jej na zdrowie. Nadawało sens jej życiu. Nadawało sens nam. Ona była artystką, a ja empirykiem. Razem pokrywaliśmy imponujący i wzajemnie uzupełniający się zbiór dyscyplin naukowych i humanistycznych. W każdym razie tak mi się wydawało. Dlatego to, że nagle postanowiła zostać kimś innym, uznałem za przewrotny, a nawet niewdzięczny kaprys z jej strony – kimś innym niż aktorką, w dodatku kimś tak pospolitym i niebłyskotliwym jak lekarka! Maddie lekarka! Przypominała mi teraz, jeśli można tak powiedzieć, primabalerinę, która chce zostać karlicą.

Niewątpliwie czułem się w ten sposób, ponieważ ja sam wcale nie chciałem być lekarzem. I może Maddie się tego domyśliła, i może nawet litowała się nad swoim biednym chłopakiem, który musiał tłumić w sobie emocje, bo milcząco przebaczyła mi mój wybuch i zajęła się rekalibracją własnej drogi życiowej, nie zwracając większej uwagi na cyniczne spojrzenia, jakie jej posyłałem. Tymczasem z ośmiu akademii medycznych, do których się zgłosiłem, tylko jedna gotowa była mnie przyjąć. Co ciekawe, była to właśnie ta szkoła, w której najbardziej chciałem studiować – lecz otworzywszy zwodniczo cienką kopertę, położyłem się na łóżku i przez półtorej godziny wpatrywałem w sufit. Potem poszedłem do biura doradztwa zawodowego, czując się chyba jak

ktoś, kto wymyka się do klubu ze striptizem, chociaż w domu czeka na niego piękna żona w bieliźnie. Większość nieprzekraczalnych terminów składania podań w teczce z napisem „staże badawcze” już minęła. Z nadal aktualnych propozycji rozważałem dwie: mogłem zostać asystentem w laboratorium nowotworowym w Seattle albo koordynatorem publikacji bioetycznego think tanku w Londynie. Z opisu tej drugiej oferty wynikało, że staż trwałby dziewięć miesięcy, że pracodawcy zafundują mi bilet lotniczy i stypendium w wysokości stu funtów tygodniowo. Złożyłem aplikację. Trzy tygodnie później facet, którego nazwiska nie da się zapomnieć, Colin Cabbagestalk, zatelefonował, żeby mi powiedzieć, że jeśli naprawdę wciąż jestem zainteresowany tą posadą, jest moja. Było coś w jego głosie, pospiesznym, lecz ściśniętym, co mi kazało myśleć, że wybrali mnie z puli, w której byłem jedynym kandydatem.

Tamtego lata, w 1998 roku, mieszkalem z Maddie na Morningside Heights. Zajęliśmy też pracownię na Broadwayu jako podnajemcy i przez osiem tygodni robiliśmy właściwie tylko to, na co mieliśmy ochotę, czyli piliśmy dużo kawy, jedliśmy wafle, chodziliśmy na długie spacerunki wokół rezerwuaru albo po parku Riverside i czytaliśmy w wannie różne czasopisma od deski do deski. Nigdy w życiu nie czułem się taki wolny i nieskrępowany żadnymi obowiązkami. Wspólnie spędzony czas uprzyjemniał nam też dreszczyk sekretne go romansu, bo Maddie nie powiedziała rodzicom, że mieszkamy razem, a i ja nie byłem całkowicie szczery wobec swoich rodziców. Dzisiaj wydaje mi się to głupie, że nie potrafiliśmy im o tym powiedzieć i zachowywaliśmy się dziecinnie, chociaż złościło nas, kiedy traktowali nas jak dzieci. Wcale nie jest nieprawdopodobne, że moi rodzice z ulgą przyjęliby wiadomość, iż kocham się w zbłąkanej katolicyzcie, chcąc się studiować w akademii medycznej w Nowym Jorku. Oczywiście woleliby mużułmankę, ale dopóki Maddie była ze mną, przynajmniej nie musieli się martwić, że dołączę do ich drugiego syna za oceanem. Jeśli chodzi o jej matkę, przypuszczalne obiekcje chyba w mniejszym stopniu wynikałyby z przyczyn religijnych, a w większym stąd, że wołałaby kogoś o nazwisku, które bardziej kojarzyłoby się z człowiekiem białej rasy. Mimo to upieraliśmy się, żeby się ukrywać. Kiedy wpadli do nas

z wizytą moi rodzice, pochowaliśmy rzeczy Maddie do szafy. Gdy jej matka i ojczym przyjechali pociągiem z Loudonville, Maddie przyjęła ich u swojej dawnej koleżanki z liceum, która mieszkała niedaleko, na York. Zostawiliśmy na skrzynce na listy nazwisko właściciela mieszkania, a na automatycznej sekretarce jego nagranie, i twardo ignorowaliśmy telefon stacjonarny, jeśli dzwonił. Swoją pierwszą komórkę kupiłem dopiero w Labor Day tego roku – była to motorola wielkości buta, którą trzeba było wystawiać za okno, żeby złapała sygnał, o ile jakiś sygnał w ogóle był dostępny.

Raz zjedliśmy kolację z tą jej koleżanką. Maddie zaprosiła ją na pizzę i wino, a rozmowa doszła w końcu okrężną drogą do takiego punktu, że dziewczyna swobodnie zapytała, czy zgadzam się z opinią, że religia upośledza ciekawość intelektualną.

Przeciwnie, odpowiedziałem. Osobiście uważam, że poszukiwanie wiedzy to nasz religijny obowiązek. Ostatecznie pierwsze słowo w Koranie nakazuje nam czytać. A w trzecim wersecie mówi się, że powinniśmy czytać, bo Bóg nauczył nas pisać; nauczył ludzkość czegoś dla niej nowego.

Mimo to religia, upierał się nasz gość z imponującą pewnością siebie, pozwala człowiekowi zadawać tylko określoną liczbę pytań, zanim odpowiedź zabrzmi: „No bo tak”. Trzeba wierzyć.

No cóż, odpowiedziałem. Masz taki problem z religią jak każdy niewierzący: religia proponuje odpowiedzi, których nie da się już sprowadzić do niczego. A przecież są pytania, na które ostatecznie nie można odpowiedzieć empirycznie. Daj mi dowody na to, że należy wykoleić pociąg i zabić trzystu jadących nim pasażerów, żeby ocalić życie jednego człowieka, który leży przywiązany do szyn. Albo odpowiedz na takie pytanie: czy to jest prawda, bo to widzę, czy widzę to, co widzę, bo to jest prawda? Cały sens wiary polega na tym, że pytania nieredukowalne nie przeszkadzają wiernym. Oni czerpią pociechę, a nawet dumę z tego, że mają siłę uznać takie nieredukowalne odpowiedzi za swoje, choć jest to bardzo trudne. Wszyscy – osoby niewierzące też – codziennie polegają na odpowiedziach niedających się już sprowadzić do żadnej prostszej idei. Religia jest po prostu szczerą w tej kwestii, nadając zaufaniu specyficzną nazwę: wiara.

Nie była to mowa bez skazy, bo improwizowałem i miałem trochę w czubie, ale i tak się cieszyłem, że poruszyliśmy ten temat, gdyż wydawało mi się, że rozmowa o takich problemach wisiała nad nami od jakiegoś czasu. A jednak w trakcie kolacji Maddie pozostawała niezwykle milcząca, a temat religii nie pojawił się następnego dnia. W ogóle się nie pojawił, zanim zaczęła chodzić na zajęcia przygotowawcze do akademii medycznej, a ja poleciałem za granicę. A przecież byliśmy razem na tyłu spacerach. Spędziliśmy tyle godzin, spleceni w łóżku. Czasem się zastanawiam, czy nie ukrywamy swoich kochanków przed ludźmi dlatego, że wtedy możemy łatwiej się ukryć przed sobą.

INSTYTUT BIOETYKI miał siedzibę w suterenie georgiańskiej kamienicy w Bloomsbury, na Bedford Square, gdzie w ładnym owalnym ogródku zbierali się wieczorami narkomani uzależnieni od metadonu. Po drodze do pracy codziennie widywałem porzucone przez nich strzykawki. Mieszkanie ciotki okazało się przyjemne – cztery dobrze utrzymane pokoje w ładnej przedwojennej kamienicy – ale nie spędzałem tam zbyt wiele czasu. Zazwyczaj przygotowywałem sobie kąpiel (nie miałem prysznica), kupowałem kawę i pieczywo w kafejce na końcu ulicy, szedłem na osiem godzin do pracy, a potem czytałem w pubie albo oglądałem jakiś film w kinie Renoir. Do Maddie dzwoniłem już z łóżka. W weekendy biegałem. Ale nie w parkach, które z tymi swoimi wymanikiurowanymi trawnikami i mozaikowymi klombami wydawały mi się zbyt nierealne. Biegając wokół Inner Circle, biegło się donikąd. Wolałem kluczyć między kupującymi i spacerowiczami na Southampton Row, dobiegałem do Kingsway, potem Aldwych i na Strand; później ścigałem się z cieniami piętrowych autobusów, które przejeżdżały po moście Waterloo, i zbiegałem po schodach Southbanku na spotkanie promów i barek, sunących w skupieniu własnym kursem jak ja. Polubiłem bieganie jeszcze w liceum, ale nie na bieżni, tylko w samotności, w Shore Park, skąd wczesnym rankiem roztaczał się niesamowity widok na dolny Manhattan, wznoszący się pod niebo niczym Szmaragdowe Miasto z krainy Oz. Co prawda pewnie trafniej

byłoby powiedzieć, że mniej lubiłem samo bieganie, a bardziej stan, w jaki mnie wprawiało. Ale jogging dostarczał mi też bezpośrednich rozkoszy, na przykład samotności, i poczucia, że jestem w ruchu, nawet kiedy nie byłem pewien, w jakim kierunku zmierzam. Gdyby ktoś mi powiedział, że w wieku dwudziestu dwóch lat zamieszkać czasowo w Londynie, zapewniwszy sobie przyzwoite stypendium z szacownej instytucji, dostanę się do akademii medycznej i będę miał dziewczynę w Nowym Jorku, wydałoby mi się, że to wspaniałe i godne pozazdroszczenia osiągnięcie. Dzielnica Bloomsbury robiła na mnie jednak bardzo przygnębiające wrażenie. W czasie joggingu przyglądałem się, jak obojętny chodnik przepływa mi pod nogami, i czułem się przytłoczony olbrzymią odległością dzielącą mnie od nowojorskiego domu. I chociaż podobała mi się moja praca – spędzałem weekendy, redagując artykuły do ulotek na temat wszczepiania zwierzęcych organów ludziom, terapii komórkowej i roślin modyfikowanych genetycznie – to średnia wieku personelu w biurze wynosiła co najmniej piętnaście lat więcej niż moje dwadzieścia dwa, a po nawale obowiązkowych zajęć uniwersyteckich nowa krzywa nauczania wydawała mi się zbyt łagodna, zdobywane wiadomości mało pouczające, a tempo nauki ślimacze. Dlatego nie czułem się w Londynie wspaniale i nie uważałem, że należy mi zazdrościć – czułem się tak jak człowiek, który zrobi o jeden krok za dużo u podnóża schodów i zostaje gwałtownie zatrzymany przez niespodziewany stopień, o który obija się z głuchym, nieustępliwym łomotem.

Kwestionariusz pod nazwą „Czy jesteś gotowy?”, towarzyszący mojej aplikacji na wolontariusza w miejscowym szpitalu dziecięcym, kazał mi zważyć w wiele różnych domniemań, które od dawna żywiłem na swój temat:

Czy jesteś emocjonalnie dojrzały i potrafisz sobie radzić w trudnych sytuacjach, zachowując wrażliwość?

Czy umiesz słuchać innych?

Czy jesteś odpowiedzialny, godny zaufania, zmotywowany, uważny i elastyczny?

Czy potrafisz zaakceptować cudze kierownictwo i zachowujesz spokój pod presją?

Czy umiesz się dobrze porozumieć z pacjentami, ich rodzinami i personelem szpitala?

Potem trzeba było jeszcze wypełnić coś, co nazywało się formularzem Równych Szans, gdzie musiałem podać swoją płć, stan cywilny, narodowość, wykształcenie i ewentualne ułomności fizyczne. Na formularzu należało też zaznaczyć szereg okienek, w zależności od tego, czy uważałem się za osobę o niskich dochodach, bezdomnego, recydywistę, uchodźcę/azylanta, samotnego rodzica i/albo kogoś innego. Nie potrafiłem powstrzymać się od myśli, że łatwiej byłoby obdzielić wszystkich równymi szansami, gdyby człowiek nie znał odpowiedzi na te pytania. Oczywiście mimo to odpowiedziałem, wahając się tylko nad pytaniem o niskie dochody, bo moje stypendium nie było zbyt wysokie, rozumiałem jednak, że autorom kwestionariusza chodzi o coś innego.

Przed rozmową kwalifikacyjną poszedłem do fryzjera i kupiłem krawat. Jakaś nosząca wyraz udręki na twarzy kobieta, znad której ramienia patrzyła na mnie muralowa żyrafa, oznajmiła, że zanim policja zgodnie z procedurą sprawdzi wszystkie moje dane, może upłynąć nawet osiem tygodni. Ostatecznie minęło tylko pięć i miałem zostać przyjęty do pracy w sobotę, w którą wypadało też święto Halloween. Nazywam to przyjęciem, bo takiego słowa użyła udręczona kobieta w rozmowie telefonicznej, ale ledwie się z nią przywitałem w recepcji, zaprowadziła mnie do pokoju zabaw na parterze, powiedziała, że ma nagły przypadek na oddziale endokrynologicznym, i nie widzieliśmy się już do końca dnia.

Kiedy zostałem sam i musiałem wykazać swoją przydatność, tak jak uważałem za stosowne, moja pierwsza myśl brzmiała, iż jest coś zabawnego w tym, że trzeba się poddać trwającej pięć tygodni policyjnej kontroli po to, żeby stanąć w pokoju pełnym dzieci poprzebieranych za koty, klaunów, księżniczki, trzmiele, biedronki, piratów, superbohaterów i owszem, policjantów. Druga myśl była taka, że jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak bardzo nie na miejscu.

Oświecenie wydało mi się przeraźliwie jasne. Gwar śmiejących się, wrzeszczących i miauczących dzieci był chyba o kilka decybeli głośniejszy niż ten, do którego przywykłem w instytucie, nie wspominając już o grobowo cichym mieszkaniu mojej ciotki. Pozostali wolontariusze – wszyscy nosiliśmy słonecznikowożółte koszulki z niebieskim napisem „Jestem tu, żeby pomagać” – wyglądali jak koniki polne, bo musieli wysoko podciągać kolana, siedząc na małych krzeselkach, albo męczyli się w najbardziej niewygodnej pozycji dla dorosłych, którzy nie uprawiają jogi: siedzieli po turecku na podłodze. Ja też niechętnie usiadłem w ten sposób, nie bez prereumatycznych protestów ze strony kolan, i wylądowałem koło Królowy Śnieżki, zajętej przyklejaniem lśniących rurek makaronowych do tekturowej maski.

Co to jest? – spytałem głosem wyższym i bardziej spiętym niż normalnie.

Maska, odrzekła dziewczynka, nie podnosząc głowy.

Przyglądałem się przez chwilę, co robi, a potem zwróciłem uwagę na małego pirata, który podciągnął sobie przepaskę z oka na czoło i pilnie układał klocki. Do niego w ogóle się nie odezwałem. Te dzieciaki mnie nie potrzebowały. W koszulce z napisem „Jestem tu, żeby pomagać” sam pewnie wyglądałem, jakbym był w kostiumie. Prawdę mówiąc, w miarę upływu tego popołudnia zaczęło mi się wydawać, że to mnie ktoś pomaga, i to nie tylko dlatego, że nieustrudzenie pokazuje, jak bardzo proste i nieegoistyczne może być życie, które polega na tym, żeby ustawić jeden klocek na drugim. A potem jeszcze jeden. I jeszcze jeden. Później je wszystkie stracamy. I zaczynamy od nowa.

Tego dnia nie byłem przydatny nikomu. Mniej więcej godzinę przed końcem mojej zmiany w drzwiach pojawiła się jakaś kobieta w abai, trzymająca za rękę małą dziewczynkę. Wyglądała na siedem czy osiem lat i poza tym, że była dosyć chuda, sprawiała wrażenie zdrowej jak rydz. Ktoś namalował jej na buzi sześć kocich wąsów, ale nie nosiła kostiumu, tylko fioletowy podkoszulek z długimi rękawami i džinsy, odsłaniające co najmniej cał plisowanych białych skarpetek. Wtedy opierałem się już o ścianę, wyciągnąłem nogi, a dwie księżniczki (albo baleriny, trudno było mieć co do tego pewność) ustawiały i rozstawiały

lilipucie stadko pluszowych zwierzątek wokół moich stóp. Kobieta w drzwiach długo przyglądała się temu wszystkiemu, a potem wskazała ręką w naszą stronę i przyprowadziła mi tę małą. Hnana, powiedziała, podnosząc żabkę-pacynkę. Proszę. Dziewczynka wzięła ją, włożyła w nią rączkę i osunęła się na podłogę. Miała niezwykłą buzię, gładką i chłopięcą, długie rzęsy i czarne włosy, wsunięte starannie za uszy i spięte w połyskliwy koński ogon. Kocie wąsy wyglądały na niepotrzebny, upokarzający żart. Trzymała żabkę na kolanach, brzuchem do góry, i w pewnym momencie z roztargnieniem podrapała się po ramieniu jej noskiem. Tymczasem księżniczki-baleriny wciąż przygotowywały zgromadzenie pluszowych zwierzątek. Wymagało to piskliwego brzuchomówstwa piskliwymi głosami i zdecydowanie niebaletowych skoków ponad moimi nogami i z powrotem. Różowe falbanki ich spódnic szeleściły i trzęsły się z każdym niepewnym susem. Myślałem, że może nie zauważyły nowej dziewczynki – aż wreszcie jedna z nich podniosła króliczka, obróciła się gwałtownie na pulchnych, różowych nóżkach i podała go małej.

Chcesz to?

Nowa pacjentka pokręciła głową.

A to?

Druga dziewczynka podsunęła jej sowę.

Nowa znów odmówiła. Potem wysunęła rękę z żabki, wskazała menażerię i powiedziała coś tak cicho, że nikt z nas jej nie słyszał.

Sam, może. Albo słoń.

Hsan, wypaliłem. Koń.

Mała kiwnęła głową, a potem odwróciła się, żeby popatrzeć na mnie ze zdziwieniem. Jedna z koleżanek rzuciła jej konika. Nowa odłożyła żabkę, wzięła konia i czerwieniąc się trochę, zaczęła przeczesywać paluszkami jego wełnianą grzywę. Sięgnąłem za jej plecy po żabkę i sam wsunąłem w nią rękę. Chciałabym być konikiem, oznajmiła moim głosem żaba po arabsku. Dziewczynka uśmiechnęła się.

NIEGODZIWOŚĆ CHOROBY można było zobaczyć dopiero, kiedy dzieci zdjęły swoje kostiumy. Widziało się jej symptomy, a raczej ich przezroczystość, i mimo woli próbowało się ocenić szanse biednego małego pacjenta na przeżycie. Ręka czy noga w gipsie nie były najgorsze. Często okazywało się, że to tylko kontuzja z placu zabaw, która po ośmiu tygodniach zginie w rodzinnej pamięci. Plama w kolorze portwajnu, zakrywająca pół twarzy, wydawała się czymś o wiele bardziej niesprawiedliwym – chociaż dzięki czasowi i laserom jej też można by się pozbyć. Trudniej patrzyło się na bardziej strukturalne zniekształcenia, jak mikrotia, czyli wywodząca się etymologicznie z łaciny nazwa niedorozwoju ucha, albo choroba Olliera, czyli chrząstniakowatość śródkostna, mogąca zmienić rękę w organ guzowaty i pokręcony niczym korzeń imbiru. Czytałem o tych i wielu innych chorobach w suterenie instytutu bioetyki, gdzie moją najbardziej niezawodną towarzyszką w porze lunchu stała się półka, z ciasno ułożonymi słownikami medycznymi. Nie zawsze było łatwo postawić diagnozę. Lekarze w szpitalu niechętnie dzielili się swoimi wnioskami, a ponieważ byłem tylko wolontariuszem od zabaw, na ogół nie czułem się jak ktoś, kto ma prawo do zadawania pytań. Dawałem więc sobie radę na podstawie tego, co widziałem: nabrzmiałe stawy. Krzywica nóg. Drżączka całego ciała. To, co widzialne, można było powstrzymać. Ale białaczka czy guz mózgu, nawet taki wielki jak mandarynka... Przerażające było to, jak ukradkowo atakowały ofiary. To nie jest teoria logiczna. To w ogóle nie jest teoria. Jak może to być teoria, skoro istnieją od niej tak jawne wyjątki? Z pewnością nie ma żadnej korelacji między widocznością i powagą chorób, a przecież te niewidoczne odznaczają się wyjątkową siłą. Może dlatego, że wydają się nieuczciwe. Obludne. Znamień może oznaczać coś niedobrego, ale przynajmniej nie atakuje podstępnie, jest widoczne. Dlatego ilekroć spotykałem w recepcji nowe dziecko, nie mogłem się powstrzymać, żeby z nadzieją nie szukać jakiegoś znaku: czegoś znośnego, może nawet uleczalnego, czegoś w rodzaju podeszwy, którą można z powrotem przymocować do buta kroplą kleju. Proszę, tylko niech ta choroba nie atakuje jej od wewnątrz. Proszę, niech ona nie cierpi na którąś z tych niewidzialnych chorób.

Praktycznie rzecz biorąc, zatrudniłem się w tym miejscu z powodów zawodowych, żeby się zapoznać z pracą w szpitalu i nauczyć odpowiedniej postawy wobec pacjentów, ale prawdę rzekłszy, wydawało mi się to wszystko tak wyczerpujące emocjonalnie, że pracowałem już tylko nad chęcią napicia się piwa. W którąś sobotę pod koniec mojej zmiany Lachlan, jeden z wolontariuszy, zaproponował, żebym poszedł z nim i jego znajomymi do pubu za rogiem. Siedział tam już Alastair i dwie czy trzy inne osoby, które koniecznie chciały mi wytłumaczyć, czym jest naprawdę New Labour, że Cool Britannia to głupota i jakie składniki wywołują wiatry po piwie Young's Bitter. Tego albo innego wieczoru rozmawialiśmy też o Afganistanie, a raczej o przeprowadzonych w tym kraju na rozkaz Clintona kilka miesięcy wcześniej atakach rakietowych, które w opinii większości zebranych przy stole stanowiły bardzo wygodny sposób odwrócenia uwagi od wewnętrznych problemów Stanów Zjednoczonych. Miałem wątpliwości, czy tak w istocie jest – ostatecznie to nie Clinton wydał rozkaz zaatakowania ambasad w Dar es Salaam czy w Nairobi – i kiedy to mówiłem, obserwowałem jednym okiem Alastaira, bo zrozumiałem już, że jest inteligentny i myśli niezależnie, i bardzo nie chciałem nie zgadzać się z jego opinią. Ale on niechętnie uczestniczył w takich rozmowach. Siedział w kącie pod półką z grami planszowymi, która rzucała cień na część jego twarzy, i kaprawym wzrokiem obserwował salę, jak ktoś skazany na długie oczekiwanie. Światło padało z góry i druga połowa jego oblicza wyglądała ziemiście, nienaturalnie staro; gdybym go nie znał – gdybym był tam sam i obserwował z daleka, jak pije piwo za piwem – wziąłbym mojego późniejszego przyjaciela za kogoś, kto już jest nikim albo kto był nim zawsze; w każdym razie uznałbym go za zaniedbanego alkoholika. Powinienem być jednak sprawiedliwy i powiedzieć, że w czasie kilku naszych pierwszych wspólnych wieczorów Alastair uważał mnie zapewne za nowego nudziarza. Z tym że ja naprawdę byłem nowym nudziarzem – a on może i był alkoholikiem, ale nie zaniedbanym. Jeszcze nie.

Pewnego wieczoru zapytałem, skąd pochodzi.

Z Bournemouth, odparł, po czym wstał, by pójść do toalety.

Innym razem dziewczyna, która wycierała stół, identyczne pytanie zadała mnie.

Z Brooklynu.

Ale jego rodzice są z Bagdadu, powiedział Lachlan.

Alastair pochylił się nad stołem i spojrzał na mnie ze świeżo rozbudzoną ciekawością.

A konkretnie skąd?

Z Karrady.

Kiedy wyjechali?

W siedemdziesiątym szóstym.

Muzułmanin?

Skinąłem głową.

Sunnita czy szyita?

Lachlan, który poczuł się jak w potrzasku, wstał, żeby mi ustąpić miejsca i niedługo potem, gdy przysiadłem się bliżej, stało się dla mnie jasne, że Alastair wie o współczesnym Iraku o wiele więcej niż ja. Nie byłem tam dziesięć lat i nie potrafiłem przypomnieć sobie nawet nazwy szyckiego plemienia, z którego pochodzili moi rodzice. Co więcej, kiedy przyznałem, że w życiu nie jadłem zupy z głowy owcy, posłał mi tak pełne niedowierzania spojrzenie, jak gdybym był parmeńczykiem, twierdzącym, że nigdy nie kosztował szynki parmeńskiej. Mimo to zawiązała się między nami jakaś nić przyjaźni i wkrótce, kiedy inni rozmawiali o krykiecie albo tyłkach barmanek, Alastair opowiadał mi, jak pracował nie tylko w Bagdadzie, ale i w Salwadorze, Rwandzie, Bośni i Bejrucie, gdzie – gdy ja byłem nastolatkiem w Bay Ridge, układałem alfabetycznie karty bejsbolowe i pisałem sprawdziany z angielskiego – on ukrywał się przed Hezbollahem i palił haszysz w starym hotelu Commodore. Takie opowieści mnie urzekały, a nawet stawałem się o nie trochę zazdrosny. Oczywiście nie chciałem być obiektem zainteresowania paramilitarnych ekstremistów, ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby móc opowiadać, że im się skutecznie wymykałem.

Kiedy zacząłem pić z miejscowymi bywalcami w sobotnie wieczory, w niedzielę zamiast biegać słuchałem przez cały dzień stacji Radio 4

i tonąłem w lotnych piaskach łózkowej zadumy. Nie tylko dlatego, że miałem kaca – chociaż rzeczywiście piłem za dużo i pewnego dnia, gdy zbudziły mnie surrealistyczne dźwięki zespołu Shipping Forecast, wydawało mi się przez chwilę, że doznałem nieodwracalnego uszkodzenia mózgu. Ważniejsze było to, że moje nowe soboty, brytyjskie do cna i bajecznie przyjazne, zdawały mi się tym, do czego biegłem i czego nie potrzebowałem więcej szukać. Pierwszym „rozbitkiem” z audycji *Desert Island Discs*, którego usłyszałem, był Józef Rotblat, laureat pokojowej Nagrody Nobla, który współpracował przy produkcji bomby atomowej i poświęcił resztę życia na to, żeby zniwelować skutki jej wynalezienia. Był po dziewięćdziesiątce, mówił szybko, z polskim akcentem i rwaną starczą chrypką, i opowiadał przeprowadzającej z nim wywiad dziennikarce, że po Hiroszimie przysiągł zmienić swoje życie w dwóch ważnych aspektach. Po pierwsze, postanowił przestawić się w badaniach z reakcji jądrowych na medyczne zastosowanie atomu. Po drugie, zamierzał podnieść powszechną świadomość potencjalnych niebezpieczeństw nauki i skłonić uczonych, by przyjmowali na siebie większą odpowiedzialność za swoją pracę. Jego wybory muzyczne – osiem płyt, które zabrałby ze sobą, gdyby został zesłany na bezludną wyspę – niewiele odstawały od tych ideałów: *Kol Nidrei*, *Last Night I Had the Strangest Dream*, *Where Have All the Flowers Gone?*, *A Rill Will Be a Stream*, *A Stream Will Be a Flood*, i to w wykonaniu szwedzkich lekarzy, grających na koncercie na rzecz zapobieżenia wojnie atomowej...

Czyli pańskie ambicje, powiedziała Sue Lawley, kiedy szwedzcy lekarze już ucichli, sięgają świata wolnego od broni nuklearnej. Chce pan widzieć świat bez wojny. Wierzy pan, że tak będzie, czy tylko pan o tym marzy?

Taki świat musi się ziścić. Mam dwa cele w życiu, bez względu na to, ile czasu jeszcze mi zostało. Krótkoterminowy i długoterminowy. Cel krótkoterminowy to likwidacja broni nuklearnej, a długoterminowy to likwidacja wojen. Powód, dla którego uważam, że to ważne, jest taki, że nawet jeśli wyeliminujemy broń jądrową, to ona została już wynaleziona i nic się już na to nie poradzi. Gdyby w przyszłości doszło do jakiegoś poważniejszego konfliktu między wielkimi mocarstwami,

mogłaby zostać wprowadzona z powrotem do arsenału. Jest jednak jeszcze coś, i tu wracamy do kwestii odpowiedzialności uczonych: otóż pewne inne dyscypliny naukowe, zwłaszcza inżynieria genetyczna, mogą przyczynić się do rozwoju innego rodzaju broni masowej zagłady, która być może stanie się dostępna powszechniej niż broń nuklearna. A zatem jedyny sposób na pokój to zapobieżenie wojnie. Trzeba stworzyć taki świat, żeby wojna nie była więcej potrzebna. Żadna. Musimy usunąć ją z rezerwuaru akceptowanych społecznie sposobów rozwiązywania konfliktów i nauczyć się zażegnawać spory bez konfrontacji militarnych.

I wierzy pan, że naprawdę istnieje szansa, że tak się stanie?

Wierzę, że już idziemy w tym kierunku! Widziałem za mojego życia różne zmiany społeczne. Przeżyłem dwie wojny światowe. W obu z nich Niemcy i Francja, na przykład, były swoimi śmiertelnymi wrogami. Niemcy i Francuzi wyrzynali się nawzajem. Dzisiaj myśl o wojnie między tymi krajami jest niewyobrażalna. Dotyczy to także innych państw Unii Europejskiej. To wielka rewolucja. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak ogromna zmiana zaszła na świecie. Musimy się kształcić w kulturze pokoju, nie w kulturze przemocy, w której żyjemy dzisiaj... Mówiąc słowami Fryderyka Schillera: *Alle Menschen werden Brüder*. Wszyscy ludzie będą sobie braćmi. Mam nadzieję, że uda się to osiągnąć.

Nim wywiad dobiegł końca i znowu rozległ się motyw muzyczny audycji, wykorzystujący skrzeczenie mew, Rotblat opowiedział jeszcze, jak to w 1939 roku, kiedy przyjął zaproszenie, żeby kontynuować swoje badania naukowe w Liverpoolu, zostawił w Polsce żonę, bo jego stypendium nie wystarczyłoby na utrzymanie w Anglii dwojga osób. Latem dostał skromną podwyżkę i pojechał do Warszawy po Tolę, która jednak zachorowała na zapalenie wyrostka i nie mogła podróżować. Wrócił więc do Liverpoolu sam, sądząc, że żona dołączy do niego, gdy tylko wyzdrowieje, lecz dwa dni po jego powrocie do Anglii Niemcy napadły na Polskę i stracił z Tolą kontakt. Dopiero po kilku miesiącach udało mu się z nią skontaktować przez Czerwony Krzyż i opracować plan wydostania żony z okupowanego kraju z pomocą przyjaciela, mieszkającego w Danii. Potem jednak Niemcy napadły na Danię.

Rotblat zwrócił się więc z prośbą o pomoc do przyjaciół w Belgii, ale Niemcy zajęły także i ten kraj. Następnie spróbował we Włoszech, bo jeden z jego wykładowców znał w Mediolanie kogoś, kto zgodziłby się eskortować Tolę w podróży. Gdy pani Rotblat wyruszyła w końcu na spotkanie z łącznikiem, Mussolini wypowiedział wojnę Wielkiej Brytanii i Tolę zawrócono na włoskiej granicy. Później Rotblat nie dostał już od niej żadnej wiadomości.

Wieczorem, kiedy podzieliłem się tą historią z Maddie, wydawała mi się zdystansowana i niewzruszona. Naciskałem ją, przez chwilę nic nie mówiła, a później odchrząknęła i powiedziała coś o tym, że kiedy znamy koniec jakiejś nieszczęśliwej opowieści, to kusi nas, żeby zapytać, dlaczego jej bohater nie postarał się bardziej zmienić swój los.

A może ty uważasz, że wszystko jest w rękach Boga? – spytała chwilę później głosem, który nie zachęcał do udzielenia odpowiedzi twierdzącej. Że to Jego decyzja? Jego wola?

A jeżeli tak?

Wydaje mi się dzisiaj niemożliwe, że nie widziałem zbliżającego się końca mojego związku z Maddie. Wtedy jednak myślałem, że chociaż moje uczucia do niej zaczęły stygnąć niedługo po tym, jak zdobyłem tę wspaniałą nagrodę, czyli ją, rozstanie z takich powodów byłoby aktem zdrady wobec siebie samego. Niepokoiło mnie, że Amar sprzed roku może być tak inny od Amara dzisiejszego, i wydaje mi się, że w swojej determinacji, by przynajmniej udawać, że nic się nie zmieniło – że nie jestem taki chimeryczny i próżny, aby pragnąć kobiety tylko dopóty, dopóki jej nie zdobyłem – nie zastanawiałem się prawie wcale nad tym, że przecież Maddie też się może zmienić. Potem, w ostatnią niedzielę przed świętami Bożego Narodzenia, Sue Lawley oznajmiła, że jej dzisiejszym rozbitkiem będzie angielski komik Bob Monkhouse. Zaskoczony sięgnąłem po telefon i wykręciłem bardzo długi numer do Maddie, ale nie odbierała.

Sue puściła zespół Stormy Weather, a ja spróbowałem zadzwonić raz jeszcze. Vaughn Monroe, *Racing With the Moon*. Ravel. Adagio Barbera na instrumenty smyczkowe. W czasie *You Have Cast Your Shadow on the Sea* w wykonaniu zespołu Monkhouse and the Cast zadzwoniłem po raz czwarty. Mojego kaca przytłoczył już wtedy gorzki niepokój, dlaczego

dziewczyna, z którą chodziłem od trzech i pół roku, nie odbiera komórki o szóstej czterdzieści pięć czasu wschodniego w niedzielę rano.

A najważniejsza książka? – zapytała Sue.

Musiałbym wymienić dzieła zebrane Lewisa Carrolla.

A gdyby mógł pan wziąć ze sobą tylko jeden...

Jeden?

Jeden utwór Carrolla?

No, mój ulubiony kawałek to chyba *Polowanie na żmirlacza*. Ale z drugiej strony nie poradziłbym sobie bez postaci z *Alicji w Krainie Czarów* i *Co widziała Alicja po drugiej stronie lustra*. Czy byłby to aż taki... A czy mogę prosić o wszystkie przygody Alicji w jednym tomie?

Zrozumiałem, dlaczego Maddie uważała mnie za hipokrytę. Z pozoru to paradoks, być w życiu takim ostrożnym, porządnym i pedantycznym, a jednocześnie twierdzić, że pokłada się wiarę w instancji ostatecznej, czyli w Bogu. Po co rzucać palenie, skoro Bóg już cię skreślił i stracisz życie w wypadku autobusowym, do którego dojdzie w przyszłym tygodniu? Ale teologiczna predestynacja i wolna wola wcale nie muszą być nie do pogodzenia. Jeżeli Bóg ma całkowitą kontrolę nad wszystkim, co istnieje, to można sobie wyobrazić, że Jego władza rozciąga się też na Niego samego, i kiedy tylko zechce, może jedno przeznaczenie zastąpić drugim. Innymi słowy, przeznaczenie nie jest określone, lecz nieokreślone, bo celowym działaniem może je odmienić sam człowiek; Allah nie zmieni kondycji żadnego narodu, dopóki tworzący go ludzie nie zmieniają się sami wewnątrz. Bóg nie zaprogramował biegu ludzkiej historii, tylko raczej jest świadom wszystkich jej możliwych dróg i może przekształcić tę, na której jesteśmy, w zgodzie z naszą wolą i granicami Jego wszechświata. Albo inaczej, jak ująłem to w rozmowie z Maddie przed tygodniem: wyobraź sobie elektryczne samochodziki, w których można się rozbijać w parku rozrywki. Siedzisz w takim autku i możesz pojechać w dowolnym kierunku, a jednocześnie twój pojazd jest podłączony prętem do sufitu, skąd pobiera napędzający go prąd, jest więc w ten sposób ograniczony w ruchach, predeterminowany, również przez ogrodzenie wokół placu,

po którym się porusza. Bóg, który bawi się na podobnym, lecz gigantycznym placu, stwarza możliwości ludzkich działań i czuwa nad nimi, chociaż ludzie podejmują je i realizują samodzielnie. A kiedy postępujemy w ten sposób – skręcamy w lewo czy w prawo, jedziemy naprzód albo się cofamy, taranujemy swoich sąsiadów lub z szacunkiem staramy się ich omijać – decydujemy o tym, kim się staniemy i przyjmujemy odpowiedzialność za te wybory, które nas określają.

Po łagodniejszej ciszy na linii domyślałem się, że Maddie nie jest wprost niechętna temu, co mówiłem. Ale widziałem też, sądząc po długości wspomnianej ciszy, że naszym problemem nie są sprzeczne poglądy na temat zakresu woli boskiej. Problemem okazał się czterdziestodwuletni profesor medycyny, Goeffrey Stubblebine. Ale mniejsza z tym. Wszyscy od czasu do czasu znikamy w króliczej norze. Niekiedy to jedyny sposób, żeby uciec przed nudą albo palącymi potrzebami – jedyny sposób, by zresetować cały ten bałagan, który zrobiliśmy z wolnej woli. Czasami po prostu chcemy, żeby ktoś inny przejął na chwilę stery i okiełznał naszą wolność, która stała się trochę zbyt swobodna. Zbyt samotna, za bardzo pozbawiona struktury, zbyt wyczerpująco niezależna. Czasami wskakujemy do króliczej nory, czasami pozwalamy, żeby ktoś nas do niej wciągnął, a czasami, nie całkiem mimo woli, przewracamy się.

Nie mówię o przymusie. Bo jeśli ktoś nas popchnie, to co innego.

W MAŁYM HOLU PRZED SALĄ ZATRZYMAŃ jakiś potężny mężczyzna w żółtej kamizelce odblaskowej oznaczył mój bagaż i wrzucił go na półkę jednym ruchem, jak gdyby to był tylko worek piór. Drugi mężczyzna, mniej krzepki, ale niewiele, odebrał mi plecak i przeszukał mnie. Pozwolono mi zatrzymać gotówkę, którą miałem w kieszeniach – jedenaście dolarów i trzydzieści sześć centów w nieświeżej amerykańskiej walucie – ale już nie telefon, bo był wyposażony w aparat fotograficzny. Kiedy czekaliśmy, aż Denise wypełni kolejny plik dokumentów, ten drugi facet, którego ciepłe ręce wciąż czułem na swoim kroczu, przyjaznym gestem wskazał mi automat z napojami.

Herbaty?

Nie, dzięki.

Banana? Kanapkę z serem i piklami? Chrupki?

Przekąski leżały na dzielącym nas stole jak na straganie.

Pokręciłem głową.

Nic nie chcę.

Denise podała mi kolejny papier.

W takim razie proszę, niech pan wejdzie. Postaram się uwinąć jak najszybciej.

Pokój zatrzymań okazał się dużym, nisko sklepionym pomieszczeniem pozbawionym okien – jeśli nie liczyć okienka, przez które strażnicy mogli obserwować nas, a my ich – gdzie miejsc siedzących wystarczyłoby dla siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu osób. Wchodząc do środka, pomyślałem, że może spotkam tam tę młodą Chinę, która przeleciała pół świata na podejrzanе zaproszenie profesora Kena, ale jedynym oprócz mnie podróżnym w sali był jakiś wysoki czarny, który spacerował nerwowo tam i z powrotem pod przeciwległą ścianą. Miał na głowie zrobioną na drutach czerwoną czapeczkę i długie kremowe dashiki, a kiedy krążył pomiędzy kamerami

umieszczonymi w wypukłych lustrach pod sufitem w czterech kątach pokoju, jego odbicie, zwieńczone czerwienią niczym tort wisienką, na przemian rosło i kurczyło się. Usiadłem kilka krzeseł dalej. Przymocowany pod sufitem telewizor był nastawiony cicho na jakiś talk show. Jedna pani pokazywała drugiej, jak upiec tradycyjne greckie ciasto na Nowy Rok. Jej rady obejmowały też dłuższe pouczenie na temat tego, gdzie ukryć pieniędzy na szczęście, a potem jak pokroić ciasto, żeby uniknąć czegoś, co pouczająca określiła jako poważny konflikt wokół prawa własności do monety. Oglądałem to, nudząc się przez chwilę, a potem wstałem, żeby przeczytać wiszące na ścianach ogłoszenia.

Zatrzymanym proponowano koce i poduszki, a także procedury ewakuacyjne w jedenastu językach na wypadek pożaru. Koło płatnego telefonu widniały numery do Refugee and Migrant Justice, a także do Immigration Advisory Service, opisane wyłącznie po angielsku. Również koło aparatu telefonicznego można było znaleźć numery do lotniskowych służb duszpasterskich i różnych kapelanów, jak wielbny Jeremy Benfield. Wielbny Gerald T. Pritchard. Brat Okapalaonwuka Chinelo, rabin Schmuley Vogel, Sonesh Prakash Singh. Mój wzrok automatycznie zaczął szukać jakiegoś arabskiego nazwiska. Mohammad Usman. Imam Mohammad Usman. Heathrow Community Muslim Centre, 654 Bath Road, Cranford, Middlesex, TW5 9TN.

Kilka stóp dalej, na innym składanym stoliku z drewnopodobną okleiną, ktoś, usiłując nie faworyzować żadnej, starannie ułożył następujące książki: Biblię hebrajską, Biblię króla Jakuba, Biblię hiszpańską Reiny-Valery i dwa egzemplarze Koranu (po angielsku i arabsku). Do stolika na wysokości Koranów przymocowana była strzałka, wskazująca, że Mekka leży mniej więcej w tym samym kierunku co toaleta dla pań. Pod stolikiem stały w koszyku trzy luźno zwinięte maty modlitewne, przypominające wielkie bagietki, a w znamionującej szacunek, chociaż nietrudnej do przewidzenia odległości ktoś powiesił kolejne ogłoszenie, również tylko po angielsku: „Zabrania się spać na podłodze”.

Czarny mężczyzna usiadł i zaczął trzeć oczy dłońmi. Na nogach miał zakurzone mokasyny, nie nosił jednak skarpetek, a skóra na jego

kostkach u nóg przybrała barwę popiołu. Zgodnie z weekendową prognozą pogody dla Londynu temperatura miała sięgać niewiele powyżej zera, i przez krótką fantastyczną chwilę pomyślałem, że to dlatego ten człowiek został zatrzymany: za brak odpowiedniego obuwia i skarpet. Ostatecznie brytyjska służba zdrowia nie może hospitalizować z powodu hipotermii czy gangreny każdego zbyt lekko ubranego przybysza. Nie nosi pan skarpetek w grudniu? Trudno. Proszę usiąść. Musimy tylko sprawdzić kilka kwestii natury ogólnej. Postaramy się uwinąć jak najszybciej.

Po drugiej stronie pokoju stał drugi stolik, bardziej niedbale usłany materiałami świeckimi. Były tam gazety angielskie, hiszpańskie, francuskie i chińskie, japoński egzemplarz *Vogue'a* z pozaginanymi rogami, dwa francuskie tomy *Zmierzchu*, jakaś hiszpańska powieść romantyczna i niemieckie wydanie autobiografii Elizabeth Gilbert *Jedź, módl się, kochaj*. Zrezygnowany wróciłem na swoje wcześniejsze miejsce przed telewizorem. Czarny mężczyzna znowu zaczął chodzić w kółko. Wydawał też teraz dźwięki: krótkie, przerywane, jakby mimowolne stęknienia i jęki, przywodzące mi na myśl pewnego pianistę, którego lubił mój brat – ekscentryka emitującego podobne odgłosy w czasie gry, może z wysiłku, a może z uniesienia nad swoją sztuką. Książka, którą wciąż miałem przy sobie, leżała nieotwarta na moich kolanach. Wyznaczona godzina spotkania po latach z Alastairem w The Lamb przyszła i minęła. Greckie ciasto noworoczne zostało pokrojone.

NAJGORZEJ BYŁO W GROZNYM. W ciągu ośmiu tygodni zginęło dwadzieścia pięć tysięcy cywilów. W mroczne zimowe dni trzeba było omijać leje po pociskach dużego kalibru, na placu Minutka ludzie potykali się o ciała zabitych, ozdobione wstążeczkami oznaczającymi męczenników. Ci Czeczeni, którzy nie zginęli od bomb, wpadli w ręce rosyjskich żołnierzy i zostali zapędzeni do piwnic; matki więźniów płakały na ulicach, błagając, by ich zwolniono. Alastair i inni dziennikarze nocowali pięćdziesiąt mil dalej, w dawnym przedszkolu w Chasawiurcie, na maleńkich łóżeczkach zestawionych razem w ten sposób, by utworzyły łóżka, które i tak okazały się za małe dla dorosłych. Zatykali nosy chusteczkami, żeby nie czuć smrodu niemytych ciał na sali, wciąż ozdobionej dziecięcymi rysunkami i akwarelami przedstawiającymi króliczki, czarodziejów, motylki, jednorożce i patykowate rodziny, trzymające się za ręce pod tęczą, która lała się do garnca złota. Na dole zielona trawa. Na górze solidna niebieska smuga nieba. Tu człowiek nie marzył ani nie pamiętał o marzeniach; marzeniem była udana ucieczka w ciągnącej człowieka ku ziemi kamizelce kuloodpornej. A Czeczeni? Wydawało się, że bojownicy idą na śmierć z radością. A dlaczego nie? Pragnienie śmierci to potężna broń. Zwłaszcza jeśli używa się jej przeciwko tym, którzy właściwie woleliby nie umierać. Jeśli będziecie mnie głodzić, upokorzycie mnie, zrównacie z ziemią moje miasta i odbierzecie mi nadzieję, to czego możecie się spodziewać? Że nie będę gotów walczyć z wami na śmierć i życie? Że nie będę chciał być męczennikiem, mimo że mogę się wyróżnić już tylko jako męczennik? Ty mięczaku, który dajesz się naiwnie nabierać na rosyjskie matki i tęcze, wracaj na swojego angielskiego sylwestra, do swoich fajerwerków, dań dnia i darmowego kieliszka wina do nich. Nie potrzebujemy waszego podziwu. Nie musicie „dawać” żadnego „świadcstwa”. Waszej empatii brakuje wyobraźni. Nawet Rosjanie są lepsi od was; nawet oni nie są tak nadęci

jak wy, potrafią pić szampana z poobijanych menażek, chuchając w palce i przytupując na śniegu, pooranym koleinami szczyń. Dla was to coś nowego. A dla nas to więzienie. A potem świat pyta, dlaczego. Dlaczego oni się zabijają nawzajem? Dlaczego nie potrafią się dogadać? Dlaczego tak wielu ludzi musi umrzeć? Ale może lepsze pytanie brzmi: dlaczego tak wielu ludzi nie chce żyć?

Czasami w soboty, jeśli świeciło słońce, kilku z nas na ochotnika zabierało chore dzieci na plac zabaw w jednym z pobliskich parków. Zwykle moim kompanem w czasie takich wycieczek był Lachlan, facet lubiący konformistycznie milczeć i wygłaszać wyjątkowe banały. Pewnego popołudnia siedzieliśmy na Bloomsbury Square, jednym okiem obserwując naszych podopiecznych, kiedy Lachlan wskazał żelazne ogrodzenie po przeciwnej stronie parku i powiedział, że w czasie drugiej wojny światowej oryginalny płot rozebrano i przetopiono na potrzeby armii. Nowe pręty ogrodzeniowe były krótsze, brama pozostawała otwarta przez cały dzień i od tamtej pory wstęp miał tutaj każdy. Nie mogłem potem przejść przez Bloomsbury Square, nie myśląc, co się stało z tym starym ogrodzeniem i dokąd trafiło żelastwo. Na jaki front. W czyje ciało. Mniej więcej w tym czasie tych, którzy wierzyli w zapowiedź zlikwidowania broni masowej zagłady Saddama Husajna, miało spotkać pierwsze, zbliżające się coraz szybciej rozczerowanie. Blair ogłosił, że przyszła pora odwdzińczyć się Ameryce za pomoc sprzed sześćdziesięciu lat, i zapewnił, że Wielka Brytania pomoże jej wywachać wszystkie pozostałe magazyny z ludobójczą bronią. Czterdzieści osiem godzin później Clinton oświadczył, że Irak będzie współpracował; miesiąc później UNSCOM doniósł, że władze irackie jednak nie współpracują, i proszę bardzo, zaczęły się brytyjsko-amerykańskie bombardowania. Naloty, przeprowadzane w ramach operacji „Pustynny Lis”, oglądałem razem z Alastairem. Siedzieliśmy na naszych stałych miejscach w Lamb, w którym sufit został ozdobiony bożonarodzeniowymi dekoracjami, a bar zmienił się w nieciekawy bufet z zapiekankami z mielonego mięsa i nędznym kociołkiem pełnym grzanego wina zaprawionego brandy. W czasie transmisji z tego blitzkriegu – z jego końcowego szaleństwa, zanim alianci przerwali działania bojowe, aby okazać szacunek dla

ramadanu – BBC szamotała się pomiędzy jednakowo urzekającymi, ale pokazywanymi w różnych barwach zdjęciami: jedne były ciemne i ziarniste, palmy przedstawiono na nich na tle sepiowych dymów i pomarańczowych flar, a inne skąpane w przypominającej midori zieleni noktowizorów. Eksplozja nad Tygrysem nagle rozświetlała wodę niewinną dzienną jasnością. Dajcie mi spokój, zdawała się mówić rzeka w chwilowym białym blasku. Nic wam nie zrobiłam. Zostawcie mnie w spokoju.

Tego wieczoru w telewizji pokazano też reportaż o tym, jak Izba Reprezentantów głosowała za zastosowaniem wobec Clintona procedury impeachmentu i usunięciem go z fotela prezydenta. Tym razem, kiedy zaczęły się szyderstwa z jego kalendarium polityki zagranicznej, nie odezwałem się słowem.

Alastair obok mnie też nie mówił wiele, a pił z jeszcze bardziej posępną determinacją niż zwykle. Zacząłem się wtedy zastanawiać, czy w czasie ostatnich dziesięciu lat – na przykład w Rwandzie, w Groznm albo tak stopniowo, że nie dałoby się obarczyć za to winą żadnego pojedynczego aktu okrucieństwa – ten facet, jak to się mówi, nie postradał zmysłów. Może nie sprawiał jeszcze wrażenia człowieka zupełnie bezrozumnego, wyglądało to raczej tak, jak gdyby rozum odebrano mu kiedyś tylko czasowo, na przechowanie, a potem oddano z surowym zastrzeżeniem, żeby używał go wyłącznie do snucia niewinnych myśli. Dlatego, jak sądziłem, siedział tutaj i oglądał wydarzenia irackie w pubie w Bloomsbury, a nie z dachu jakiegoś bagdadzkiego hotelu. Zapytałem, dlaczego noktowizory zabarwiają wszystko na zielono.

Fosfor, odparł. Stosują zielen, bo ludzkie oko potrafi rozróżnić więcej odcieni koloru zielonego niż jakiegokolwiek innej barwy.

Mógłbyś napisać o tym książkę, powiedziałem po chwili.

Wciągnął powietrze do płuc i patrzył, jak pozostałości piwnej piany zsuwają się powoli w dół po ściankach jego szklanki. Kiedy przyszła mu do głowy odpowiedź, sprawiał wrażenie człowieka, któremu ulżyło na duszy. Nie była szczera, ale musiała wystarczyć.

Jest taka stara anegdota, powiedział, że zagraniczny dziennikarz, który jedzie na Bliski Wschód i siedzi tam przez tydzień, po powrocie

do domu pisze książkę, w której przedstawia prostackie rozwiązania wszystkich problemów regionu. Jeżeli zostaje na Bliskim Wschodzie przez miesiąc, pisze artykuł do jakiegoś czasopisma czy gazety, pełen takich słów i określeń, jak „jeżeli”, „ale” i „z drugiej strony”. A jeśli zostaje rok, nie pisze nic.

Wiesz, powiedziałem, właściwie ty nie musiałbyś niczego rozwiązywać.

Nie, powiedział Alastair, biorąc szklankę do ręki. Ty też nie.

To, że tej zimy nie znaleziono żadnych arsenałów chemicznych, radiologicznych ani nuklearnych, zdawało się tylko napędzać manichejską panikę, w porównaniu z którą przetopienie parkowego ogrodzenia na pociski armatnie i karabinowe wydawało się na tyle osobliwe, że wzbudzało nostalgię. Niewątpliwie kiedy siedziałem na rozświetlonym Bloomsbury Square, słuchając pieśni pogwizdujących mi nad głową drozdów, nie wydawało się prawdopodobne, żeby otaczające nas w tej chwili pręty miały kiedykolwiek zostać użyte w boju. Ale przecież gdyby ktoś zasugerował, że porwanie cywilnych samolotów i skierowanie ich na drapacze chmur wroga może być skutecznym środkiem walki we współczesnej wojnie, to pewnie również nie uważałbym tego za zbyt prawdopodobne.

Któregoś dnia jakiś chłopczyk z bandażem na uchu podszedł nas zapytać, czy nie mamy czegoś do jedzenia. Dałem mu herbatnik HobNob.

Sypiąc okruszkami z ust, chłopiec oświadczył:

Jem herbatnika.

I owszem, stwierdził Lachlan.

Kocham cię, odparł chłopczyk.

Ja ciebie też, powiedział Lachlan.

Mały przez chwilę obserwował dziobiące w ziemi gołębie, a potem zwrócił się do mnie.

Jem herbatnika, powiedział.

Widzę, odrzekłem.

Kocham cię.

Skinąłem głową.

Ja ciebie też.

Powtórzył to kilka razy – „Kocham cię” i „Jem herbatnika” – aż wreszcie gdy skończył jeść, a może też i nas kochać, pobiegł z powrotem do gołębi, które niezdarnie przed nim uciekały.

Po chwili podeszła do nas moja mała arabska znajoma, przypatrując mi się chytrze. Poczęstowałem ją herbatnikiem, ale go nie przyjęła.

Odwracając się do Lachlana, powiedziała starannie po angielsku:

Mój tatuś chce, żebym była chłopcem.

...Że co?

Mój baba mówi mi, że jestem chłopcem!

Po chwili odwróciła się raptownie na pięcie i czmychnęła.

Do diabła, powiedział Lachlan. O co jej chodziło?

Nie mam pojęcia. Nie wiesz, na co choruje?

Pokręcił głową.

Wiem tylko, że jest młodsza, niż wygląda.

Jakiś czas później dowiedzieliśmy się, że dziewczynka cierpiała na rzadką odmianę choroby zwanej wrodzonym przerostem nadnerczy. Normalnie stymulant nazywany hormonem adrenokortykotropowym, w skrócie ACTH, jest produkowany przez przysadkę mózgową i przenoszony we krwi do nadnerczy, umiejscowionych zgodnie z nazwą ponad nerkami. Tam ACTH ogłasza, że potrzebuje kortyzolu, hormonu steroidowego, który na co dzień pełni wiele ważnych funkcji. Kortyzol jednak nie pojawia się w organizmie spontanicznie – jest wytwarzany z prekursorów, odpowiednio przekształcanych przez enzymy. W organizmie chorym na wrodzony przerost nadnerczy brak kluczowego enzymu, dlatego linia produkcyjna załamuje się, zanim kortyzol powstanie. W rezultacie dochodzi do nagromadzenia prekursorów – lecz kortyzolu nigdy nie jest dosyć. A ponieważ to obecność kortyzolu ogranicza wydzielanie większej ilości ACTH, przysadka mózgową wysyła coraz więcej tego hormonu do krwi, stymulując nadnercza, które nabrzmiewają do nietypowych rozmiarów.

Kortyzol jest potrzebny do normalnej aktywności wewnątrzwydzielniczej, regulującej wzrost, metabolizm, funkcje tkanek, sen i nastroje. Nieleczony niedobór kortyzolu może nawet doprowadzić do śmierci, powoduje hipoglikemię, odwodnienie, utratę wagi ciała, zawroty głowy, niskie ciśnienie tętnicze, a nawet zatrzymanie krążenia. Kłopotliwe są także symptomy wynikające ze wstrzymania produkcji prekursorów kortyzolu, takie jak nadmiar androgenów, zwanych też męskimi hormonami płciowymi. Na przykład trzyletniemu chłopcu, choremu na wrodzony przerost nadnerczy, mogą wyrosnąć włosy pod pachami i może dostać równie brzydkiego trądziku jak jego opiekunka. Z kolei dziewczynka może wykazywać od wczesnego dzieciństwa męskie cechy płciowe, jak owłosienie na całym ciele, gwałtowny wzrost masy ciała, a nawet zainteresowanie ciężarówkami i traktorami zamiast serwisem do herbaty czy lalkami. Kiedy wkracza w normalny okres dojrzewania, może przejść mutację, nie wykształcić piersi i miesiączkować tylko bardzo słabo, a czasem wcale. Takie przypadki spotyka się dosyć rzadko, ponieważ wcześniejsze oznaki wirylizacji na ogół skłaniają rodziców do wizyty z córką u lekarza, który zwykle przepisuje syntetyczne sterydy, obniżające poziom androgenów w organizmie.

Niekiedy objawy są widoczne tuż po urodzeniu. Zamiast z normalną łechtaczką, dziewczynka, która ma dwa chromosomy X, może urodzić się z łechtaczką powiększoną, wyglądającą jak mały penis. Cewka moczowa i pochwa mogą utworzyć jeden otwór, a wargi sromowe zrosnąć się całkowicie i upodobnić do worka mosznowego. Jednak badanie ultrasonograficzne ujawni, że wewnątrz dziewczynka ma zupełnie zwyczajną macicę, jajowody, jajniki i szyjkę macicy. Prawdę mówiąc, gdyby poddała się zabiegowi rekonstrukcji zewnętrznych narządów płciowych, miałyby wszystko, co potrzeba (oczywiście prócz spermy), żeby pewnego dnia zająć w ciążę. Moja mała arabska znajoma urodziła się zarówno z męskimi, jak i żeńskimi cechami płciowymi, chociaż tych męskich nie było w niej aż tyle, żeby rodzice albo syryjski lekarz uznali, że nie należy jej nazywać dziewczynką. Ostatnio jednak pojawiły się kolejne oznaki, w tym powiększająca się falliczna anomalia pomiędzy jej nogami, co wzbudziło w domu niejakie zdziwienie,

rodzice zawieźli więc córkę do lekarza. Nie było wątpliwości, należało uregulować poziom kortyzolu w jej organizmie. Pozostawało jednak pytanie, co zrobić z płcią dziecka. Lekarze byli zdania, że trzeba poddać małą terapii hormonalnej, a może także operacji na genitaliach, i pozwolić jej żyć jako dziewczynce. Matka zgadzała się z nimi, lecz ojciec miał inne plany. Tam, skąd pochodził, wyżej się ceni chłopców. Chłopiec w rodzinie to prestiż. Powód do dumy. Można by nawet powiedzieć, że w kraju, z którego pochodził ojciec chorego dziecka, lepiej być bezpłodnym mężczyzną niż płodną kobietą. Powiem szczerze, oświadczył ten człowiek otwarcie, że zawsze uważałem ją za chłopca. Jej płeć od samego początku była pomyłką. Moja córka wygląda jak chłopiec. Zachowuje się jak chłopiec. Jej życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby była chłopcem. Ona jest chłopcem.

Na wrodzony przerost nadnerczy nie ma lekarstwa. To schorzenie genetyczne, polegające na tym, że do podwójnej spirali wchodzi dwie kopie wadliwego genu, po jednej od każdego z rodziców. Zazwyczaj jest to gen recesywny w stosunku do swojego dominującego odpowiednika. Ale jeśli oboje rodzice są nosicielami, istnieje dwadzieścia pięć procent szans, że dziecko odziedziczy oba uszkodzone geny i pojawią się symptomy choroby. Oznacza to, że istnieje pięćdziesiąt procent szans, że dziecko dostanie tylko jeden uszkodzony gen (i zostanie jego nosicielem), i dwadzieścia pięć procent, że otrzyma wyłącznie normalne geny i nie zachoruje. Ponieważ zdarza się, że oboje partnerzy mają ten sam zmutowany gen po jakimś wspólnym przodku, geny autosomalne recesywne występują szczególnie często wśród potomstwa partnerów spokrewnionych ze sobą. Im bliższe pokrewieństwo, tym więcej genów wspólnych dla danej pary rodziców, a im więcej wspólnych genów, tym większe ryzyko, że dzieci będą homozygotyczne. Innymi słowy, schorzenia autosomalne recesywne występują szczególnie często w tych kulturach, w których z tradycyjnych powodów plemiennych – aby wzmocnić więzy pokrewieństwa, zachować status kobiety w hierarchii rodzinnej, ułatwić znalezienie odpowiednich partnerów, zachować tradycje rodzinne, wartości i majątek – małżeństwa pomiędzy kuzynami pierwszego stopnia są nie tylko akceptowane, lecz przyjęte, i nawet zachęca się młodzież do ich zawierania.

W GRUDNIU 2003 ROKU, mniej więcej siedem miesięcy po tym, jak Bush ogłosił, że interwencja amerykańska zakończyła się sukcesem, a ONZ zdjęła większość sankcji nałożonych na Irak, spotkałem się z bratem po raz pierwszy od trzynastu lat. Mieszkalem wtedy w West Hollywood i byłem po trzech semestrach studium doktoranckiego na ekonomii. Poleciałem z Los Angeles do Paryża, a stamtąd do Ammanu. Tam na lotnisku miał spotkać się ze mną kierowca i zabrać mnie do hotelu, gdzie czekali rodzice, którzy przyjechali z Bay Ridge. Z Ammanu mieliśmy zostać przewiezieni przez pustynię do Bagdadu – podróż samochodem między tymi miastami zajmuje mniej więcej dziesięć godzin. Zanim na Irak nałożono sankcje i przed inwazją aliantów można było pokonać tę trasę samolotem w niecałą godzinę, po przyjeździe do Ammanu było się prawie na miejscu. Teraz jednak Amman oznaczał tylko jakby połowę drogi.

Na lotnisku okazało się, że nie ma kierowcy. A właściwie było ich bardzo wielu i wszyscy chętni, żeby mnie obsłużyć, tylko że żaden z nich nie trzymał w ręku tabliczki z moim nazwiskiem. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że adres hotelu rodziców zapisałem w notesie, pozostawionym w kieszeni fotela lotniczego, za którym siedziałem w samolocie do Paryża. Po około godzinie przestałem szukać umówionego kierowcy i w wyniku wielu pełnych nieufności rozmów znalazłem człowieka, który gotów był obwieźć mnie po pięciu miejscowych hotelach za jednorazową opłatą wynoszącą dwieście pięćdziesiąt tysięcy dinarów, czyli równą osiemdziesięciu dolarom.

Kiedy ów człowiek dowiedział się w samochodzie, że końcowym celem mojej podróży jest Bagdad, zaczęła rozpierać go gorączkowa ambicja.

To ja cię zabrać! Zawieźć cię od razu! My tam być na rano!

Całkiem możliwe, że była to propozycja złożona z zamiarem sprzedania mnie następnie porywaczom na pustyni. Podziękowałem

i wyjaśniłem uprzejmie, że chciałbym trochę odpocząć w hotelu przed dalszą drogą. Na te słowa kierowca zrobił nie tylko niespeszoną, ale wręcz zachwyconą minę.

Tak! Doskonale. Ty wypoczywać, a ja wrócić później i zabrać cię rano.

Równie dobrze mógł powiedzieć: „To jeszcze lepiej. Przygotuję wszystko, żeby cię sprzedać na pustyni, a potem już będziemy mogli pojechać”.

Rodziców znaleźliśmy w trzecim z kolei hotelu. Recepcjonista rozmawiał przez telefon. Kiedy podszedłem, przesunął słuchawkę na ramię, a ja go zapytałem, czy niejaki pan Ala Jaafari i jego żona mieszkają w tym hotelu.

A pan jest kim?

Ich synem.

Podniósł brwi. Wskazał słuchawkę.

Dzwoni pański kierowca. Pyta, gdzie pan jest.

A on?

Na lotnisku.

Nie. Właśnie wracam z lotniska i przysięgam panu: jego tam nie było.

Recepcjonista skinął głową, przyjrzał mi się życzliwie, przyłożył słuchawkę z powrotem do ucha i przekazał moje słowa rozmówcy. W odpowiedzi rozległa się wiązanka inwektyw i obaj aż się skrzywiliśmy. Potem recepcjonista posłał mi kolejne przeciągłe spojrzenie, jak gdyby słuchał kogoś, kto opisuje mój wygląd – tak jak opisuje się zagubiony portfel albo zegarek – a później, ponieważ facet nadal go obrażał, rozłączył się.

Wie pan co? – powiedział, kręcąc głową. Znam tego gościa. Nie było go na lotnisku.

Kiedy mama otworzyła mi drzwi, okazało się, że jest w chustce na głowie. W Bay Ridge jej nie nosiła i po raz pierwszy pomyślałem, że surowy czarny owal wokół twarzy niekorzystnie podkreśla zarys jej zuchwy. Na stare lata zaczęła też lekko pochylać się do przodu w czasie chodzenia, jak gdyby starała się w ten sposób utrzymać albo nawet złapać równowagę. Ostatnio kiedy zadzwoniłem do domu

i rozmawiałem z ojcem, na moje pytania, jak się miewają, odpowiadał szczegółowym raportem, opisującym, jak dobrze albo źle spała minionej nocy mama. Wyglądało na to, że dręczy ją jakiś duch – stąd brała się jej bezsenność – a ojciec ostrzegał mnie przed jego obecnością tak samo jak kiedyś, gdy mniej więcej raz w miesiącu mówił, że Fatima nie jest dzisiaj sobą. Teraz w Ammanie, mimo że na mój widok rozpromieniła się po macierzyńsku, dobrze widziałem, że potrzebuje snu, i miałem nadzieję, że uda się jej trochę wypocząć w samochodzie. Ale gdy tylko zdążyliśmy się uściskać, ojciec odciągnął mnie na bok i powiedział, że chociaż matka może sobie spać, to jeden z nas przez cały czas musi czuwać. Wyjeżdżaliśmy w środku nocy, żeby na granicę z Irakiem dotrzeć o świcie; a zresztą taka podróż jest monotonna bez względu na to, czy odbywa się nocą, czy za dnia – całymi milami tylko krzaki i piasek – powinniśmy więc uważać, żeby nasz kierowca się nie zdrzemnął albo, jak wyraził się mój ojciec, nie wykręcił nam jakiegoś numeru.

Był to ten sam szofer, który miał się ze mną spotkać na lotnisku, a który teraz powitał mnie z miną znamionującą pełne wyższości i litościwie tłumione zniecierpliwienie. Jego opancerzony chevrolet suburban wyglądał jak karawan, miał przyciemniane szyby i kształt długiego pudełka. Nie zasnąłbym w tym aucie, nawet gdybym chciał. Wzdrygałem się ciągle, kiedy przyspieszało. Każda para reflektorów zbliżających się w naszą stronę zdawała się sunąć przez ciemność złowieszczo i ukradkowo. Kierowca mocno ścisnął kierownicę obiema rękami, przez cały czas podnosząc i opuszczając kolano lewej nogi, jeśli ta akurat nie wciskała sprzęgła, i przygryzał wargę. Okazał się palaczem; w samochodzie śmierdziało dymem papierosowym, a wszystkie schowki były pełne fajek – paczki marlboro z nadrukiem „Sklep wolnocłowy, Chiny” leżały nawet za osłonami na przedniej szybie i w kieszeniach foteli – ale zanim ruszyliśmy w drogę, ojciec zapytał go, czy nie miałby nic przeciwko temu, żeby nie palić w czasie jazdy. Przez większą część pierwszej godziny siedziałem w milczeniu, zastanawiając się nad plusami i minusami tej prośby. Jeżeli kierowca potrzebował nikotyny, żeby dostarczyć nas bezpiecznie do Bagdadu, to niech sobie pali. Nie umrzemy od biernego palenia przez dziesięć godzin. Z drugiej

strony mój ojciec, który sam dopiero niedawno rzucił papierosy, zapłacił za ten przejazd ciężkie pieniądze: trzy i pół tysiąca dolarów. Dlaczego więc nie miałby postawić na swoim?

Dotarliśmy na granicę tuż przed czwartą. Zwolniliśmy, kierowca otworzył schowek od strony fotela pasażera i wyjął plik amerykańskich dwudziestodolarówek, po czym opuścił szybę i zaczął rozdawać banknoty strażnikom, jak gdyby to była normalna opłata za przejazd.

Jacyś cudzoziemcy? – spytał jeden strażnik po arabsku.

Kierowca pokręcił głową.

Sami Irakijczycy.

Teraz rozdawał marlboro, po dwie paczki na głowę. Zamknął okno i wydawało się, że pokażą nam gestem, że możemy przejechać, ale jeden z mundurowych na drodze odwrócił się i podniósł rękę do góry.

Szyba od strony kierowcy znowu została opuszczona i przez okno wysunęły się jeszcze dwie paczki marlboro, które natychmiast zostały bezceremonialnie schowane do kieszeni. Potem strażnik powiedział coś o Bagdadzie. Kierowca skinął głową. Strażnik odszedł.

Siedziałem na jednym ze środkowych foteli SUV-a i odwróciłem się, żeby popatrzeć pytająco na ojca. Mama ze swoimi ciemnymi oczami i głową ciasno opatuloną chustą wyglądała jak sowa.

Co się dzieje?

Chcą, żebyśmy zawieźli kogoś do Bagdadu.

Wojskowego?

Przytaknął ruchem głowy.

Agent irackiego wywiadu?

Wciąż poruszając nogą, kierowca schylił się, żeby zerknąć pod lusterko wsteczne, ale nie odpowiedział.

To co robimy? – odezwał się ojciec.

Proszę, powiedział kierowca, udawać, że śpicie. Nie mówić.

Muszę skorzystać z toalety, szepnęła mama.

Przykro mi, odpowiedział zniecierpliwiony kierowca, odwracając się teraz w naszą stronę. Nie możemy się zatrzymać, chyba że on nam

kazać. Musicie być cicho, żeby akcent was nie zdemaskować. Spróbuję zawieźć was prędko, najprędzej jak się dać, ale proszę: nie mówić.

Do naszego auta zbliżał się już postawny mężczyzna z brodą i w szarej panterce. Szofer zwolnił zamek centralny, a żołnierz otworzył drzwi od strony pasażera i kiedy usiadł przede mną, samochód aż się przechylił.

Sabah al-khair, powiedział.

Sabah al-noor, odrzekł nasz kierowca. My, rodzina Jaafarich, milczeliśmy. Szofer zablokował drzwi od wewnątrz, wrzucił bieg i ruszył, poganiany zachęcającymi gestami ze strony strażników na drodze. Nasz nowy pasażer ciągle ustawiał oparcie swojego fotela i przesunął go tak, że teraz nie mogłem już wyciągnąć nóg. Potem sięgnął za osłonę przeciwsłoneczną, wyciągnął stamtąd paczkę marlboro, zerwał celofanowe opakowanie, wyjął papierosa i palił non stop przez następne sześć godzin.

DOM BABCI OKAZAŁ SIĘ MNIEJSZY, niż pamiętałem, a mój brat większy. Chociaż nie grubszy. Nie bardziej miękki i szeroki, co w miarę upływu lat przytrafia się niektórym z nas, ale w ogóle rozrósł się solidnie i proporcjonalnie na całym ciele, wyglądało więc na to, że moja pamięć, aby oszczędzać miejsce na dysku, skurczyła go w myślach o jakieś dwadzieścia procent.

Był także przystojniejszy, niż pamiętałem, miał bardziej rumiane policzki i chętniej się uśmiechał, a wtedy wokół jego oczu tworzyły się podłużne zmarszczki. Kiedy w końcu moi rodzice i ja weszliśmy do babcinego salonu, Sami wstał, podparł się pod boki i uśmiechał do mnie szeroko przez dłuższą chwilę, jak gdyby wiedział, że moje wcześniejsze przypuszczenia co do naszego spotkania znikają. Ale jakie to były przypuszczenia? Sądziłem, że mój brat będzie jednocześnie w większym i w mniejszym stopniu tym Samim, którego pamiętałem. Bardziej chłopcym. Mniej chłopcym. Trochę siwiejącym za uszami. Faktycznie, lekko posiwiał, ale było to mniej niesamowite niż to, że poza tym pozostał właściwie zupełnie taki jak dawniej. Włosy obcięte równo,

jakby w kwadrat. Dziwne cienie wokół ust. Te ożywione teraz relikty przeszłości irytowały mnie, choć w dziwnie przyjemny sposób – tak jak dziwną przyjemnością może być spotkanie na ulicy obcej kobiety i rozpoznanie zapachu szamponu swojej dawnej nauczycielki chemii, którego nie czuło się od dwunastu lat. Myślimy, że się zmieniliśmy, że pozbyliśmy się śmieci świadomości, a potem wystarczy jeden powiew Prella, żeby złożyły się na fotografię z 1992 roku.

Któregoś popołudnia siedzieliśmy w ogrodzie, Sami palił papierosa; sięgnął po leżącą w trawie pomarańczę i rzucił mi ją do obrania. Minęło już kilka lat, odkąd skończył akademię medyczną, pracował teraz jako lekarz w al-Wasati, klinice specjalizującej się w operacjach plastycznych i chirurgii korekcyjnej, a obecnie pełniące funkcję szpitala. Przed wojną większość tutejszych zabiegów stanowiły liposukcje oraz operacje nosów, piersi i stawów biodrowych, ale teraz Sami tamował krew z ran po ostrzałach rakietowych, wyciągał szczypcami odłamki i bandażował oparzenia. Mówiło się, że Ministerstwo Zdrowia sfinansuje operacje uszu tym, którym je obcięto za dezercję z armii Saddama w latach dziewięćdziesiątych, i mój brat wydawał się na to czekać. Ostatecznie, powiedział, gdyby zaczął rekonstruować uszy zamiast leczyć rany zadane przez rakiety, to by znaczyło, że walki nieco przygasły. Prawda?

Przez chwilę milczeliśmy, a potem wspomniałem tego małego chłopca, którego poznałem w szpitalu dziecięcym w Londynie, urodzonego z czymś, co wyglądało jak fasolka, nie ucho. Gasząc papierosa w trawie, mój brat powiedział kostycznie:

Chciałbym, żebyśmy musieli poprawiać tylko błędy natury.

Mimo to wydawał się bardzo pogodny. Oczywiście nie ze względu na aktualną sytuację w kraju, ale z uwagi na swoje wybory życiowe. Z pewnością nikt nie mógł go oskarżyć o to, że wykonuje błahy zawód. Po inwazji, mimo obecności zdruzgotanych zaistniałą sytuacją amerykańskich żołnierzy, którzy patrolowali miasto, z publicznych szpitali w Bagdadzie funkcjonował tylko al-Wasati, chociaż także został splądrowany. Minęło dziewięć miesięcy i wciąż brakowało w nim sprzętu, leków i personelu, bo coraz więcej lekarzy odmawiało dojeżdżania do miasta albo w ogóle uciekło z kraju. W dniu kiedy pojechałem z ojcem zobaczyć brata w pracy, podróż samochodem do

szpitala zajęła nam półtorej godziny, chociaż normalnie powinna trwać najwyżej dwadzieścia pięć minut. Gdzieś wybuchła cysterna, więc ruch się zakorkował, a do szpitala napływali nowi ranni. Przed wejściem jeden mężczyzna płakał na widok drugiego, którego ładowano właśnie na nosze. Płaczący ukrył twarz w dłoniach i zawołał:

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego oni to robią? Czego chcą? Chodzi im o pieniądze? Dlaczego?

Tuż za drzwiami wejściowymi na wózku leżał mniej więcej dziesięcioletni chłopiec; nogi miał owinięte przesiąkniętym krwią bandażem i mrugał z taką rezygnacją, jak gdyby znajdował się już na tamtym świecie. Wyglądało na to, że jest zupełnie sam; kiedy odsunęliśmy się z ojcem na bok, rozglądając się za Samim, podszedł do nas jakiś lekarz i wskazał dzieciaka.

Kto się nim zajmuje?

Nie wiemy, odpowiedział ojciec.

Lekarz zwrócił się do wszystkich pozostałych w izbie przyjęć i krzyknął w rojowisko kłębiących się, modlących i płaczących ludzi:

Kto się zajmuje tym chłopcem?!

Waleed! – odkrzyknął ktoś w odpowiedzi.

Lekarz, marszcząc brwi, wciąż patrzył na chłopca w sposób, który sugerował jedynie minimalne zadowolenie z tej wiadomości, a pielęgniarka zaprowadziła nas do pokoju dla personelu, gdzie na ekranie stojącego w kącie telewizora leciała jakaś arabska opera mydlana. Po chwili wszedł mój brat w lekarskim kitlu. Na sali operacyjnej czekał na niego młodzieniec, który poprzedniego wieczoru dostał szrapnelem. Ojciec zapytał Samiego, czy możemy zobaczyć, jak pracuje.

To się stało wczoraj? – zwrócił się do leżącego na stole rannego mój brat.

Pacjent kiwnął głową.

O zachodzie słońca. Wyszedłem właśnie po chleb.

Sami zrobił dwa otworki w torsie pacjenta, pod pachami, żeby odciągnąć krew z płuc. Mężczyzna krzyczał przeraźliwie. Dostał małe

znieczulenie, ale ponieważ w szpitalu brakowało środków przeciwbólowych, nie można mu było zaaplikować więcej.

Allahu Akbar! – wołał.

Dajcie więcej światła, powiedział Sami.

Asystentka zmieniła kąt ułożenia lampy nad stołem, a dwóch sanitariuszy, stojących po jego obu stronach, przytrzymało rannego. Mój brat wsunął rurki w otwory pod pachami, a potem poprawił ich pozycję, odciągając skórę od klatki piersiowej to w tę, to w tamtą stronę, jakby to była plastelina.

Żaden muzułmanin nie zrobiłby tego drugiemu muzułmaninowi! – wykrzyknął mężczyzna. Mój synek ma dwa lata, rozerwało mu twarz! Dlaczego oni to robią? Dlaczego?

Sami wbił mu igłę strzykawki w brzuch. Kiedy znów zaczął majstrować w intubowanych otworach w jego piersi, zamknąłem oczy i odwróciłem się do wyjścia. Mniej więcej pół godziny później, kiedy ponownie spojrzałem na salę operacyjną, nikogo już tam nie było. Ktoś wyłączył telewizor w pokoju dla personelu, a dwaj sanitariusze, którzy czekali, aż zagotuje się woda w czajniku, spierali się o to, czy schwytanie Saddama cztery dni wcześniej to prawda, czy propagandowe kłamstwo, rozpowszechniane przez Amerykanów dla rozgłosu. Znalazłem brata i ojca w izbie przyjęć, stali nad tym chłopcem z zakrwawionymi nogami; mój tata skrzyżował ręce na piersi, jakby mu było zimno, a Sami palił papierosa. Obok stał inny lekarz, który też palił. Domyśliłem się, że to Waleed. Po drugiej stronie wózka dostrzegłem jeszcze trzech mężczyzn; dwóch było w diszdaszach, a trzeci miał na szyi czerwono-białą kefiję, zawiązaną pod gęstą czarną brodą.

Znaleźliśmy go na Wathiqu, mówił jeden z nich. Twierdzi, że mieszka w Zayounie i ma na imię Mustafa. Podobno nie widział rodziców od tygodnia.

Dopiero wtedy przyjrzałem się bliżej mężczyznom stojącym nad chłopcem – który wpatrzony w ścianę nawet wtedy, kiedy o nim mówiono, wciąż dziwnie mrugał, jakby się znalazł w zaświatach – i zorientowałem się, że facet z kruczoczną brodą i w czerwono-białej kefiji to Alastair.

„UPRASZA SIĘ PAMIENTAĆ”, brzmiał angielski napis na kartce przyklejonej do drzwi wejściowych Al-Hamry, „że broń należy zostawiać na wartowni. Dziękujemy za współpracę”.

W środku, w recepcji, siedział facet w golfie koloru wielbłądziej sierści i rozwiązywał arabską krzyżówkę. Na blacie leżały zegarek kieszonkowy, detektor metalu i kałasznikow, którego lufa skierowana była w moje krocze. Sami i ja podnieśliśmy ręce, by strażnik mógł nas przeszukać.

Słyszeliśmy, że za ciężkimi drewnianymi drzwiami rozpoczęło się już bożonarodzeniowe przyjęcie dla dziennikarzy. Czerwone ściany restauracji, czerwone obrusy i przyćmiony blask kinkietów przywodziły na myśl klub towarzyski w czyścú. W jednym kącie sali stało na baczność dwóch irackich kelnerów w muszkach; koszule mieli tak cienkie, że było widać pod nimi zarysy podkoszulków. W drugim kącie jakiś Irakijczyk wygrywał bigbandowe standardy na pianinie. Był to stary instrument z jasnego drewna, zwrócony przodem do środka sali, a jego przecinające się wnętrzości częściowo okrywała kwietna zasłonka, dopasowana kolorystycznie do zasłon w oknach. Ale na zewnątrz było ciemno, a hotelowe szyby zostały wzmocnione gęstą stalową siatką, więc jakby w ogóle nie było tutaj okien.

Na środku sali tłum korespondentów, operatorów, fotografików i przedsiębiorców bawił się wesoło, nalewając drinki i przycinając cygara. Większość gości stanowili mężczyźni, chociaż było także kilka kobiet, w tym jedna w obcisłych białych džinsach, osaczona przez faceta, który tłumaczył jej z francuskim akcentem, że obecna sytuacja w Iraku przypomina Wietnam. Próbujesz zmiażdżyć opór przeciwnika i w ten sposób rozwścieczasz neutralną ludność. Alastaira znaleźliśmy nad basenem, siedział przy oświetlonym świecami stole, zastawionym butelkami i popielniczkami, i rozmawiał z młodym Amerykaninem, który, sądząc po czapce, pracował w biurze Wysokiego Komisarza Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców. Obaj palili cygara, Amerykanin chyba z mniejszą wprawą, a ponieważ Alastair nie

miał już na sobie kefiji, zauważyłem, że wprawdzie jego broda była prawdziwa, ale jej czarny kolor już nie.

Każdy, kto obserwował, co się działo w latach dziewięćdziesiątych, mówił, każdy, kto nauczył się czegokolwiek na przykładzie Jugosławii, Bośni i Somalii, mógł to przewidzieć. Jeżeli rozwiążesz armię, jeśli pozbędziesz się każdego, kto kiedykolwiek pracował dla rządu, jeśli zabierzesz ludziom pracę, ich dochody i dumę, to czego się możesz spodziewać? Że będą spokojnie siedzieć i grać w parcheesi, dopóki nie zapukasz do ich drzwi i nie wręczysz im karty do głosowania? A jeżeli wiedzą, gdzie jest schowana broń i amunicja, a wy ich nie pilnujecie, to czy naprawdę można im się dziwić, że zwracają się przeciwko wam?

W basenie odbijał się szereg fluorescencyjnych lamp ogrodowych, niczym rząd lśniących księżyców. Po drugiej stronie zamontowano drążek do podciągania i kiedy rozmawialiśmy, podszedł tam jakiś imponująco umięśniony mężczyzna, podskoczył i energicznie zaczął się podciągać. Facet z ONZ, który mówił z południowym akcentem i ciągle przekładał cygaro z jednej ręki do drugiej, jak gdyby nawet jego niezapalony koniuszek był nieznośnie gorący, zapytał:

No a jaki mieliśmy wybór?

Jeżeli o to chodzi, odpowiedział jeden z pozostałych Amerykanów, to dlaczego nic nie zrobiono wcześniej? Na przykład kiedy Saddam mordował Kurdów i szyitów, którzy wznieśli powstanie za naszym wcale nie subtelnym poduszczeniem? Tysiące tych ludzi pozabijano na amerykańskich oczach, bo nasi żołnierze dostali niewytłumaczalne rozkazy, by nie interweniować. Mimo że byli na miejscu. I mimo że atak stanowił najprawdopodobniej naruszenie zawartego przecież przez Schwarzkopfa traktatu o zawieszeniu broni. Dlaczego wtedy nic nie zrobiliśmy?

Mówisz jak typowy Amerykanin, który uważa, że jego kraj jest absolutnie wyjątkowy, stwierdził Alastair.

No to co z tego? Taki pogląd może stanowić problem tylko wtedy, kiedy używa się go do usprawiedliwiania złej polityki. Problemem jest niewiedza. Samozadowolenie. Ale aspirować do wyjątkowości, której powinien pragnąć każdy szczęśliwiec urodzony w wyjątkowo zamożnym, mającym wyjątkowo dobrze wykształconych obywateli

i wyjątkowo demokratycznym kraju, szczególnie jeśli miałaby ona polegać na wyjątkowej wielkoduszności, sprawiedliwości i humanitaryzmie, to...

Mężczyzna w czapeczce agendy ONZ skinął głową z mądrą miną i zaczął wydmuchiwac kręgi dymu, które najpierw rozciągały się wzdłuż, a potem rozwiewały w mgiełkę nad basenem. Niecałe dwa lata później w tym samym basenie pływały szczątki zamachowców samobójców, lecz tego wieczoru, kończącego w miarę spokojny dzień Bożego Narodzenia w Iraku, schwytano Saddama Husajna i można było mieć nadzieję, że jest jednak jakaś sprawiedliwość na tym świecie. Patrzyłem, jak mój brat zapala papierosa, nie odrywając oczu od mężczyzny na drażku, i pomyślałem, że może nie słucha rozmowy albo i słucha, tylko uważa ją za na tyle niegodną, że nie wypada mu w niej uczestniczyć. Po chwili jednak, wciąż przyglądając się ćwiczącemu mężczyźnie, wydmuchnął dym i wtrącił:

A czy nie jest możliwe, że Zachód tak naprawdę po prostu nie chce mieć problemów z Bliskim Wschodem? Nie chce ataków terrorystycznych, nie chce płacić za dużo za naszą ropę, nie chce zagrożenia bronią chemiczną i nuklearną? Bo poza tym nic was nie obchodzim?

Nie, to nie tak, odpowiedział mężczyzna w czapce ONZ. Moim zdaniem przeciętny Amerykanin jest szczery, kiedy mówi, że chce, żeby Irak stał się spokojnym i demokratycznym krajem. Państwem wolnym i świeckim. Chociaż rozumiemy, że może to nie być możliwe jeszcze przez jakiś czas.

Ale nie chcielibyście, żebyśmy byli bogatsi od was. Potężniejsi. Żebyśmy mieli większe międzynarodowe wpływy i pozornie nieograniczony potencjał, podobnie jak wy.

Mężczyzna w czapce nie wyglądał na zbitego z tropu.

No, wtrącił cicho Alastair, tylko że trudno sobie wyobrazić, żeby do tego doszło. Chociaż z geopolitycznego punktu widzenia powstałaby wtedy ciekawa sytuacja, i owszem.

Dziennikarze, operatorzy i przedsiębiorcy siedzieli teraz przy długim stole i kroili szynkę pieczoną w miodzie, którą matka jednego z nich

przysłała kurierem z Maine. Usiadłem z Alastairem na końcu stołu, podano nam dwa talerze i Alastair zjadł obie nasze porcje. Gdy konsumował mięso, zauważyłem, że sprawia wrażenie bardziej ożywionego niż kiedy widziałem go ostatnio, czyli przed pięcioma laty w Londynie. Wydawał się teraz jakby bardziej spięty i czujniejszy – jak gdyby właściwie wolał życie w strefie wojny, jeśli udałoby mu się nie myśleć o ofiarach. Spytałem, czy nie czuje się czasami obłudnie, bo z jednej strony krytykuje wojnę, a z drugiej pozwala się przyciągać jej sile. Nie przestając jeść, przytaknął ruchem głowy i odpowiedział:

Tak, to prawda, w świadomości, że w każdej chwili swojego życia na froncie wyprzedzasz śmierć najwyżej o pół kroku, jest coś niesamowitego, co wręcz graniczy z nałogiem. Ale gdyby nie ci, którzy chcą się tym zajmować, czyli ryzykować życiem po to, żeby być świadkiem przebiegu działań wojennych i w taki czy inny sposób je upamiętniać, to skąd byśmy wiedzieli, co rządy naszych krajów robią w naszym imieniu?

Zauważyłem, że ostatnia ekspansja pseudodziennikarstwa, kakofonii domysłów, amatorskich agencji informacyjnych i sensacji, którymi ktoś wydaje się dyrygować nade wszystko po to, by prowokować odbiorców i dostarczać im rozrywki, sprawia, że osobiście wiem chyba coraz mniej, co rząd mojego kraju robi w moim imieniu. Alastair popił piwo, wzruszył ramionami i kiwnął głową, jak gdyby się ze mną zgadzając.

No tak, owszem, zawsze zostaje jeszcze piekło kretynizmu.

Tej samej nocy opowiedział mi, jak osiem lat wcześniej w Kabulu, kiedy on i jego ekipa pakowali się już po nakręceniu jakiegoś materiału, podbiegł do nich młody miejscowy chłopak i gwizdnął operatorowi torbę. Kilka minut później przypadkowo przejeżdżał tamtędy policjant i Alastair zatrzymał go, żeby mu opisać złodziejaszka: miał może z pięć stóp i siedem cali wzrostu, czternaście albo piętnaście lat, jasnoniebieską koszulę i ciemnozielony szemag. Pobiegł w tamtą stronę. Policjant szybko wrócił do nich z chłopakiem i oddał Alastairowi torbę. Alastair podziękował, policjant kazał chłopakowi go przeprosić, a potem wyciągnął pistolet z kabury i strzelił złodziejowi w głowę. Wyobrażasz sobie chyba, powiedział Alastair, ile razy odgrywałem później tę scenę w pamięci i jak bardzo żałowałem, że niechcący

przyczyniłem się do śmierci tego chłopca. I jeżeli to przemoc napędza kasę za reklamy twojemu pracodawcy, a ty tę przemoc opisujesz, to trudno nie zauważyć, że w pewnym sensie sam stajesz się jednym z tych, którzy ją podtrzymują. Więc nie, nie zawsze dobrze śpiam. Ale gdybym zrezygnował z tej pracy, nad czym po tamtym dniu bardzo poważnie się zastanawiałem, to chyba bym zwariował. Kiedy pracuję, kiedy czuję w żyłach adrenalinę, raczej nie jestem w stanie, który można by nazwać kontemplacyjnym. Ale jak wracam do domu, idę na kolację albo siedzę w metrze czy pcham wózek w supermarkecie wraz z innymi klientami, trzymającymi w rękach szczegółową listę zakupów, zaczynam dostawać kręcka. Widzisz, co ludzie wyprawiają ze swoją wolnością i czego z nią nie robią, i nie można ich za to nie oceniać. Wydaje ci się, że obserwujesz w większości spokojne i demokratyczne społeczeństwo, znajdujące się w stanie niebywale delikatnego zawieszenia, wymagającego równowagi wszystkich cząsteczek składowych, równowagi takiej, że nawet najłagodniejsze szarpnięcie, nawet jedna osoba, która zapomni o tym, jaka jest słaba, pogrążona w samozadowoleniu albo egotyzmie, może sprawić, że cały ten pierdolony świat się zawali. Myślisz o tym, że należymy wszyscy do gatunku zdolnego do popełniania tak straszliwego zła, i zastanawiasz się, jaką ponosisz odpowiedzialność wobec ludzkości, dopóki żyjesz na ziemi, i w co gra z nami Bóg – nie wspominając o tym, co to znaczy, że wolałbyś raczej siedzieć z powrotem w Bagdadzie niż w Angel ze swoją żoną i synkiem, czytając mu *If You Give a Mouse a Cookie* albo inną bajkę. Jeżeli drażni mnie spokój i kontemplacja, jeśli jakiś związek biochemiczny we mnie domaga się bodźca w postaci widowiska pełnego przemocy i chce bliskości konfliktu, to gdzie znajduje się moje miejsce w tym spektrum? Do czego jestem zdolny w innych okolicznościach? W jaki sposób naprawdę różnię się od „nich”?

Nie wiedziałem, że wierzysz w Boga.

Nie wierzę. Albo raczej jestem agnastykiem. Agnastykiem z okopów. Jest taki wiersz Mandelsztama: „Obraz Twój niepewny i męczący / w gęstej mgle umykał dotykowi / «Boże!» – powiedziałem, lecz niechący – / Nie myślałem wcale, że to powiem”^[22]. To dobre podsumowanie mojej postawy. A ty wierzysz w Boga?

Tak.

Niby w Allaha?

Skinąłem głową.

Alastair odstawił piwo.

Co?

Nic. Ja tylko... Jesteś ekonomistą. Naukowcem. Nie wiedziałem.

Obok nas usiadło czterech facetów w wojskowych kurtkach i z talią kart. Wyprodukowano je specjalnie dla wojska, widniały na nich nazwiska pięćdziesięciu dwóch poszukiwanych baasowców i dowódców rewolucyjnych, a gra, którą zaczęli, będąca odmianą pokera, nazywała się Texas Hold'em – pierwszą z trzech odkrytych figur był w niej Chemiczny Ali. Karty zostały specjalnie zaprojektowane dla armii i były rozpowszechniane wśród amerykańskich żołnierzy, by zapoznali się z nazwiskami i twarzami tych, których mieli schwytać albo zabić. Ten pomysł wywodzi się jeszcze z czasów drugiej wojny światowej, kiedy piloci grywali w remika kartami, na których wydrukowano sylwetki niemieckich i japońskich samolotów myśliwskich. Jest to dziwna taktyka, bo uczymy się, kogo powinniśmy wziąć na cel i zlikwidować, korzystając z gry tradycyjnie kojarzonej z rozrywką, można się więc zastanawiać, czy korzyści edukacyjnych nie niweczy prowokująca sugestia, że dla Amerykanów wojna jest jak gra. W tej rozgrywce, która toczyła się teraz koło mnie, Saddam był asem pikowym, jego synowie Kusajj i Udajj byli asami trefl i kier, a piątkę kier zdobyła jedyna kobieta, wykształcona w Stanach Huda Salih Mahdi Ammasz, zwana też Chemiczną Sally. Trzynaście kart, w tym wszystkie cztery dwójki, nie miało zdjęć, tylko pusty czarny owal, jak gdyby zarys głowy w kapturze, przypominający Ponurego Żniwiarza. A przecież to te karty, pomyślałem, kiedy facet siedzący najbliżej mnie wyłożył swój kolor (składały się na niego wyłącznie karty bez twarzy), odgrywając wyjątkowo humanitarną rolę. Może z tej przyczyny, że ich bezwizerunkowość jeszcze wyraźniej sugerowała, że i ty mogłeś się urodzić jako Adil Abdallah Mahdi (dwójka karo), Ugla Abid Saqr al-Kubajsi (dwójka trefl), Ghazi Hammud al-Ubajdi (dwójka kier) albo Raszid Taan Kazim (dwójka pik). Gdyby tylko twój pradziadek poznał inną kobietę. Gdyby tylko twoi rodzice polecieli późniejszym

samolotem. Gdyby tylko twoja dusza została poczęta na innym kontynencie, na innej półkuli, innego dnia.

Tymczasem hałaśliwe śmiechy, brzęk szkła i pijackie kolędowanie napotkały konkurencję w postaci powolnego, ale regularnego crescendo stojącego w kącie pianina. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem brata, który siedział przed instrumentem na ławeczce obok wynajętego na ten dzień muzyka. Obaj zajmowali się własną połówką klawiatury, ale jednocześnie rozmawiali, więc papierosy, które trzymali w ustach, poruszały się co chwila w górę i w dół. Nie grali już Cole'a Portera czy Irvinga Berlina, tylko jakiś gorączkowy jazz, niemający początku, środka ani zakończenia – były to po prostu serie muzycznych chlustów, jakichś zapętlonych obrzęków i skurczów, długie, frenetyczne improwizacje, brzmiące triumfalnie i apokaliptycznie zarazem. Chwilami przypominało mi to akompaniament do bójki w niemym filmie, do sceny jakiegoś pościgu w filmie Charliego Chaplina albo do znikających jeden za drugim napisów. I grali tak do późna – szynka dawno już została zjedzona, większość dziennikarzy, przedsiębiorców i operatorów położyła się spać, kelnerzy pozdejmowali zaplamione obrusy, karty o grzbietach w panterkę wróciły do pudełka, modry basen zrobił się gładki jak szkło, a małeńka kolumnienka popiołu, w jaką zmieniał się papieros mojego brata, urosła na tyle, aby wygiąć się i odpaść od filtra.

ODŁOŻYŁEM JAPOŃSKIEGO „VOGUE’A”, podszedłem do okienka i zobaczyłem strażników usiłujących wyciągnąć butelkę soku z maszyny, w której utknęła w pół drogi. Gdy postukałem w szybę, obaj wyprostowali się jednocześnie, a ten stojący bliżej mnie skoczył do drzwi.

Po namyśle, stwierdziłem, chyba jednak bym się czegoś napił.

Przynieśli mi trochę wody, a w tym czasie nowy funkcjonariusz, którego wcześniej nie widziałem, wpadł bez słowa z przedpokoju do sali zatrzymań, podszedł do czarnoskórego mężczyzny i usiadł. Zaczął mówić, a mężczyzna wpatrywał się zapamiętale w podłogę, pocierając oczy i mrugając na znak, że rozumie. Funkcjonariusz wspomniał coś o Lagos. O liniach Arik Air. O tym, że w Croydon nie ma śladu po żadnej pani Odilichi. Trzymając w ręku butelkę evian, usiadłem w odległości kilku jardów od nich i wróciłem do swojego analfabetycznego przeglądu „Vogue’a”. Była pora na Asr, popołudniową modlitwę, może już nawet minęła – nie mogłem tego wiedzieć w tej sali, oświetlonej wyłącznie jarzeniówkami – ale w zaistniałych okolicznościach postanowiłem pozostać na miejscu i nie rzucać się w oczy, niewinnie zainteresowany Coco Rochą i szyfonem.

Funkcjonariusz wyszedł, minęło kilka nieciekawych minut. Potem czarny mężczyzna wstał, wszedł do męskiej toalety i zaczął jęczeć.

Parę chwil później jęk zastąpił łomot, który stawał się coraz głośniejszy i szybszy.

Wstałem i znów podszedłem do okienka. Strażnicy tymczasem wyciągnęli sok i siedzieli teraz, trzymając nogi na stole, rozmawiając i zajadając chipsy ziemniaczane z torebki, którą przekazywali sobie z rąk do rąk. Kiedy mnie zobaczyli i otworzyli znów drzwi, powiedziałem im, że moim zdaniem mężczyzna w toalecie chyba robi sobie jakąś krzywdę.

Przebiegli obok i wyciągnęli go z toalety pod ręce. Zawlekli na krzesło, zmusili, żeby usiadł i przykucnęli przy nim, jeden z lewej, drugi z prawej strony, tak by go przytrzymać, bo wił się kurczowo w ich uścisku. Co jakiś czas próbował im się wyrwać, gwałtownie szarpiąc się w bok, po czym bezwładnie jakby zapadał się w sobie, zwieszał głowę do tyłu i wyciągał otwarte ręce do sufitu. Wyglądał w tej pozycji trochę jak święty męczennik, oczekujący na przyjęcie stygmatów.

Strażnicy sprawiali wrażenie niepewnych, co robić. Pierwszy, a potem drugi spojrzął w moją stronę, jak gdyby się zastanawiali, czy można by zaufać mi na tyle, żebym przyprowadził jeszcze jednego mundurowego. Tymczasem na ekranie wyciszonego telewizora wyświetliła się informacja, że w Eupatorii doszło do wybuchu w prywatnym mieszkaniu. Na Wyspach Marshalla ogłoszono stan wyjątkowy, a firma Suzuki rozważa cięcia produkcyjne, wywołane kryzysem finansowym. Pomyślałem wtedy, że to zabawne, że kiedy mimo woli zostajesz jak gdyby wycofany ze świata, jego problemy w coraz mniejszym stopniu zdają się wynikiem pecha dla większości niewinnych ludzi, a w coraz większym ich głupoty, skłaniającej do uwag w rodzaju „to teraz macie za swoje”. Siedzieliśmy tak dalej: ja popijałem wodę evian przy drzwiach, a strażnicy mocno trzymali nieobliczalnego Nigeryjczyka. Trwało to wszystko do czasu, kiedy Denise, dla której zacząłem odczuwać niemal synowską miłość, wróciła dziesięć po piątej z kanapką z kurczakiem curry i rudzielcem o imieniu Duncan. Miał przejąć moją sprawę, bo zmiana Denise właśnie się skończyła.

NA PO CZĄTKU AS-SULAJMANIJA nie różniła się za bardzo w moich oczach od Bagdadu. Najbliższe lotnisko, które nadawałoby się do użytku, leżało o czternaście godzin podróży i co najmniej jedno przejście graniczne dalej. Mężczyźni w wieku trochę starszym niż średni dreptali tam i z powrotem ze zwieszonymi głowami i rękami splecionymi na plecach, przesuując palcami paciorki modlitewne. Prąd elektryczny w większości produkowały generatory dachowe albo podwórkowe. Bieżąca woda była dostępna jedynie przez pół dnia, więc kiedy tylko ją odkręcano, ludzie zaczęli napełniać gigantyczne beczki, które właśnie w tym celu trzymali na dachach. Praktycznie wszyscy palili. Ale lista podobieństw właściwie się na tym kończyła.

Jeżeli chodzi o różnice, to jedną z nich był język. Pierwszego poranka, kiedy szukaliśmy kantoru, przeszliśmy z ojcem cały kwartał, zanim zauważyłem, jak niesamowite jest to, że rozpoznawaliśmy wszystkie litery na szyldach i znakach i wiedzieliśmy, jak się je wymawia, ale żaden z nas nie wiedział, co oznaczają napisy. Kurdyjski i arabski mają ortografię fonetyczną, a ich alfabety są właściwie identyczne, chociaż w kurdyjskim, tak jak w perskim, jest trochę więcej liter. Szukaliśmy więc banku albo kantoru z nadzieją, że „bank” i „kantor” po kurdyjsku pisze się i wymawia tak samo jak po arabsku, ale nie mogliśmy niczego znaleźć, dopóki nie przyjechał kurdyjski kierowca Samiego i nie zawiózł nas do najbliższego punktu wymiany walut. Słowo oznaczające bank pisze się i wymawia w obu językach tak samo, ale kantor już nie, i chociaż nigdy nie dowiedziałem się, jakie jest źródło tej drobnej asymetrii, to wyobrażam sobie, że stoją za nią stulecia kulturowego i ideologicznego dysydentyzmu.

Kolejna różnica: bezpieczeństwo. Niedaleko Dohuku jest rozwidlenie drogi. Jeśli skręcicie w prawo, szybko znajdziecie się na przedmieściach Mosulu. Jeżeli w lewo, pozostaniecie w głębi Kurdystanu. Wymachiwanie amerykańskim paszportem mogło przynieść bardzo

różne skutki w zależności od tego, w którą stronę byśmy pojechali. Ruszyliśmy w lewo. Miało to swoją cenę: podróż samochodem do As-Sulajmanijji z Zakho, miasta na granicy iracko-tureckiej, zajęła nam jakieś dziewięć godzin. Gdybyśmy pojechali na skróty, do Mosulu, a potem do Kirkuku, trwałaby mniej więcej pięć. Jeśli w ogóle dotarlibyśmy na miejsce. Moja babcia i kuzyn przyjechali przez Kirkuk i poważnie się zastanawiali, czy Husajnowi udałoby się przenieść przez granicę oba swoje paszporty, amerykański i iracki, i czy wiedziałby, którego lepiej nie pokazywać po niewłaściwej stronie kurdyjskiej granicy.

Rok po moich ostatnich odwiedzinach w Iraku pojechaliśmy do Kurdystanu na zaręczyny mojego brata z Zahrą, świeżo upieczoną absolwentką Uniwersytetu Bagdadzkiego, która wychowała się w As-Sulajmanijji i namówiła Samiego, żeby podjął pracę w tamtejszej klinice, bo dzięki temu mogliby założyć rodzinę na stosunkowo spokojnej północy kraju. Sami uszczęśliwiłby rodziców bardziej, tylko gdyby wrócił do Bay Ridge i otworzył gabinet nad gabinetem irlandzkiego okulisty na Czwartej Ulicy, a i ja odczułem jakąś głęboką ulgę. Jedenaście miesięcy wcześniej doszło do podwójnego ataku samobójczego na siedziby dwóch największych kurdyjskich partii politycznych, zginęło przeszło sto osób, a co najmniej drugie tyle zostało rannych, ale i tak akty przemocy zdarzały się tu rzadziej, były mniej dotkliwe i bardziej wybiórcze niż te, które od dawna nasilały się w Bagdadzie. Poza tym w As-Sulajmanijji wszystko funkcjonowało jak należy. Oczywiście nie według zachodnich standardów, ale w porównaniu z resztą kraju, i miło było popatrzeć, jak sprawnie wszystko działa w Kurdystanie. Wybory do nowego Zgromadzenia Narodowego miały się odbyć już za niecały miesiąc i Kurdowie chyba naprawdę wierzyli, że wezmą udział w ważnym wydarzeniu. Demokratyczna Partia Kurdystanu dominowała w dwóch prowincjach wschodnich, a Patriotyczna Unia Kurdystanu w As-Sulajmanijji, ale kurdyjska flaga – włoskie trzy kolory, tylko odwrócone o dziewięćdziesiąt stopni i ze złocistym słońcem pośrodku – powiewała wszędzie. Kiedy, co nie zdarzało się często, widziałem flagi irackie, to były one stare, sprzed rządów Saddama, takie, na których brakuje

napisu zaświadczającego, że Bóg jest wielki. Naturalnie wierzymy, że Allah jest wielki, powiedział mi kurdyjski kierowca Samiego, uważamy tylko, że Saddam nie powinien był wypisywać tego hasła na fladze i odgrywać orędownika wiary.

W dniu zaręczyn Hassan, czyli ojciec Zahry, i ja wybraliśmy się na spacer. Pogoda pozostawiała nieco do życzenia: codziennie rano deszcz, chmury przez cały dzień i bardzo wczesny zmierzch, znajdowaliśmy się bowiem w głębokiej dolinie. Ale krajobrazy były urzekające – wszędzie dookoła pasma górskie porośnięte krzaczastą roślinnością, podobną do tej w górach nad Santa Monica. Prawdę mówiąc, Irak niezwykle przypominał mi południową Kalifornię; jeśli okolice Bagdadu wyglądają jak pustynie na wschód od Los Angeles, to As-Sulajmaniję można porównać z terenami wokół Santa Clarita, gdzie góry dopiero zaczynają robić się na tyle wysokie, żeby na szczytach mógł zalegać śnieg.

Jak na faceta po sześćdziesiątce, Hassan okazał się imponującym piechurem. Z zawodu był nauczycielem i jeśli się nie myliłem, doskonale się nadawał do tego fachu. Ilekroć go o coś pytałem, nawet o coś równie neutralnego jak: „Czy zimą zawsze jest tu tak pochmurno?”, uśmiechał się zachwycony i mówił: „Aaaach, tak, to doskonałe pytanie, a za odpowiedzią kryje się zdumiewająca historia”. Potem należało oczekiwać czterdziestopięciominutowego wykładu, który zaczynał się od spraw związanych bezpośrednio z pytaniem, dalej jednak Hassan popadał w spiralne dygresje, obejmujące różne anegdoty i komentarze na wiele innych intrygujących, a przy tym już nie całkiem neutralnych tematów. Dlatego w czasie naszej trzygodzinnej wędrowki na górę Goizha i z powrotem dyskutowaliśmy o Arystotelesie, Lamarcku, Debussym, zaratusztrianizmie, Abu Ghraib, Hannie Arendt i nieznanych jeszcze skutkach delegalizacji partii Baas, czyli debaasyfikacji, przy czym Hassanowi udawało się wykazać swoistą elastycznością filozoficzną nawet w odniesieniu do bardziej rzeczowych z tych kwestii. W pewnym momencie powiedziałem, że doszły mnie słuchy, że w mieście budowany jest nowy hotel, co wydaje mi się dobrym znakiem, a wtedy Hassan zatrzymał się, by oświadczyć, że nawet jeśli władze zbudują sto nowych hoteli, to nie wystarczy miejsca dla wszystkich, bo liczba turystów odwiedzających Kurdystan będzie

przytłaczająca. Nie, nie, powiedział, kiedy krzywo na niego popatrzyłem. Nie myśl o teraźniejszości. Pomyśl o przyszłości. Szkoda, że nie możesz dłużej u nas zostać. Pokazałbym ci, jakie mamy tu cudowne miejsca, w górach i w dolinach. Zobaczysz. Zaczną przyjeżdżać do nas ludzie z całego świata.

Pomyśl o przyszłości. A jednak: gdybym miał powiedzieć, jakie wrażenie zrobił na mnie Irak przez w sumie siedem tygodni, które spędziłem w tym kraju pomiędzy grudniem 2003 roku i styczniem roku 2005, ośmieliłbym się stwierdzić, że przyszłość znaczy tu zupełnie coś innego niż, dajmy na to, w Ameryce. W Iraku – nawet na stosunkowo obiecującej północy – przyszłość od dawna traktowano jako perspektywę niezwykle mglistą, i to pod warunkiem, że człowiek w ogóle spodziewa się jej dożyć. Wieczorem w czasie zaręczynowej kolacji mój brat starał się wytłumaczyć przyszłym teściom, czym są postanowienia noworoczne. W Ameryce, powiedział, istnieje taka tradycja, że ludzie sami sobie obiecują zmienić coś w swoim życiu w nadchodzącym roku. Rodzina Zahry uznała, że to wariactwo. Za kogo ty się uważasz, pytali, skoro wydaje ci się, że będziesz w stanie zapanować nad przyszłością? No wiecie, odparł mój brat, nad niektórymi rzeczami można zapanować. Możecie na przykład postanowić, że będziecie jedli więcej jarzyn. Albo że będziecie więcej ćwiczyć. Albo że codziennie wieczorem przed zaśnięciem oddacie się trochę lekturze. Odpowiedziała na to matka Zahry, technik rentgenowski w klinice:

Tylko skąd wiesz, że za miesiąc będzie cię w ogóle stać na jarzyny? I kto powiedział, że jutro nie wprowadzą godziny policyjnej, a wtedy nie będziesz mógł pójść na siłownię albo pobiegać w parku po pracy. Kto powiedział, że nie wyśiądzie ci generator prądu i że nie będziesz musiał czytać w świetle latarki, aż wyczerpią się baterie, a później przy świecy, która się w końcu wypali, i wtedy już w ogóle nie poczytasz w łóżku... Będziesz musiał po prostu zasnąć, o ile ci się to uda.

Dla kontrastu: następnego dnia pojechaliśmy na drugi koniec miasta, żeby obejrzeć używany fortepian Yamaha, który mój brat znalazł w Internecie, i zjedliśmy śniadanie w jakiejś kafejce, siedząc obok trzech dziennikarek – dwóch Amerykanek i Szkotki – które kłarowały

swojemu kierowcy, jakie mają plany. Najpierw chcemy pojechać tu. Potem o jedenastej wyjedziemy stamtąd, żeby pojechać tam, a o wpół do drugiej pojedziemy tutaj. Kierowca słuchał, marszcząc brwi w zdumieniu. Później zrobiło się jeszcze lepiej. Och! – powiedziała jedna z Amerykanek. A piętnastego jest takie spotkanie w Irbilu, na które chcę pojechać. W tym momencie kierowca popatrzył na nią tak, jak gdyby go poproszono, żeby zawiózł kogoś do Szanghaju i wrócił we wtorek. Irbil leżał bardzo daleko. Piętnasty był na razie odległym dniem. W Iraku kiedy ktoś mówi o tak dalekich perspektywach, najczęstsza odpowiedź brzmi: „No owszem, wiesz... Bóg jest wielkoduszny”. Co oznacza: „Dobrze, okej, w porządku. Porozmawiamy o tym, jak przyjdzie pora”. Ale ta dziennikarka na pewno się zdziwi, jeśli za dwa tygodnie okaże się, że nie może pojechać do Irbilu. Tymczasem jednak będzie tak planować swoje życie, jak gdyby mimo wszystko miała znaleźć się w tym mieście piętnastego. Gdyby się dowiedziała, że tego samego dnia odbywa się gdzieś jakieś inne spotkanie, powiedziałaaby zapewne: „Och, nie mogę tam pojechać, bo przecież będę w Irbilu”. Irbil leży dwa tygodnie i sto dwadzieścia pięć mil stąd, ale stanowcza Amerykanka w myślach już tam jest piętnastego dnia bieżącego miesiąca. Okej, zobaczymy. Bóg jest wielkoduszny.

Yamaha była połyskliwym miniaturowym fortepianem, należącym kiedyś do pewnej Brytyjki, która mieszkała w As-Sulajmanijji przez trzydzieści lat, dopóki nie zmarł jej mąż i nie wróciła do Shepherd's Bush. Poza tym najwyraźniej pozostawiła też po sobie w Iraku młodego człowieka o skwaśniałej minie, którego bicepsy świadczyły o tym, że bardziej niż fortepian, który próbował nam sprzedać, interesuje go sprzęt do ćwiczeń siłowych, zgromadzony gęsto na perskim dywanie pod instrumentem. Kiedy Sami zapytał, czy może podnieść klawiaturę i zagrać, żeby sprawdzić brzmienie, facet obojętnie machnął ręką i wrócił do kuchni, gdzie podsmażał czosnek. Fortepian okazał się rozstrojony, co nie było dziwne, ale zamiast zniechęcić mojego brata, dysonanse wydawały się go intrygować niczym niewinna i fascynująca zagadka medyczna, którą musiał rozwiązać; po krótkiej nawałnicy szalonego Mozarta zaczął przyciskać i przytrzymywać kolejne klawisze, grając jedną długą nutę po drugiej, po to, jak sędzę, aby uzyskać

pewność, że w każdej jest czystość i dźwięczność szacownego instrumentu – klawisze zacinają się bowiem i zgrzytały tylko w kombinacjach. W tym czasie ja obszedłem niewielki pokój, trzymając ręce w kieszeniach i nadal rozmyślając o Irbilu. Postanowiłem nie kontemplować przyszłości ani przeszłości, tylko to, co zdarza mi się właśnie teraz, w tej chwili; niestety, to trochę tak, jak usilnie starać się zasnąć, co zawsze kończy się fiaskiem, bo nie można wtedy przestać myśleć o tym, że próbujemy zapaść w sen. Plakat z Che Guevarą z kaligraficznymi napisami po arabsku przypominał mi, że jeszcze nie zmieniłem terminu spotkania z argentyńskim konsultantem mojego doktoratu. Sterta egzemplarzy dwutygodnika „Hawlati” na ławie usianej kolistymi plamami po kubkach z kawą przywołała w moich myślach żarliwą ekolożkę, z którą zerwałem przed dwoma miesiącami. Na tej samej ławie stała otwarta puszka z napojem energetycznym Wild Tiger i porcelanowa popielniczka, zaprojektowana tak, żeby przypominała pogniecioną paczkę cameli, co dopełniało wystroju mieszkania kurdyjskiego singla i nieuchronnie kazało mi je porównywać z moją pustelnią domową. Jednak przez kilka chwil, kontemplując niezwykle podobieństwo popielniczki do paczki papierosów, udało mi się nie myśleć o swoim kawalerstwie, o doktoracie, o tym, kiedy się dowiem, czy przyjęto moją ostatnią aplikację o grant i o długiej podróży samochodem do Bagdadu, którą zamierzaliśmy odbyć z rodzicami następnego dnia – o ukierunkowaniu i znaczeniu moich myśli nawet nie myślałem – i wydaje mi się, że inaczej mówiąc, przez tych kilka chwil czułem się szczęśliwy.

Sami odliczał plik setek amerykańskich dolarów, a ja zrobiłem krok nad hantlem, żeby podejść bliżej do fortepianu, jak gdybym chciał mu się dokładniej przyjrzeć. Wisiało za nim duże lustro w złożonych ramach, które mnie nie zawiodło, kiedy zobaczyłem w nim swoje odbicie, bo tak jak wszystkie lustra, przekazywało zaskakująco niewiele sensu z owych światów w światach, z jakich składa się świadomość jednostki, jak gdyby ludzki wygląd był zbyt bezbarwny i statyczny, żeby oddać nieustannie zmieniający się kalejdoskop ducha. Ożywiony nowym otoczeniem, wyczerpującymi wycieczkami górskimi i aurą nowych możliwości, towarzyszącą nadejściu nowego roku, dawno już

nie pozostawałem w większej harmonii z życiem i nie wyczuwałem w sobie większego potencjału niż teraz w As-Sulajmanijji – może wcześniej czułem się tak tylko tamtego pierwszego lata po studiach, z Maddie. Tutaj, nieobciążony codziennością i natchniony spokojem oraz zadowoleniem, jakimi emanował mój brat, wyobraziłem sobie, że zbliżam się do czegoś w rodzaju rozwidlenia, do jakiejś bocznej drogi, która doprowadzi mnie do niego i naszych irackich korzeni bliżej niż kiedykolwiek. Przyszłość leżała tutaj; to tu rozgrywała się jedna z najważniejszych rewolucji mojego ziemskiego żywota, a ośmielony drugim paszportem w kieszeni, chciałem być jej świadkiem, zarazem zaś odegrać w niej jakąś rolę.

Więc tak się czułem. Ale w lustrze wiszącym naprzeciwko nowego fortepianu Samiego nie wyglądałem na człowieka, w którym mieszka aż taki wielki potencjał. Wprost przeciwnie, w jedenastoletnich dżinsach, wystrzępionej kurtce z sieciówki Gap i z tygodniowym zarostem wyglądałem raczej jak ilustracja pewnego zdania, które przeczytałem dopiero później – była w nim mowa o metafizycznej klaustrofobii i ponurym losie bycia zawsze jedną i tą samą osobą. Jest to problem, który, jak mi się wydaje, może rozwiązać wyłącznie nasza wyobraźnia. Ale przecież nawet ktoś, kto zarabia nią na życie, zawsze jest skrzepowany ostateczną przeszkodą – bo człowiek może podsunąć lustro wszystkiemu, czemu tylko zechce, może nawet trzymać je tak, że sam pozostanie poza kadrem, aby uczynić obraz jeszcze mniej narcystycznym, w żaden sposób nie da się jednak zapomnieć, że to właśnie człowiek trzyma lustro. To, że sam nie dostrzegasz swojego w nim odbicia, nie oznacza przecież, że nikt go nie widzi.

Uzgodniwszy warunki dostawy, mój brat i milkliwy Kurd zaczęli opróżniać fortepianową ławeczkę. Patrzyłem, jak wyjmują plik starych nut i papier nutowy, zasmarowany odręcznymi notatkami, które kończyły się na zaledwie kilku pięcioliniach, a także tomik wierszy Muhamada Saliha Dilana. Pod siedziskiem znalazła się też bardzo stara pocztówka przedstawiająca budynek Royal Opera, którą mój brat z uznaniem wsunął za ramę w lewy dolny róg lustra, i kolejna książka, dzieła wybrane Stephena Crane’a, wydanie z 1977 roku. Na czas tej inwentaryzacji trafiła w moje ręce, a kiedy leniwie przekartkowałem *An*

Experiment in Misery, An Experiment in Luxury i *An Episode of War*, natknąłem się na zdanie brzmiące mniej więcej tak: „Można chyba powiedzieć, jeśli znajdzie się ktoś, kto ma po temu dość śmiałości, że najbardziej bezwartościową literaturą na świecie są książki, które przedstawiciele jednego narodu piszą o przedstawicielach drugiego”. Kontekstem tego zdania był pochodzący z 1895 roku esej o Meksyku, ale w zaistniałych okolicznościach smutek słów Crane’a wydał mi się bliski i proroczy, a w samochodzie w drodze powrotnej do domu mojego brata skonstatowałem, że przypomina mi o czymś, co powiedział kiedyś Alastair – że im więcej czasu zagraniczny dziennikarz spędza na Bliskim Wschodzie, tym trudniej jest mu pisać na temat tego regionu. Gdy usłyszałem to zdanie po raz pierwszy, zabrzmiało w moich uszach jak wymówka albo usprawiedliwienie, że mój przyjaciel nie potrafi sobie poradzić z trudnym zadaniem, jakim jest napisanie dobrego reportażu, ale im więcej czasu spędzałem z Alastaiem – a co za tym idzie, na Bliskim Wschodzie – tym chętniej podpisywałem się pod tą uwagą. Ostatecznie pokora i milczenie są niewątpliwie lepsze niż głupota i wyniosłość. A może Wschodu i Zachodu naprawdę nigdy nikt nie zdoła ze sobą pogodzić, bo przypominają krzywą i jej asymptotę, które zostały skazane przez geometrię na to, by nigdy się nie przeciąć. Mój brat nie sprawiał wrażenia poruszonego. Rozumiem, co mówisz, powiedział, kiedy zwolniliśmy, żeby przepuścić grupkę nastolatków wychodzących z fastfoodowej restauracji o nazwie MaDonal. Ale czy to nie Crane stwierdził także, że artysta jest niczym więcej jak tylko potężną pamięcią, która przez wspomnienia pewnych przeżyć potrafi wedle woli poruszać się lateralnie?

MOI RODZICE I JA przyjechaliśmy do Bagdadu w dniu, kiedy został zamordowany gubernator tego miasta, Ali al-Haidari, razem z sześcioma swoimi ochroniarzami, co osłabiło optymizm w moim sercu i uzupełniło rozrastającą się listę różnic między północą i południem o spostrzeżenie, że południe jest o wiele bardziej rozpolitykowane. Chociaż należało się tego spodziewać: Bagdad to stolica, sytuacja na północy jawiła się jako o wiele bardziej stabilna,

a z punktu widzenia Kurdów wyniki wyborów były przesądzone. Oczywiście nie licząc mojego brata, jego kierowcy, Zahry i jej krewnych, nie znałem nikogo w As-Sulajmanijji, natomiast w Bagdadzie moich rodziców i mnie otaczała bardzo liczna rodzina, która w większości zawsze mocno angażowała się w politykę: z wciąż mieszkających w tym mieście ośmiorga moich ciotek i wujów dwoje pracowało w Zielonej Strefie, a troje, w tym Zaid, startowało w wyborach. Ale miałem też na myśli to, co widziało się tam na ulicach, jak ten billboard niedaleko domu mojej babci: „Żebyśmy zostawili dzieciom lepszy kraj”. Slogan ten widniał nad zdjęciem urny wyborczej i datą wyborów, trudno było więc nie interpretować go tak: owszem, dla naszego pokolenia sprawa jest chyba stracona i beznadziejna, a sytuacja okropnie zagmatwana, ale może jeśli pójdziemy na wybory, nasze dzieci mimo wszystko odziedziczą po nas lepszy kraj. Bóg jest wielkoduszny.

Prawdę mówiąc, wszyscy, których widziałem w Bagdadzie, bali się o wiele bardziej niż przed rokiem. Bali się, że zostaną obrabowani, zastrzeleni, zadźgani, wzięci do niewoli jako zakładnicy albo rozerwani na strzępy w jakimś wybuchu. Wieczorami nie opuszczali domów. Codziennie chodzili do pracy inną drogą. Pewnego popołudnia kierowca Zaida zauważył samochód, który towarzyszył nam przez cały czas w drodze z Hajj al-Dżihad do al-Dżadriji. Czasem był przed nami, czasem z tyłu, czasem jeden albo dwa pasy obok, zawsze jednak trzymał się w pobliżu. Kierowca Zaida z uporem twierdził, że to zapewne przypadek, ale mimo wszystko skręcił z głównej drogi i przez jakiś czas jeździliśmy w kółko po al-Baji, zanim wróciliśmy na właściwą trasę. Pomogło. A raczej okazało się, że niepotrzebnie się martwiliśmy, bo nasi prześladowcy dali za wygraną albo skończyli już robotę wywiadowczą na ten dzień. Rzecz w tym, że mieszkańcy Bagdadu ciągle myśleli teraz o takich rzeczach, znacznie częściej niż rok temu. Wtedy – pod koniec 2003 i na początku 2004 roku – byli wciąż zaskoczeni i oszołomieni. Ostrożni. Rozmowy toczyły się wokół takich pytań, jak: kim są ci ludzie i dlaczego tak nagle zapragnęli przynieść nam wolność? Czego naprawdę chcą? Jak długo tu zostaną? W styczniu 2005 roku pytania wywołujące dyskusje na te tematy brzmiały już jednak inaczej: dlaczego oni zachowują się jak skurwysyny? Czy od początku przewidywali taki

rozwój wypadków? Czy to naprawdę możliwe, żeby byli aż tak niekompetentni? I: czy pozwolą, żebyśmy sami zarządzili w swoim kraju, chociaż nie podoba im się nasza konstytucja?

Wylądowaliście na Księżycu, przypomniał mi jeden ze znajomych wuja, kiedy się dowiedział, że jestem Amerykaninem. Wiemy, że moglibyście to wszystko naprawić, gdybyście naprawdę tego chcieli.

Ale ja naprawdę chciałem. Nie? A może chciałem po prostu, żeby ktoś zrobił to za mnie? Przed tygodniem – paradoksalnie zainspirowany rozmową z moim bratem o pozornej bezsensowności tego pomysłu – podjąłem na nowo wysiłki, żeby prowadzić dziennik. (Było to postanowienie noworoczne, to prawda). Ale ilekroć zasiadałem do niego tydzień później w Bagdadzie, przypominało mi się *Czerwone i czarne* Stendhala, ten fragment, w którym narrator oświadcza, że zamiast dialogu na tematy polityczne autor wolałby wykropkować całą stronę książki. A to dlatego, powiada, że polityka w dziele wyobraźni jest niczym wystrzał z pistoletu w czasie koncertu. Hałas brutalny, lecz pozbawiony siły. Nie harmonizuje z dźwiękiem żadnego instrumentu. (Wydawca ostrzega autora, że byłoby to działanie pretensjonalne, a pretensjonalność dla dzieła tak błałego to śmierć. Jeśli pańscy bohaterowie, dowodzi wydawca, nie będą mówili o polityce, przestaną być Francuzami z roku 1830, a pańska książka nie będzie zwierciadłem, jak masz do tego pretensje...) ^[23]. No cóż, i ja też wolałbym wykropkować każdą stronę rozmów o polityce, jakie odbyłem w Bagdadzie w styczniu 2005 roku. Tylko że gdybym to zrobił, pod koniec miałbym notes pełen samych kropek. Poza tym moja rodzina, nasi przyjaciele i ja nie byliśmy bohaterami dzieła wyobraźni, lecz prawdziwymi ludźmi, prowadzącymi prawdziwe życie, w którym polityka nie jest jedynie czymś, co przypomina wystrzał na koncercie, dlatego pilna potrzeba, w której wyniku prowadzimy polityczne dyskusje, staje się jeszcze pilniejsza. Z błagalną intencją, jak gdybym miał prywatne połączenie z centrum dowodzenia w Białym Domu i wyłączne prawo reprezentowania moich krewnych, opowiadano mi, jak kiedyś wyglądał Bagdad. Ponoć jeszcze niedawno, bo w latach siedemdziesiątych, przypominał dzisiejszy Stambuł: w mieście roilo się od turystów i biznesmenów, było bowiem świetnie prosperującą kosmopolityczną stolicą na rozwijającym się

Bliskim Wschodzie. Przed Iranem, przed Saddamem, przed sankcjami, operacją „Iracka Wolność” i tym, co działo się teraz, kraj moich rodziców też stanowił centrum kultury, edukacji, handlu i piękna, a ludzie przyjeżdżali tu z całego świata, żeby zobaczyć Irak i chociaż na chwilę stać się jego częścią. A dzisiaj? Widzisz ten chaos na ulicach, Amar, to szaleństwo? Zdawałem sobie sprawę z bezskuteczności kropek i ślęczałem po nocach nad książkami, fotografiami i listami, które mój dziadek zachował z czasów swojej służby państwowej, a które również wyraźnie przedstawiały zupełnie inny Bagdad niż ten, który widziałem, gdy miałem dość odwagi, żeby wyjść z domu – obecnie było to miejsce, gdzie ani przez chwilę nie dawało się zapomnieć o polityce, nawet w czasie posiłku, lektury wiersza czy seksu. Prawie nic tu nie funkcjonowało, jak powinno. Prawie nic nie było piękne. Porządek i bezpieczeństwo, będące fundamentem nawet moich najnieszczęśliwszych chwil w domu, w Ameryce, tu wydawały się cudownymi luksusami jak z innego świata. Dzisiejszy Bagdad, by zapożyczyć kilka słów z *Czy to jest człowiek*, był zaprzeczeniem piękna.

Przed południem naszego ostatniego pełnego dnia pobytu w Iraku, kiedy mój ojciec i ja wróciliśmy z odwiedzin u wnuków Zaida, okazało się, że mamy gościa. Babcia zaparzyła nam kawę i wszyscy sześcioro, w tym moja mama i Zaid, usiedliśmy w ogrodzie i rozmawialiśmy. Jak w czasie wielu rozmów, i w tej powstawały przerwy, a wtedy za każdym razem nasz gość próbował je wypełnić, mówiąc: „To w końcu minie. To w końcu minie”. Przypominało to tik nerwowy, który w naszej obecności powtórzył się co najmniej sześciokrotnie. To w końcu minie. W pewnym momencie, wypowiedziawszy znów te słowa, mężczyzna podniósł wzrok i dostrzegł pełen zwątpienia wyraz mojej twarzy.

Chodzi mi o to, powiedział, że przecież to nie może trwać wiecznie, prawda?

W tamtych okolicznościach taka postawa uchodziła w wyzwolonym Bagdadzie za przejaw optymizmu: trącające lekko chorobliwym uporem przekonanie, że tak okropna sytuacja w żadnym wypadku nie może się ciągnąć bez końca. Prawdę mówiąc, sam ją znośłem z trudem, zwłaszcza gdy do przenikliwego przygnębienia dołączało ogarniające mnie z wolna poczucie winy – sumienie myślące zawsze do przodu

Amerykanina, odliczającego kolejne dni, zanim wraz z rodzicami znajdzie się na pokładzie samolotu, którym odleci do domu. Nie każdy jest jednak fatalistą, próbował pocieszać mnie Zaid. Nasi politycy są mądrzejsi i bardziej wyrafinowani niż w ubiegłym roku. A w ubiegłym roku byli mądrzejsi i bardziej wyrafinowani niż dwa lata temu. Dostrzegają okazje, na które czekali od dziesięcioleci, i wykonują zdecydowane i szybkie posunięcia, żeby z nich skorzystać. Myślą do przodu, chociaż pamiętają też o błędach z przeszłości. Ich polityczni przeciwnicy zamiast współzawodnictwa w wyborach wybrali przemoc, a to oznacza, że jeśli ludzie naprawdę pójdą do urn, to nasi wygrają i napiszą konstytucję, i dopiero wtedy będą mogli przegrać, chyba że ktoś ukradnie im zwycięstwo. To niebanalny warunek. Jeśli wybory naprawdę będą wolne i nie zostaną sfalszowane, ich wynik nie przypadnie Amerykanom do gustu. Ale zakładając, że obędzie się bez fałszerstw, po ogłoszeniu nowej konstytucji sytuacja stanie się jeszcze trudniejsza.

Chyba wyglądało na to, że dałem się przekonać albo przynajmniej otworzyłem się na argumenty, bo kiedy załadowaliśmy z ojcem walizki do samochodu i wracaliśmy do domu, żeby się pożegnać, Zaid odciągnął mnie na bok i zapytał, czy nie zechciałbym się zastanowić nad pracą w Zielonej Strefie. Pewien jego znajomy został mianowany oenzetowskim łącznikiem do spraw jakiegoś dopiero kiełkującego projektu gospodarczego i chciał zatrudnić kogoś godnego zaufania, kto odpowiadałby za techniczne aspekty przedsięwzięcia i służyłby mu radą w trakcie negocjacji ze wszystkimi stronami zainteresowanymi współpracą. Nie byłem nieszczerzy, odpowiedziałem wujowi, że propozycja mi schlebia i że oczywiście pomóc im byłoby dla mnie zaszczytem, ale nie jestem pewien, kiedy będę mógł wrócić do Iraku, bo dla mojego psychicznego dobra powinienem skończyć wreszcie doktorat. Ale tak, dodałem szybko, widząc rozczarowanie w jego oczach. Zastanowię się. Zastanów się nad tym dobrze, odpowiedział Zaid, i jak najszybciej daj nam znać, co postanowiłeś. Masz wyjątkową szansę, żeby pomóc swojemu krajowi, Amar. Rozumiesz chyba równie dobrze jak wszyscy, że nie damy się przebudować na obraz Amriki, ale i Amrika wcale nie powinna chcieć, żebyśmy jej na to pozwolili. Więc

wróc do nas. Wróc do nas jak najszybciej. Powtórzył to ostatnie zdanie, łagodnie potrząsając moim ramieniem, jak gdyby próbował zbudzić mnie ze snu.

LATEM 2007 ROKU zaliczyłem wszystkie zajęcia, skończyłem naukę w studium doktoranckim i pozostała mi do pokonania jeszcze tylko praca doktorska, rozrastająca się w ślimaczym tempie jednego akapitu dziennie. Uznałem, że problemem jest Los Angeles, a ściślej mówiąc, uzależnienie od Internetu, którego nabawiłem się w tym mieście, przekazałem więc swoje mieszkanie w West Hollywood podnajemcy i przeprowadziłem się na lato do drewnianego domku nad Big Bear Lake, sto mil na wschód od LA, w lesie San Bernardino. Miałem tam kuchnię opalaną drewnem, górskie widoki i reprodukcję zdjęcia Ansela Adamsa na ścianie, w miejscu gdzie należało się spodziewać raczej płaskiego telewizora. W domku po przyjeździe najpierw wrzuciłem pajaka do muszli klozetowej i spuściłem wodę, a potem przeciągnąłem stół kuchenny do salonu, wyobrażając sobie, jak przy nim siedzę w otoczeniu podręczników, płyt i pendrive'ów pełnych danych, pracując swobodnie i twórczo długo w noc. Potem wsiadłem do samochodu i wyruszyłem na poszukiwanie kafejki internetowej. Ledwie wyjechałem z podjazdu, zabrzączał mój telefon komórkowy, w którym odezwał się ojciec z informacją, że Zaid został porwany.

Stało się to przed jego własnym domem. Kierowca przyjechał zabrać go do pracy i właśnie otwierał tylne drzwi samochodu, gdy obok zatrzymał się inny wóz, z którego wysiedli dwaj mężczyźni i przystawili Zaidowi do głowy lufy kałasznikowów. Tafadhal, ammu, powiedział jeden z nich, otwierając przednie drzwi ich auta. Będziesz naszym gościem, wujku.

Następnego ranka ciotka Alia dostała telefon z żądaniem wypłaty okupu w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Ale Kareem zaproponował im połowę, powiedział ojciec.

Kto to jest Kareem? – spytałem.

Nasz broker.

Dziesięć dni później ugrupowania antyszyickie zbombardowały al-Askari po raz drugi w ciągu szesnastu miesięcy. W Samarze i Bagdadzie wprowadzono godzinę policyjną, a szyici w odwecie podpalili sunnickie meczety – tymczasem Zaid wciąż pozostawał w rękach porywaczy. Kareem, gdy wynajęto go do negocjacji, zapytał kierowcę wuja, gdzie mu kazali usiąść. Na przednim siedzeniu, odparł szofer. Jak na przednim, to dobrze. Bo jeśli umieszczasz zakładnika w bagażniku, to najprawdopodobniej chcesz go zabić z powodów politycznych, a kiedy sadzasz go z przodu, to nie obchodzi cię, czy jest sunnitą czy szyitą; uprowadziłeś ofiarę po prostu dla okupu i opiekujesz się nią, żeby ci zapłacono. No więc negocjujmy. Ale czas mijał, porywacze jedynie zdawkowo i sporadycznie kontaktowali się z rodziną, której następnie jeszcze bardziej lakonicznych i rzadszych instrukcji udzielał ktoś, kto przedstawił się jako Duży Jazyd i narzekał, że odkupił Zaida od porywaczy za zbyt wysoką cenę, więc coraz trudniej było nam uwierzyć w zasadność teorii Kareema. Ja w tym czasie zaszyłem się w swojej kalifornijskiej sielance, w kółko sprawdzałem, czy nie przyszły jakieś esemesy, i nasłuchiwałem, jak wody jeziora chlupią sobie spokojnie na przystani, ale nie posuwałem się zbyt do przodu z robotą. Popołudniami odbywałem długie przejażdżki rowerem albo marnotrawiłem czas w kafejce internetowej, gdzie poznałem dziewczynę o imieniu Farrah; mieszkała w Fawnskin i kilka razy poszedłem z nią do łóżka, zanim zaprosiła mnie na „wielkie gotowanie” czwartego lipca. Przyjęcie okazało się skromne, mniej wrzaskliwe i studenckie, niż się spodziewałem, a kiedy czekaliśmy na zachód słońca i fajerwerki nad jeziorem, ktoś zaproponował grę w Pictionary. Znalazłem się w drużynie Farrah razem z dwiema innymi kobietami, których letnie sukienki, gdy pochylały się nad stołem, wybrzuszały się i odsłaniały koronkowe obszycia pastelowych staników, a wkrótce po tym, jak odkapslowałem swoją pierwszą od sześciu lat butelkę piwa, ktoś wylosował kartę AP, oznaczającą, że grają całe drużyny. Ustawiliśmy klepsydrę i wszyscy nachyliliśmy się bliżej, coraz głośniejszy i szybciej wykrzykując odpowiedzi, czemu trudno się dziwić, bo piasek sypał się szybko: Osoba. Ludzie. Ludzie trzymający się za ręce. Ludzie tańczący. Ktoś zagniewany. Okrutnik. Okrutnik z listem w ręce. Mandat za parkowanie. Manifest. *Mein Kampf*. Karol Marks. Torba. Wór.

Pieniądze. Rabuś. Rabuś, który obrabował bank. Napad. Bandyci. Butch Cassidy. *Bonnie i Clyde*. *Pieskie popołudnie*. Napad. Ktoś już to mówił. Nie chrząkajcie! To zabrzmiało jak... Kupiec. Kupno. Kupić. Zakupy. Coś jak zakupy! Bakupy, cakupy, dakupy, fakupy, gakupy...

W pewnym momencie Farrah podniosła wzrok i posłała mi znaczące i zniecierpliwione spojrzenie. Potem narysowała samochód.

Później dwie schematyczne postacie ludzkie, trzymające się za ręce i stojące obok samochodu.

Potem strzałkę, biegnącą od jednej z nich na przednie siedzenie wozu. Następnie przekreśliła bagażnik.

Ach, powiedziałem. Porwanie.

Otwierając szeroko oczy, Farrah potwierdziła ruchem głowy i dźgnęła ołówkiem coś, co wyglądało jak pognieciona papierowa torebka, ozdobiona symbolem dolara. Umiała nieźle rysować.

Okup! – wrzasnęła dziewczyna, stojąca z mojej drugiej strony.

List z żądaniem okupu! – krzyknął ktoś inny zza stołu. Ale ten facet nie grał w naszej drużynie. Tak czy owak, cały piasek z naszej małej klepsydry już się przesypał. A kiedy pokazywaliśmy sobie rysunki, więcej niż jeden uczciwy pedant zwrócił nam uwagę, że według zasad tej gry nie wolno używać symboli, w tym znaku dolarowego. Nie pamiętam, kto zwyciężył. Zazwyczaj z preludium przed wstrząsem najlepiej pamiętamy rzeczy żałosne, szczegóły, w których w retrospekcji zdaje się odbijać nasza małostkowość i nieuleczalna krótkowzroczność. Następnego dnia zadzwonił ojciec i powiedział, że chociaż Alia wysupłała czterdzieści tysięcy dolarów, bo tyle miała zapłacić za zwolnienie męża, porywacze podrzucili ciało Zaida w plastikowym worku pod drzwi jej domu. W głowie mojego wujka tkwiła kula.

PAN JAAFARI? Zechce pan tu podejść? Bardzo proszę.

Powoli cofnąłem się znad danych kontaktowych imama Usmana i podszedłem do rudego funkcjonariusza stojącego przy drzwiach.

Obawiam się, że nie mam dobrych wieści, oświadczył Duncan, unosząc z emfazą marchewkowe brwi. Nie dostanie pan dziś pozwolenia wjazdu na teren Zjednoczonego Królestwa.

Milczałem.

Przykro mi. Obawiam się, że mój przełożony uważa, że przybył pan tu z przyczyn, których nam pan nie ujawnił.

Przyjechałem, bo mam przesiadkę w drodze do Stambułu!

A my nie mamy powodu, żeby w to nie wierzyć. Ale niestety. Staralem się znaleźć dla pana jakieś wyjście. Naprawdę. Przykro mi, ciężar dowodu spoczywa jednak na podróżnym, który musi nas przekonać, że nie będzie szkodził naszemu krajowi...

Dlaczego miałbym...

...i nie będzie stanowił dla nas zagrożenia.

Zamknąłem usta.

Przykro mi, powtórzył. Dzisiaj nie zostanie pan wpuszczony. Jeśli w przyszłości uda się panu przekonać innego funkcjonariusza straży granicznej, że spełnia pan kryteria, zezwalające panu na wstęp na terytorium Zjednoczonego Królestwa, to pańska sprawa zostanie rozpatrzona merytorycznie. Nie zabraniamy panu powrotu do naszego kraju w przyszłości.

A jutro?

Co jutro?

Czy istnieje szansa, że spełnię te kryteria jutro?

Nie.

No to co teraz będzie?

Rozmawialiśmy z British Airways i mają samolot do Los Angeles za godzinę, nie zostało zatem wiele czasu, ale jeśli moglibyśmy bez zwłoki skontrolować i odprawić pański bagaż, to chyba uda nam się zdążyć.

Dlaczego nie mogę po prostu zostać tutaj?

Uśmiechnął się szyderczo.

Mówię serio, dodałem. Skoro próbuję dostać się do Iraku, a mam rezerwację na samolot do Stambułu, który odlatuje w niedzielę rano, to dlaczego nie mogę po prostu do tego czasu zostać u was, w tym pokoju zatrzymać? Dlaczego mam wracać aż do Los Angeles?

...Musiałbym zapytać.

Bardzo proszę.

Chyba byłby pan zmuszony tutaj spać.

Nie mam nic przeciwko temu.

Nie było go kolejną godzinę. Kolejna godzina w niewiedzy. Kolejna jedna dwudziesta czwarta część obrotu Ziemi. Kolejne sześćdziesiąt minut, w czasie których staram się nie myśleć o tym, co mógłbym teraz robić i co powinienem był robić wcześniej. Przed czterema laty, kiedy wspinaliśmy się na Goizhę w dniu zaręczyn mojego brata z córką Hassana, Hassan powiedział mi, że za dawnych dobrych czasów mężczyźni z członkowie partii Baas mieli sekretny znak, dzięki któremu mogli się rozpoznawać, a mianowicie nosili wąsy krótsze z jednej strony, przypominały więc wskazówki zegara. Mówiąc konkretnie, krótszy był ten lewy, wąsy jak gdyby wskazywały zatem ósmą dwadzieścia, a ponieważ na zegarze na ścianie naprzeciwko mijala w tej chwili właśnie ta godzina, serce zaczęło mi bić szybciej, a palce zsiniały z zimna. Gdzie znajduje się w tym momencie mój brat? Czy jest mu wygodnie? Ciepło? Czy ma żywność, wodę i dość światła, żeby spojrzeć na zegar? Ósma dwadzieścia pięć. Ósma trzydzieści. Na ekranie wyciszonego telewizora *EastEnders* ustąpili miejsca *Temu wspaniałemu życiu*. El dunya maqluba – rzeczywiście, oto Ameryka w święta Bożego Narodzenia. Nawiasem mówiąc, jest jeszcze inne zastosowanie określenia el dunya maqluba, a mianowicie, żeby wyrazić dezaprobatę albo niedowierzanie, zwykle z pewnym szacunkiem, wobec jakiegoś zdarzenia znamionującego domniemane szaleństwo. Słyszałeś, że

w Białym Domu ma zasiąść czarny prezydent? El dunya maqluba! Świat staje na głowie! W tym znaczeniu ten zwrot ma swojego angielskiego krewniaka, „świat postawiony na głowie”, i jest tytułem co najmniej dwóch piosenek o anarchistycznych korzeniach oraz książki pióra marksistowskiego historyka Christophera Hilla, dotyczącej radykalizmu w czasach rewolucji angielskiej. Pierwsza piosenka pojawiła się ponoć w jakiejś brytyjskiej gazecie w 1643 roku jako ballada napisana w proteście przeciwko uchwale parlamentu, stanowiącej, że Boże Narodzenie ma być świętem wyłącznie uroczystym i poważnym, czyli odrzucającej wszelkie związane z tą datą radosne tradycje. „Aniołowie nieśli wieści dobre w wierze, radowali się i śpiewali pasterze. / ...Dlaczego dobrych praw nam się zabrania? / Lecz bądźmy radzi i oplakujmy ten czas, a jak świat stanął na głowie, ujrzymy wszyscy wraz”. Oczywiście w oczach protestujących Anglików, którzy chcieli zachować swoje bożonarodzeniowe zwyczaje, to parlament stawiał świat na głowie. W oczach mojej pięknej kuzynki Ranii świat stawiała na głowie te zwyczaje.

Dziewiąta dziesięć. Dziewiąta piętnaście. Dziewiąta dwadzieścia pięć. Tysiąc mil na wschód, sześćdziesiąt sześć tysięcy sześćset sześćdziesiąt sześć mil wokół Słońca, czterysta dwadzieścia tysięcy mil wokół centrum Galaktyki i dwa miliony dwieście trzydzieści siedem tysięcy mil w drodze przez kosmos. W sumie poruszamy się w przestrzeni z prędkością dwóch milionów siedmiuset dwudziestu czterech tysięcy sześciuset sześćdziesięciu sześciu mil na godzinę – właściwie wszyscy niemal jednocześnie, niczym stado szpaków kreślące ósemki na niebie. Wszyscy jesteśmy silniej lub słabiej zakotwiczeni na tym samym niezrównanym astronomicznym świecie, którego strony są zaledwie niedawnym wynalazkiem, dokonany przez ludzi nazywających swoim domem półkulę północną. Milę i godzinę też wymyślono na północ od równika – tę pierwszą wyznaczyli rzymscy najeźdźcy, którzy maszerując przez Europę, wtykali patyk w ziemię po każdym mille passuum, czyli tysiącu kroków, a tę drugą starożytni Egipcjanie, dzieląc słoneczną część dnia na dwanaście części. Tymczasem dzień islamski rozpoczyna się o zachodzie słońca. Mila w carskiej Rosji liczyła dwadzieścia cztery tysiące pięćset stóp.

Australijczycy mierzą objętość cieczy wedle ilości wody w zatoce swojego najludniejszego miasta. To nic nowego, rozłam. Rozbieżność. Konflikt terminologiczny. Zawsze istnieli jacyś dysydenci, ludzie, którym świat jest dłużny rewolucję, a jedynym sposobem jej przeprowadzenia wydaje się rozlew pewnej ilości krwi. Kłopot z przekonaniem, że historia się powtarza, polega na tym, że jeśli nie przysparza nam ono mądrości, to popadamy na jego podstawie w błogie zadowolenie. Powinniśmy byli czegoś się nauczyć po Jugosławii, Bośni i Somalii, tak. Z drugiej strony: ludzie zabijają. Zagarniają to, co nie należy do nich, i bronią tego, co do nich należy, bez względu na to, jak mało tego jest. Stosują przemoc, gdy nie działają słowa, chociaż one czasami nie działają dlatego, że ludzie, którzy trzymają w rękę wszystkie karty, zdają się nie słuchać. A zatem czyja to wina, że dobry człowiek, który ciężko pracuje i żyje w zgodzie ze szlachetnymi i pokojowymi zasadami, nie może opuścić własnego domu w As-Sulajmanijji o piątej po południu, by przyprowadzić do domu dziecko z lekcji gry na fortepianie, ponieważ grozi mu uprowadzenie przez uzbrojonych porywaczy, którzy nie potrafią wymyślić żadnego innego sposobu na zarobienie stu tysięcy amerykańskich dolarów?

A Alastair dzień wcześniej ostrzegł mnie w mejlu, który przeczytałem, czekając w kolejce do wejścia na pokład samolotu – tak jak ostrzegałby mnie teraz w Lamb, gdyby najlepsza straż graniczna na świecie uznała za stosowne wpuścić mnie do Anglii – że ktoś taki jak ja byłby najlepszym łupem, na jaki mogliby liczyć tacy ludzie, jeszcze lepszym niż mój brat. Szyta z rozpolitykowanej rodziny, związanej z dwiema znienawidzonymi przez nich partiami politycznymi, który jest obywatelem amerykańskim, ma znajomości w Zielonej Strefie, rodzinę w Stanach Zjednoczonych i oszczędności w dolarach? Możesz sobie wyobrazić coś takiego? Tyle pieczeni! Przy jednym ogniu!

Więc dobrze, panie Jaafari. Może pan zostać. Ale jeśli mamy wziąć za pana odpowiedzialność przez następne trzydzieści cztery godziny, to musimy kazać pana zbadać naszemu lekarzowi.

AMERYKA ZNOWU JEST AMERYKA, powiedziałem sobie wieczorem w dniu, kiedy wybrano Obamę. Nie powiedziałem tego przez pomyłkę, ale na pewno bezmyślnie; parafrazując piszącego o Bogu Mandelsztama, nie musiałem myśleć, żeby się odezwać. Nieco ponad miesiąc wcześniej święto Id al-Fitr przypadło na drugiego października, tego samego dnia, kiedy Joe Biden rzucił wyzwanie Sarze Palin w debacie wiceprezydenckiej – i kiedy Sarah Palin przytoczyła rzekomą wypowiedź Ronalda Reagana o tym, że wolność od zagłady zawsze dzieli zaledwie jedno pokolenie. Nie przekazujemy wolności potomstwu wraz z genami. Musimy o nią walczyć i jej bronić, a potem dać mu ją po to, żeby zrobiło to samo, bo inaczej spędzimy jesień życia, opowiadając swoim dzieciom i dzieciom naszych dzieci o innych czasach, o tym, że kiedyś istniała taka Ameryka, w której zarówno mężczyźni, jak i kobiety byli wolnymi ludźmi. Reagan nie mówił jednak o bezpieczeństwie narodowym. Wtedy, w roku 1961, wypowiadał się w imieniu Women's Auxiliary of the American Medical Association o zagrożeniach, jakie idee socjalistyczne niosą dla medycyny i usług medycznych – a zwłaszcza dla systemu opieki zdrowotnej, Medicare.

W dzień święta Id al-Fitr siedziałem sam w swoim mieszkaniu w West Hollywood, łamałem post, zjadając ciasteczka daktylowe, które przysłała mi mama, a ponieważ rano miałem oddać doktorat promotorowi, męczyłem się, żeby wymienić toner i skończyć drukowanie liczących czterdzieści trzy strony tabel i przypisów. Jednocześnie słuchałem, jak pani gubernator Palin wystrzeliwuje swój erratowy arsenał, i zastanawiałem się, czy rzeczywiście nie jest jeszcze za późno, żebym jednak wszedł do polityki. Jeżeli świat ci się nie podoba, to go zmień. To, że będziesz siedział i przewracał oczami, nic nie da. Zło zwycięży, wystarczy tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili, i tak dalej. Ale Obama wygrał i nagle świat mi się spodobał, a raczej spodobało mi się to, jaki będzie, zakładając, że szkody wyrządzone przez jego poprzedników nie okażą się zbyt poważne czy wręcz nienaprawialne. Depresja polityczna, na którą cierpiałem przez prawie osiem lat, zniknęła, i nawet ośmieliłem się pomyśleć, że dzięki ewidentnie niepospolitym cechom charakteru naszego nowego prezydenta elekta odzyskamy łaski zagranicy. Albo inaczej: Czy tych,

którzy nas nienawidzą, w ogóle obchodzi, kogo wybieramy na prezydenta? I czy wybór człowieka, który wydaje się inteligentny, elokwentny, czarujący, roztropny, dalekowzroczny i dyplomatyczny – jest więc ze wszech miar godnym pozazdroszczenia przywódcą – nie sprawia, że obcy nienawidzą nas po prostu jeszcze bardziej?

Lekarz uspołecznionej służby zdrowia, który mnie badał, okazał się miłym człowiekiem – łagodnym, kompetentnym i doskonale obojętnym na moje zbrodnie, jakiekolwiek by one były – czułem się jednak dziwnie, bo przechodziłem badanie bez potrzeby, nie uskarżałem się na nic poza bólem własnej bezradności i chciałem potwierdzić nie dobry stan własnego zdrowia, tylko mojego już drugi raz zaginionego brata. Doktor Lalwani mówił z silnym indyjskim akcentem, ale poza tym bezbłędną angielszczyzną, a na ścianach jego gabinetu wisiały co najmniej cztery dyplomy uniwersyteckie, które kazały mi się zastanowić, jak znaczący sukces musi osiągnąć lekarz w Wielkiej Brytanii, żeby nie pracować na nocnym dyżurze w pierwszy dzień świąt w pozbawionych okien wnętrznościach lotniskowego terminalu numer pięć. Wzrost: pięć stóp dziewięć cali. Waga: sześćdziesiąt siedem kilogramów – mniej więcej sto pięćdziesiąt funtów. Czy tyle zwykle pan waży? Tak? To dobrze. A teraz proszę powiedzieć: aaaaa. Proszę dotknąć językiem podniebienia. Proszę podnieść ręce. Proszę zacisnąć pięści. Proszę mnie nimi popchnąć. Dobrze. Dobrze. Dotknie pan palcem nosa? A mojego palca? A teraz naprzemiennie, jak najszybciej. Ma pan problemy z pęcherzem? Z ejakulacją? Dobrze. Teraz proszę się pochylić. A teraz wyprostować, kręć po kręgu. Proszę podejść tam. A teraz wrócić do mnie. Dobrze.

Pobiorę krew do badania. Chce pan wiedzieć, czy jest nosicielem wirusa HIV?

No, wydaje mi się, odparłem, że jest bardzo mało prawdopodobne, żebym miał HIV. Ale tak, chyba chcę wiedzieć.

Podniósł metalowy pilnik i trzymał go między nami niczym małą batutę.

A teraz proszę zamknąć oczy i powiedzieć „teraz” za każdym razem, kiedy poczuje pan, że dotykam jednego z pańskich policzków.

...Teraz.

Teraz.

Teraz.

Teraz.

Teraz.

Teraz.

Teraz.

Teraz.

Dobrze. A teraz, dalej z zamkniętymi oczami, proszę mi powiedzieć, czy czuje pan ostry, czy raczej tępy czubek.

Ostry.

Tępy.

Ostry.

Ostry.

Tępy.

Tępy.

Ostry.

Tępy.

Dobrze. Proszę jeszcze nie otwierać oczu i powiedzieć, jakie przedmioty wkładam panu do ręki.

Spinacz do papieru.

Klucz.

Ołówek.

Dziesięć centów.

Roześmiał się. To była pięciopensówka. Podchwytliwe pytanie.

Patrzyłem, jak sunie na obrotowym fotelu przez pokój, żeby wziąć oftalmoskop ze szklanej tacki, a potem kołuje z powrotem i przysuwa twarz tak blisko mojej, że moglibyśmy się pocałować. Skóra lekarza wydzielala czysty, kauczukowy zapach. Kiedy słuchałem, jak powietrze świszcze w jego nozdrzach, moje oczy zalała fala światła.

Widzę, że pulsują panu żyłki za oczami.

Tak?

Tak. To dobrze.

Ostatnią pozycją na liście Lalwaniego było prześwietlenie całej jamy brzusznej – mówił coś o sprawdzeniu, czy nie ma w niej żadnych ciał obcych, uznałem więc, że chce sprawdzić, czy nie przewożę w kiszkiach gumowych woreczków pełnych heroiny – a kiedy się ubierałem, zapytał:

Czym się pan zajmuje?

Jestem ekonomistą.

Tak? Jakiej specjalności?

No, odparłem, zapinając rozporek, napisałem doktorat o niechęci do ryzyka. A teraz szukam pracy.

Uprzejmie skinął głową.

A potem, chyba dlatego, że wyczuwałem w nim tolerancyjnego człowieka, inteligentnego i liberalnie nastawionego sprzymierzeńca, którego zapewne nie spotkam już nigdy w życiu, dodałem:

Zastanawiam się też, czy nie startować w wyborach do Kongresu.

Jego twarz na moment zastygła w czymś w rodzaju ostrożnego zachwyty – jak gdybym przed chwilą wymienił wspólnego znajomego, choć nie wiadomo jeszcze, jakie mamy zdanie na jego temat. Szczerze mówiąc, zaskoczyłem tym oświadczeniem sam siebie – mówiłem jednak poważnie, tak poważnie, jakby chodziło o moje zatrzymanie na lotnisku, a kiedy stało się to jasne, Lalwani klasnął w dłonie i po prostu zawołał:

Cudownie! Gdzie?

W Kalifornii, odpowiedziałem. W trzydziestym okręgu wyborczym, jak mi się zdaje.

Skinął głową, teraz z czymś w rodzaju pełnego uznania szacunku, a gdy zawiązałem adidas i się wyprostowałem, zmrużył oczy, mierząc mnie jakby profesorskim wzrokiem, w którym odbijało się odległe wspomnienie. Nie posiadałem sztuki wieszczczenia, oświadczył nieco teatralnie. Kto może wiedzieć, jak to będzie wszystko wyglądało za czterysta albo pięćset lat. Ale jedno jest pewne: to stanowisko mogą zajmować papiści, a nawet muzułmanie. Ja nie widzę żadnych przeciwwskazań. Potem, sprawiając wrażenie zadowolonego z siebie, zdjął gumową rękawiczkę i uściśnął mi dłoń. No cóż, doktorze Jaafari.

Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Pan kongresmen Jaafari. Pan prezydent Jaafari. Powodzenia. Może już po odwiedzinach u brata uda się panu jakoś wyciągnąć nas z tego bagna.

Gdy wracałem do sali zatrzymań, wydało mi się, że w pewnym sensie spadł mi kamień z serca, poczułem się lżejszy, a nawet nieco podekscytowany – jak gdybym w procesie potwierdzenia swojej tężyzny fizycznej opuścił powłokę cielesną i pozostawił ją na podłodze gabinetu lekarskiego. Czy żyłki za oczami Samiego też jeszcze pulsują? Czy w ogóle są jeszcze na swoim miejscu? Trzy lata temu, niedługo po tym, kiedy u matki zdiagnozowano chorobę Alzheimera, ojciec przysłał mi mejla z linkiem do pewnego reportażu w „Seattle Times” o dwuletnim chłopcu imieniem Mohamed, którego na drodze między Bagdadem i Bakubą postrzelono w twarz. Dzieciak wracał z rodziną samochodem z odwiedzin u krewnych, gdy bojownicy zatrzymali ich SUV-a i skierowali lufy karabinów AK-47 na cztery spośród pięciorga osób w środku. Zabili wujka małego Mohameda, a jego matka została ciężko ranna; bez szwanku wyszła jedynie czteroletnia siostra chłopca. Kula, która go trafiła, roztrzaskała mu prawe oko i drasnęła lewe, malec spędził więc wiele miesięcy w szpitalu w Iraku i Iranie, po czym dzięki staraniom pewnej organizacji humanitarnej został przewieziony samolotem do specjalistycznej kliniki w Seattle, gdzie wzrok miał mu uratować przeszczep rogówki. Przepraszam, że przekazuję ci takie ponure historie, napisał ojciec, jak gdyby cała nasza korespondencja z poprzedniego miesiąca nie była ponura. Pomyślałem jednak, że powinienes wiedzieć, że zastrzelony wujek Mohameda to ten sam człowiek, który w styczniu zeszłego roku przyszedł się z nami spotkać do twojej babci, ten, który siedział w ogródku i ciągle powtarzał: „To w końcu minie”.

Wydaje mi się, że miał rację.

Dochodziła już niemal północ, ale jarzeniówki w sali zatrzymań z uporem brzęczały, bezbarwne niczym chorowite polarne słońce. I było bardzo zimno, zdumiewająco jak na pomieszczenie bez okien; dali mi lepiący się do ciała, bo naelektryzowany koc, i maleńką poduszkę w jednorazowej poszwie z gazy, ale ani ten koc, ani poduszka prawie wcale nie pomagały odtworzyć ciepła i wygody prawdziwego łóżka. I nie

byłem już sam. Kulawa sprzątaczką zamiatała podłogę, zawadzając przy tym o moje nogi, a pod przeciwległą ścianą siedziała jakaś blondynka, na oko pod trzydziestkę, i płakała cicho. Zajmowała miejsce, które już dawno temu okupował czarnoskóry mężczyzna, a obok niej na krześle leżały poduszka i koc, takie same jak moje; siedziała z nogą założoną na nogę i ze złożonym na pół płaszczem na kolanach. Czarne futerko jego kaptura marszczyło się nieznacznie, ilekroć wypuszczała powietrze z płuc albo czyściła nos. Mój płaszcz spoczywał w walizce, zwinięty w kłębek między butami turystycznymi i zabawkowymi liczydłami. Miałem na sobie tylko lekką kurtkę, w której wyleciałem z Los Angeles przed dwudziestoma trzema godzinami, oczekując zupełnie innego jutra. W West Hollywood temperatura wynosiła trzynaście stopni – było więc może niezupełnie tak ciepło, jak powinno być wiosną, ale kiedy wracałem do domu z pożegnalnego spotkania z promotorem, postanowiłem usiąść przy kawiarnianym stoliku na końcu ulicy, na której mieszkałem, i zamówić jajecznicę. Miałem przy sobie książkę, tę o postkeynesowskiej teorii cen, której nie czytam w tej chwili, zamówiłem brunch, odprawiłem się elektronicznie, otworzyłem ją i czytałem w wyjątkowym skupieniu, aż przyniesiono mi kosztującą pięć dolarów porcję świeżo wyciśniętego soku z czerwonej pomarańczy, który natychmiast wypilem. Był z mięszem, słodki, a po jego spożyciu słowa na papierze zrobiły się jakby gęstsze i bardziej odległe. Wysoko na niebie popołudniowy księżyc odbijał światło słoneczne. Zabrzęczał mój telefon, wyświetliła się nazwa kontaktu: „Rodzice”. Po chwili zabrzączał znowu; tym razem to Maddie nagrała mi życzenia świąteczne, inszallah, a później komórka odezwała się po raz trzeci, dokładnie w chwili, kiedy postawiono przede mną koszyczek z chlebem i dżem, a gdy słuchałem, jak ojciec mi przekazuje, co powiedziała mu Zahra zaledwie pół godziny wcześniej, odłożyłem nóż i przyglądałem się samochodom pomykającym na zachód po Beverly Boulevard. W większości były to SUV-y, od czasu do czasu także stare hatchbacki albo sedany; przejechały też długa biała limuzyna, furgonetka pomalowana tak, by przypominać rekina, i połyskliwy czerwony wóz strażacki, leniwie ciągnący za sobą amerykańską flagę. Zażądali stu tysięcy, powiedział mi ojciec przez łyzy. Hassan zaproponował siedemdziesiąt pięć. Zbliżając się do własnych odbić w otwartym oknie

naprzeciwko mnie, pojazdy wyglądały tak, jakby wjeżdżały same w siebie, płynąc jednocześnie na wschód i zachód – ich maski, koła i przednie szyby jak gdyby znikwały w antymaterii, a flaga pożerała samą siebie.

III
ROZMOWA
Z EZRĄ BLAZEREM
W AUDYCJI „DESERT ISLAND DISCS”

(nagrana w rozgłośni BBC w Londynie
14 lutego 2011 roku)

DZIENNIKARKA: Moim dzisiejszym rozbitkiem na bezludnej wyspie jest pisarz. Inteligentny chłopak ze Squirrel Hill we wschodnim Pittsburghu w Pensylwanii ukończył studia w Allegheny College, po czym trafił na łamy takich pism, jak „Playboy”, „The New Yorker” i „Paris Review”, a publikowanymi tam opowiadaniem o powojennym pokoleniu Amerykanów z klasy pracującej zasłużył sobie na etykietę szczerego do bólu i niekonwencjonalnego pisarza. Pierwsza powieść dwudziestodwuletniego wówczas autora, *Bieg na dziewięć mil*, została uhonorowana National Book Award, którą nagradzano go później jeszcze dwukrotnie. Od tamtej pory mój gość opublikował ponad dwadzieścia książek i otrzymał o wiele więcej wyróżnień, w tym PEN/Faulkner Award, Złoty Medal za prozę od American Academy of Arts and Letters, dwie nagrody Pulitzera, National Medal of Arts, a ostatnio, w grudniu – „za niezwykłą pomysłowość i wyjątkowe zdolności mimetyczne, dzięki którym z ironią i współczuciem ewokuje heterogeniczność życia we współczesnej Ameryce” – zdobył najbardziej pożądany literacki laur: Nagrodę Nobla. Powszechnie podziwiany w Stanach Zjednoczonych, a także u nas, w Wielkiej Brytanii, oraz w innych krajach, jest pisarzem tłumaczonym na ponad trzydzieści języków. Jako osoba prywatna wydaje się jednak odludkiem, przedkładającym swój długoletni azyl na wschodnich krańcach Long Island ponad to, co nazywa „śmiercionośnym biciem piany i gorączkowością” w literackich kręgach Manhattanu. Bądźcie śmiali w pisaniu, powiada, a życie jak konserwatyści. Przed państwem Ezra Blazer.

Czy zatem mamy rozumieć, panie Blazer, że zdecydowanie niekonwencjonalni bohaterowie pańskich powieści są wyłącznie produktem szalonej wyobraźni ich autora?

EZRA BLAZER: (*śmiech*) Chciałbym mieć naprawdę szaloną wyobraźnię. Nie. Oczywiście, że nie. Ale równie nieuprawnione byłoby nazwanie ich postaciami autobiograficznymi. Nie chciałbym też, żebyśmy wpadli w idiotyczną pułapkę, jaką jest próba oddzielenia prawdy od fikcji, jak gdyby powieściopisarz z oczywistego powodu w ogóle nie odrzucał takich kategorii, od tego by trzeba zacząć.

DZIENNIKARKA: A jaki to jest powód?

EZRA BLAZER: Taki, że ostatecznie na pamięci wcale nie da się polegać bardziej niż na wyobraźni. Jestem jednak gotów przyznać jako pierwszy, że czasem faktycznie nie można się oprzeć pokusie kontemplacji tego, co jest w powieści prawdziwe, a co wymyślone. Pokusie szukania szwów, pokusie próby odgadnięcia, jak to jest zrobione. Nie stosujemy się do własnych rad, to odwieczna prawda. „Bądźcie śmiali w pisaniu hieroglifów, a konserwatywni na łowach i w zbieractwie”.

DZIENNIKARKA: Krytycy nie zawsze są dla pana łaskawi. Czy pana to irytuje?

EZRA BLAZER: Staram się, jak mogę, żeby nie mieć żadnego kontaktu z tym, co pisze się o moich utworach. Moim zdaniem krytyka nie przynosi mi niczego dobrego, ani przychylna, ani nieprzychylna, muszę więc stwierdzić, że jest mi obojętna. Znam swoje dzieło lepiej niż ktokolwiek. Znam swoje wady. Wiem, czego nie umiem robić. Ale na tym etapie życia wiem też, co potrafię. Rzecz jasna, na początku czytałem na swój temat każde słowo, które tylko udawało mi się gdzieś wytropić. Ale co mi z tego przychodziło? Oczywiście o moich książkach pisali ludzie inteligentni, wolałbym jednak czytać ich teksty o innych pisarzach niż ja. Pochwały umacniają może pisarską pewność siebie, lecz ona musi umieć istnieć i bez tego. Recenzja ostatniej książki w niczym nie pomaga pisarzowi, który od półtora roku pracuje nad nową powieścią i o mało nie dostaje nad nią pomieszania zmysłów. Recenzje literackie są dla czytelników, nie dla pisarzy.

DZIENNIKARKA: Proszę mi opowiedzieć o swoim dzieciństwie.

EZRA BLAZER: Wydaje mi się, że wszyscy wiedzą już dość na ten temat.

DZIENNIKARKA: Był pan najmłodszym z trojga dzieci...

EZRA BLAZER: Wolałbym naprawdę mówić o tym, jak w moje życie wkroczyła muzyka. W dzieciństwie nigdy nie słuchałem muzyki klasycznej. Miałem nawet dla niej coś w rodzaju pogardy głupiego chłopaczyska. Wydawała mi się sztuczna i nadęta, zwłaszcza opera. Ale mój ojciec ją lubił, co jest nieco dziwne, bo nie był wykształcony...

DZIENNIKARKA: Pracował w stalowni.

EZRA BLAZER: Jako księgowy, w Edgewater Steel. Ale w weekendy słuchał oper przez radio, w sobotnie popołudnia, zdaje się, i... Milтона Crossa, tak się nazywał ten dziennikarz. Miał niski, czarujący głos, przedstawienia transmitowano z Metropolitan Opera House, a mój ojciec siedział na kanapie, trzymał w ręku podniszczony egzemplarz *The Story of a Hundred Operas* i słuchał *Traviaty* albo *Kawalera srebrnej róży*. No i wydawało mi się to trochę dziwne. Nie mieliśmy gramofonu ani książek, więc rozrywki dostarczało nam przede wszystkim radio, które w soboty ojciec monopolizował na długie godziny.

DZIENNIKARKA: Czy sam też muzykował?

EZRA BLAZER: Czasami śpiewał pod prysznicem jakieś arie albo ich fragmenty, a wtedy matka wychodziła z kuchni z rozmarzonym uśmiechem na twarzy i mówiła: „Twój ojciec ma piękny głos”. W przeciwieństwie do moich bohaterów ja pochodzę ze szczęśliwej rodziny.

DZIENNIKARKA: Naprawdę miał ładny głos?

EZRA BLAZER: Niezły. Ale ja pozostawałem pod urokiem muzyki popularnej. Miałem osiem lat, kiedy w 1941 roku zaczęła się wojna, więc znałem wszystkie piosenki z lat wojennych, a potem, gdy wszedłem już w wiek dorastania, słuchałem modnych wtedy romantycznych piosenek...

DZIENNIKARKA: Na przykład?

EZRA BLAZER: (urywa, po chwili śpiewa) *A small café, Mam'selle. A rendezvous, Mam'selle*^[24]. *La da da da da da da...* Albo: *How are things in Glocca Moooooorrrrrra?*^[25]. Pamiętam tę piosenkę, bo była popularna, kiedy

mój starszy brat szedł do wojska. W porze obiadu zawsze słuchaliśmy radia i gdy tylko nadawano *How Are Things in Glocca Morra?*, mój brat też ją śpiewał z niezłym irlandzkim akcentem, od którego po prostu dostawałem dreszczy. A potem poszedł do wojska i mama zawsze płakała, jak to grali. Zaczynała płakać, a ja wstawałem od stołu i mówiłem: „Chodź, mamó, zatańczymy”.

DZIENNIKARKA: Ile miał pan wtedy lat?

EZRA BLAZER: W 1947 roku? Trzynaście, czternaście. Więc to będzie moja pierwsza płyta. *How Are Things in Glocca Morra*, śpiewa Ella Logan, irlandzka Ethel Merman.

DZIENNIKARKA: Ona właściwie jest Szkotką.

EZRA BLAZER: Naprawdę? To powszechnie znany fakt?

DZIENNIKARKA: Chyba tak.

EZRA BLAZER: Ella Logan jest Szkotką?

DZIENNIKARKA: Tak.

* * * * *

 * * * *

* * * * *

DZIENNIKARKA: Była to pochodząca z musicalu *Tęcza Finiana* piosenka *How Are Things in Glocca Morra?* w wykonaniu Elli Logan. Ale niech mi pan powie, panie Blazer, na pewno tańczył pan nie tylko ze swoją mamą. Jak wyglądały początki pańskiego życia miłosnego?

EZRA BLAZER: No, tak jak pani sugeruje, wkrótce zacząłem tańczyć z dziewczynami. Na studniówce. Na imprezach. Jeden z moich kolegów dysponował wyremontowaną piwnicą, gdzie urządzał balangi. My nie śmierdzieliśmy groszem i mieszkaliśmy w blokach, ale jego rodzice mieli dom jednorodzinny, a w nim tę wyremontowaną piwnicę, gdzie organizowaliśmy imprezy. Śpiewakiem, który sprawiał, że dostawaliśmy odpą, był Billy Eckstine. Miał soczysty baryton i był czarny, co nas urzekło. Nie był wokalistą jazzowym, chociaż trochę jazzował. (*Śpiewa*) *I left my hat in Hai-ti! In some forgot...* ^[26]. Ale nie. Nie tej piosenki chcę. Najbardziej

kochaliśmy kawałki, do których mogliśmy tańczyć, bardzo powoli na parkiecie w piwnicy, z dziewczynami, które przytulaliśmy jak najmocniej, bo oprócz tańca nie mieliśmy nic, co by chociaż przypominało seks. Nasze dziewczyny były dziewicami i pozostawały nimi przez cały okres studiów. Ale na parkiecie chłopak mógł wcisnąć krocze w krocze swojej partnerki, która odwzajemniała ten nacisk, jeśli cię kochała, a jeżeli miała jakieś wątpliwości, to tańczyła, wypinając dupę z całych sił w przeciwną stronę.

DZIENNIKARKA: Rozmawiamy w audycji rodzinnej.

EZRA BLAZER: Bardzo przepraszam. Wypinała swój *toches*.

DZIENNIKARKA: A Eckstine?

EZRA BLAZER: Eckstine nosił garnitury nazywane jednoguzikowymi: poły marynarki były długie, wąskie i zapinane poniżej linii bioder na pojedynczy guzik. Krawat wiązał na szeroki węzeł windsorski i nosił wielki, podwinięty kołnierzyk do koszuli – „kołnierzyk Billy’ego Ecksteina”. W środowe wieczory i soboty pracowałem w Monogramming Shop u Kaufmanna i dzięki zniżce dla pracowników udało mi się zaoszczędzić dość pieniędzy, żeby kupić sobie taki perłowski jednoguzikowy garnitur. Mój pierwszy garnitur w życiu. A kiedy Eckstine wrócił do Pittsburgha, by śpiewać w Crawford Grill, wemknęliśmy się tam w tych garniturach, i och, jak dobrze było żyć, ale być młodym było po prostu cudownie!

DZIENNIKARKA: Druga płyta?

EZRA BLAZER: *Somehow*.

* * * * *

* * * *

* * * * *

DZIENNIKARKA: Billy Eckstine zaśpiewał dla nas *Somehow*. Ukończył pan studia w Allegheny College, panie Blazer, i też poszedł do wojska, jak pański brat. Jak pan wspomina ten czas?

EZRA BLAZER: Spędziłem w armii dwa lata. Powołali mnie w czasie wojny koreańskiej, ale na szczęście nie wysłali do Korei, tylko do Niemiec, podobnie jak prawie ćwierć miliona innych Amerykanów, przygotowujących się do trzeciej wojny światowej. No i trafiłem do ŻW – Żandarmerii Wojskowej. Stacjonowaliśmy w Lee Barracks, w Mainz. Zanim dopadły mnie starość i choroba, przez które, jak pani widzi, jestem teraz taki pokurczony, mierzyłem sześć stóp i dwa cale wzrostu i ważyłem dwieście funtów. Potężny, muskularny żandarm z pistoletem i służbową pałką. Ale moją specjalnością w żandarmerii było kierowanie ruchem drogowym. Nie mieliśmy trzeciej wojny światowej, tylko mieliśmy ruch uliczny. W szkole ŻW nauczono mnie, że najważniejsze w kierowaniu ruchem jest pozwolić mu płynąć przez biodra kierującego. Chciałaby pani zobaczyć?

DZIENNIKARKA: Czyli chodzi o coś w rodzaju tańca?

EZRA BLAZER: O coś w rodzaju tańca, tak! Zna pani ten kawał o tańcu?

DZIENNIKARKA: Nie, chyba nie.

EZRA BLAZER: Młody adept szkoły rabinicznej ma się żenić, więc idzie do mądrego starego rabina, takiego z brodą do ziemi, i mówi: „Rabbi, chciałbym wiedzieć, co jest dopuszczalne, a co nie. Nie chcę robić niczego, co zakazane. Czy będzie dobrze, jeżeli położymy się do łóżka, ja wejdę na swoją żonę i odbędziemy stosunek w tej pozycji?”. „Dobrze!”, woła rabin. „Zupełnie dobrze”. „A będzie dobrze, jeżeli ona przekręci się na brzuch i odbędziemy stosunek w tej pozycji? Kiedy będę na niej leżał, o tak?” „Dobrze!”, odpowiada rabbi. „Zupełnie dobrze. Doskonale”. „A jeżeli usiądę na brzegu łóżka, a ona na mnie, zwrócona twarzą w moją stronę, i zrobimy to w ten sposób?” „Doskonale! Zupełnie dobrze”. „A jeżeli zrobimy to na stojąco, zwróceniem twarzami do siebie?” „Nie!”, woła rabin. „W żadnym wypadku! Wtedy byłoby to coś w rodzaju tańca!”

DZIENNIKARKA: Następna płyta.

EZRA BLAZER: No i tak, często tak bywa, że młodzi chłopcy w wojsku spotykają kogoś, kto staje się dla nich nauczycielem, kogoś, kto zna światy im nieznane. W Niemczech stacjonowałem z facetem, który studiował w Yale, a wieczorami – ponieważ miał w koszarach

gramofon – puszczał Dvořáka. Dvořák! Nie wiedziałem, jak się wymawia jego nazwisko, nie mówiąc już o tym, jak się je pisze. Nie znałem muzyki klasycznej. Nie znałem jej i byłem wrogo do niej nastawiony, jak nieokrzesany smarkacz. No i któregoś wieczoru usłyszałem coś, co mnie powaliło. Oczywiście był to koncert na wiolonczelę. Grał chyba Casals. Później słyszałem ten sam utwór w wykonaniu Jacqueline du Pré, mistrzowskim, ma się rozumieć, ale to Casals był pierwszy, więc teraz zagrajmy jego. Podobała mi się jego elektryzująca energia, ten dramatyzm, który był jak prąd wstępujący mi w żyły...

* * * * *

 * * * *

* * * * *

DZIENNIKARKA: Pablo Casals odegrał koncert wiolonczelowy b-moll Antonína Dvořáka z akompaniamentem Czeskiej Orkiestry Filharmonicznej pod dyрекcją George’a Szella. A jak wyglądała służba wojskowa w Niemczech?

EZRA BLAZER: Jeżeli chodzi o mnie, to nie całkiem przyjemnie. Owszem, lubiłem kierować ruchem. Lubiałem chodzić w mundurze i zgrywać twardego żandarma. Ale mieliśmy rok 1954. Wojna skończyła się zaledwie dziewięć lat wcześniej. A dopiero po wojnie okazało się, że naziści w makabryczny sposób wymordowali europejskich Żydów niemal w pień. Więc nie było we mnie miłości do Niemców. Nie znosiłem ich, nie mogłem słuchać rozmów po niemiecku. Ten język! A potem, niestety, trzeba trafu, że spotkałem dziewczynę. Ładną niebieskooką blondynkę o ostro zarysowanej szczęcie, stuprocentową aryjską Niemkę. Studiowała na uniwersytecie, zobaczyłem ją na ulicy, jak niosła jakieś książki, i spytałem, co czyta. Była śliczna i trochę znała angielski – nie za dobrze, ale moim zdaniem posługiwała się nim w czarujący sposób. Jej ojciec walczył na wojnie, i to już nie wydawało mi się czarujące. Wstydziłem się na myśl, co pomyśli sobie moja rodzina, kiedy się dowie, że zakochałem się w córce hitlerowca. Był to zatem bardzo niebezpieczny romans

i próbowałem uczynić z niego temat mojej pierwszej książki. Oczywiście nie wychodziło mi to. Ale tak, swoją pierwszą powieść chciałem napisać właśnie o tym romansie z Niemką, w który się wdałem, służąc jeszcze w wojsku, zaledwie dziewięć lat po zakończeniu wojny. Nie potrafiłem nawet zdobyć się na to, żeby przyjeżdżać po nią do domu, kiedy szliśmy na randkę, bo nie chciałem poznać jej rodziców, i to było dla niej straszne. Nie pokłóciliśmy się, ale płakała. Ja też. Byliśmy młodzi, kochaliśmy się i płakaliśmy. Pierwszy potężny cios od życia. Miała na imię Katja. Nie wiem, co się z nią stało, gdzie teraz jest. Zastanawiam się, czy mieszka w Niemczech i czyta moje książki po niemiecku.

DZIENNIKARKA: A efekty pańskiej pracy nad tą pierwszą powieścią? Gdzie one są? W jakiejś szufladzie?

EZRA BLAZER: Zniknęły. Już dawno temu. Napisałem pięćdziesiąt okropnych stron, kipiących od gniewu. Miałem dwadzieścia jeden lat. Ona dziewiętnaście. Śliczna dziewczyna. Oto cała historia.

DZIENNIKARKA: Płyta numer cztery.

EZRA BLAZER: No, po wyjściu z wojska chciałem zobaczyć Europę, więc przeszedłem do cywila w Niemczech i zostałem za morzem. Miałem dużą torbę podróżną, wojskową, wojskowy płaszcz i odprawę, w sumie ze trzysta dolarów, wsiałem w pociąg do Paryża i znalazłem sobie pokój w jakimś nędznym hoteliku w szóstej dzielnicy. To był taki hotel, w którym jak się wstaje w środku nocy, żeby skorzystać z toalety, to nie można znaleźć przełącznika światła, a jak się go już po omacku znajdzie, zapali światło i robi jakieś sześć kroków, to żarówka zaraz znowu gaśnie. A kiedy już uda ci się znaleźć łazienkę, natychmiast masz większe kłopoty, bo papier toaletowy w tamtych powojennych latach przypominał... Czy mogę mówić o papierze toaletowym w audycji rodzinnej?

DZIENNIKARKA: Może pan.

EZRA BLAZER: Przypominał tarkę do stóp. Nie papier ścierny, tylko tarkę do stóp.

DZIENNIKARKA: Czyli mieszkał pan przez rok w Paryżu...

EZRA BLAZER: Przez półtora roku.

DZIENNIKARKA: ...po zakończeniu służby wojskowej.

EZRA BLAZER: Tak. W pobliżu stacji Odéon. Chodziłem do Café Odéon i oczywiście poznałem tam nową dziewczynę, Geneviève. Miała taki mały, czarny, terkoczący skuter – wtedy było tego pełno w Paryżu – na którym tłukła się wieczorem do tej kafejki, żeby się ze mną spotkać, no i jakoś tak wyszło, że ta dziewczyna, która nie była... Owszem, ładna, na pewno, chociaż trochę ulicznica, miała jednak dobry gust muzyczny, jak ten mój kumpel z wojska, i dzięki niej poznałem muzykę kameralną Faurégo. Wtedy się dowiedziałem, jak piękna jest wiolonczela, na której oczywiście każę grać Marinie Makovsky w *Dowcipie przewodnim*. Przez długie miesiące chciałem słuchać tylko tego instrumentu. Dostawałem dreszczy na jego dźwięk. U Faurégo mamy piękne pasaże, ale to wiolonczela, to cudo (*warkliwie naśladuje brzmienie wiolonczeli*)... Taką głębię może osiągnąć tylko ten instrument. To mnie powaliło. Wiolonczela ma śpiewność, świeżość, jest po prostu przepiękna. Nigdy wcześniej nie słyszałem takiej muzyki – była daleka od *mam'selle*, pani rozumie, chociaż znajdowaliśmy się w mieście, gdzie to słowo często było słychać. To obłąd, jak człowiekowi wszystko zsyła los. Wszystko jest przypadkiem. Życie to jeden wielki przypadek. Nawiasem mówiąc, nie kochałem tej dziewczyny tak jak tamtej Niemki. Może dlatego, że nie było między nami tyle *Sturm und Drang*.

* * * * *

* * * *

* * * * *

DZIENNIKARKA: Usłyszeliśmy sonatę wiolonczelową numer 1 d-moll Gabriela Faurégo w wykonaniu Thomasa Igloi oraz Clifforda Bensona na fortepianie. Niech mi pan teraz przypomni, panie Blazer, czy mniej więcej w tamtym czasie nie wystartowało pismo „The Paris Review”?

EZRA BLAZER: Och, tak. Wydaje mi się, że ci faceci przyjechali do Paryża w pięćdziesiątym trzecim albo czwartym. Czyli jakiś rok czy dwa po mnie. No i oczywiście, znałem ich wszystkich. George’a, Petera,

Toma, Blaira, Billa, Doca. Kapitałni goście. Czarujący, ciekawi świata, poważnie traktujący literaturę i na szczęście całkowicie pozbawieni ciągnot akademickich. W tamtych latach nad Paryżem wciąż unosiła się aura przygód amerykańskich wygnańców. Fitzgerald, Hemingway, Malcolm Cowley, pisma takie jak „Transition”, księgarnia Shakespeare & Company, Sylvia Beach, Joyce. No a załoga „Paris Review” podchodziła do swoich obowiązków romantycznie. Zna pani taki wiersz E.E. Cummingsa? „Zaczniemy wydawać pismo / do diabła z literaturą... coś nieustraszenie obscenicznego...” Byli romantykami, ale i twardzielami, i robili coś całkowicie nowego. Chociaż koniec końców siedzieli w Paryżu, bo tam było po prostu fajnie. I to nawet bardzo.

DZIENNIKARKA: Czy pan już wtedy pisał?

EZRA BLAZER: Próbowalem. Napisałem kilka zachwycająco poetyckich opowiadań, bardzo przesyconych wrażliwością, o... Ach, nie wiem. O pokoju na świecie. Różowym słońcu kładącym się na Sekwanie. To był jeden problem: nieokiełznana uczuciowość młodości. Drugi polegał na tym, że nieustannie próbowałem wciskać jednego bohatera w buty drugiego, umieszczałem ich na rogach ulic albo razem w kawiarniach, żeby mogli ze sobą rozmawiać. Żeby mogli tłumaczyć sobie nawzajem różne rzeczy nad tą wielką przepaścią, jaka dzieli ludzi. Ale to było wszystko bardzo wymyślane. Wymyślane i w gruncie rzeczy nachalne, a czasem trzeba po prostu pozwolić postaciom robić swoje, czyli pozwolić im ze sobą koegzystować. Jeżeli ich drogi się przetną i będą umiały czegoś się nauczyć, to dobrze. Jeżeli nie, to trudno, tak też będzie ciekawie. A jeśli nie okaże się to interesujące, to może autor powinien się cofnąć i zacząć od nowa. W ten sposób przynajmniej nie zdradza rzeczywistości. Między dwudziestym i trzydziestym rokiem życia zawsze z tym walczyłem, zawsze starałem się swoją fantastyczną prozą wymusić jakąś znaczącą zbieżność znaczeń. Skutkiem takich poczynań były właśnie te duszne opowiadanka, którym nie można było nic zarzucić na poziomie zdań, ale które nie miały żadnego wydźwięku, żadnego powodu istnienia, żadnej

spontaniczności. Nic się nie działo. Pokazałem kiedyś jedno takie opowiadanie George'owi, a on mi przysłał liścik, który zaczynał się tak: „Masz ewidentnie talent, drogi Ez, ale potrzeba ci tematu. To, co mi dałeś, wygląda jak opowiadanie dla dzieci o słoniu Babarze, napisane przez E.M. Forstera”.

DZIENNIKARKA: Następna płyta.

EZRA BLAZER: No więc w jednym z klubów, do których chodziliśmy, usłyszeliśmy kiedyś Cheta Bakera, chyba z Bobbym Jasparem i Maurice'em Vanderem, cudownym pianistą, jego też wtedy było wszędzie pełno. Pamiętam, że pewnego wieczoru słuchałem, jak grają *How About You?*, i nagle poczułem się strasznie przejęty tym, gdzie jestem i co mnie jeszcze w życiu spotka. Wszystkim! Gdy człowiek jest młody, nie może się doczekać, kiedy się zacznie główna atrakcja wieczoru. W tamtych czasach nie umiałem czekać na nic. Zero myślenia, tylko szarża – zawsze do przodu! Pani też ma takie wspomnienia?

* * * * *
 * * * *
* * * * *

DZIENNIKARKA: Był to utwór *How About You?* w wykonaniu Cheta Bakera, Bobby'ego Jaspara, Maurice'a Vandera, Benoîta Quersina i Jeana-Louisa Viale'a. Czy może nam pan powiedzieć, panie Blazer, dlaczego opuścił pan Paryż?

EZRA BLAZER: Dlaczego opuściłem Paryż... Rozsądna część mojej osobowości zawsze zadawała sobie to pytanie. A druga, ta zuchwała, zawsze pytała tę pierwszą: dlaczego tam po prostu nie zostałeś, i już? Choćby tylko ze względu na kobiety, bo życie erotyczne w Paryżu zupełnie nie przypominało tego, co poznałem jako chłopak w Allegheny. Ale później, gdzieś po półtora roku, naprawdę musiałem wrócić wreszcie do domu. Moje pisarstwo, jeśli można je tak nazwać... No cóż, nie miałem pojęcia o literaturze. Jak nadmieniałem wcześniej, wszystko to było sentymentalne gówno o niczym. No więc wróciłem do domu. Do Pittsburgha. Mieszkali

tam moi rodzice i moja siostra, już zamężna i dzieciata, ale małżeństwo nie było dla mnie, zwłaszcza po Paryżu. Zawsze kochałem Pittsburgh, szczególnie kiedy wyglądał jak najgorzej. Oczywiście pisałem na ten temat: o Pittsburghu, zanim go posprzątali. Dzisiaj to niepokalone miasto, centrum finansów i technologii, ale wtedy można było w nim umrzeć, po prostu wciągając do płuc powietrze na ulicy. Było czarne i parowało smogiem jak „piekło, z którego zdjęto pokrywkę”, tak kiedyś ludzie mówili, słyszało się klekot pociągów i wielkie fabryki, było to miasto dramatów, i może gdybym tam został i uśmiechnęłoby się do mnie szczęście, mógłbym zostać Balzakiem Pittsburgha. Musiałem jednak uciec przed rodziną. Musiałem wyjechać do Nowego Jorku.

DZIENNIKARKA: Gdzie odkrył pan balet.

EZRA BLAZER: Balet i baleriny. W końcu były to wielkie dni Balanchine’a. Spektakularne rzeczy. Wszystko nowe. Odkryłem Strawińskiego, Bartóka, Szostakowicza. To dla mnie zmieniło świat.

DZIENNIKARKA: Pana pierwsza żona była tancerką.

EZRA BLAZER: Obie moje pierwsze żony były tancerkami. Nie przepadały za sobą, jak można się domyślać. Ale to inna sprawa, inna lekcja. Ożeniłem się z Eriką...

DZIENNIKARKA: Z Eriką Seidl.

EZRA BLAZER: Tak, z Eriką Seidl. Została później sławna, ale kiedy się pobieraliśmy, wciąż była tylko szeregową tancerką w zespole, która całkowicie mnie zauroczyła. Wszystko wydawało mi się nowe. Wszystko! I po prostu spadło mi na głowę. A nowość, dreszcz odkrycia ujawniły mi się w tej cudownie pięknej młodej kobiecie. Urodziła się w Wiedniu. Uczyła się w państwowej operowej szkole baletowej. Jej rodzice mieszkali w Austrii, dopóki nie skończyła czternastu lat. Wtedy się rozwiedli i matka, Amerykanka, zabrała ją do Nowego Jorku, gdzie moja była żona po prostu jakby rozpułyła się w zespole Balanchine’a. Mniej więcej rok po ślubie zagrała solową partię w *Siedmiu grzechach głównych* i było właściwie po wszystkim, tyle ją widziałem. Jak gdybym ożenił się z bokserem; ciągle trenowała, a kiedy szedłem za kulisy zobaczyć się z nią po przedstawieniu, śmierdziała też jak bokser. Wszystkie dziewczyny

śmierdziały, czułem się jak na siłowni Stillman's przy Ósmej Alei. Erika miała taką małpią twarzyczkę – nie na scenie; na scenie była jakby jedną wielką głową, która wszystko widzi i słyszy, ale za kulisami sprawiała takie wrażenie, jakby stoczyła piętnastorundową walkę z Muhammadem Alim. Tak czy owak, prawie jej nie widywałem. Znalazłem kogoś, kogo niewielu mężczyzn potrafiło znaleźć w tamtych czasach, a mianowicie kobietę całkowicie pochłoniętą tym, co robiła, i bez reszty oddaną swojemu zajęciu. Więc się rozstaliśmy, a ja zacząłem dryfować ku innej tancerce. To było niemądre. Ku Danie.

DZIENNIKARKA: Danie Pollock.

EZRA BLAZER: Nie była tak dobrą tancerką jak Erika, w żadnym wypadku, choć niezłą. Nie wiem, dlaczego znów popełniłem ten sam błąd. Popełniłem ten sam błąd i skutek był ten sam. Więc później poślubiłem barmankę. Ale jej też wieczorami nie było w domu.

DZIENNIKARKA: Nie miał pan dzieci?

EZRA BLAZER: *Post factum* za swoje dzieci uważam moje byłe kobiety.

DZIENNIKARKA: Nie żałuje pan, że nie miał dzieci?

EZRA BLAZER: Nie. Kocham dzieci moich przyjaciół. Myślę o nich, utrzymuję z nimi kontakt telefoniczny i chodzę na ich przyjęcia urodzinowe, ale zajmowały mnie inne sprawy. A monogamia, jakkolwiek sprzyja dobremu rodzicielstwu... Cóż, nigdy za nią zbyt nie przepadałem. Ale balet i muzyka baletowa to była kolejna lekcja. A potem przyszła cała reszta. Mozart, Bach, Beethoven, Schubert, te kawałki Schuberta na fortepian, które uwielbiam, kwartety Beethovena, wielkie sonaty Bacha, partity, wariacje Goldberga, Casals grający swoje warkliwe kawałki na wiolonczelę. Wszyscy je uwielbiają; dzisiaj są już trochę jak ta *mam'selle*.

DZIENNIKARKA: No to posłuchajmy, co ma pan do powiedzenia o szóstej płycie.

EZRA BLAZER: Znajomy podarował mi ostatnio dzienniki Niżyńskiego, pierwsze wydanie, skompilowane przez wdowę po autorze, Romolę, która, jak słyszałem, nie podała do druku pewnych fragmentów, bo

nie była w stanie ich zaakceptować. Pewnie tych, w których jej mąż pisał o Diagilewie. Była zazdrosna o Diagilewa i wpływ, jaki miał na Niżyńskiego. Twierdziła nawet, że Niżyński przez niego zachorował. W każdym razie teraz ukazało się nowe wydanie tej książki, w której przywrócono urywki pominięte przez wdowę, ale ja czytałem jej edycję, i bez względu na to, co tam w niej zrobiła, czyta się to wspaniale. Cała ta sprawa odesłała mnie do *Popołudnia Fauna*, mojej kolejnej pierwszej miłości (*śmiech*). Tylko że teraz słyszę w nim bunt – przewrotność, zniewolenie przez wyimaginowane siły. Niestety, nie dysponujemy żadnym materiałem filmowym przedstawiającym Niżyńskiego w roli Fauna, musimy zatem zadowolić się tym, co mamy, czyli Debussym.

* * * * *

 * * * *

* * * * *

DZIENNIKARKA: Było to *Prélude à l'après-midi d'un faune* w wykonaniu Emmanuela Pahuda i Berlińskiej Orkiestry Filharmonicznej pod dykcją Claudia Abbado. Panie Blazer, napisał pan kiedyś, że depresja to „nieunikniona katastrofa po niepohamowanej radości”. Jak często w pańskim życiu okazywało się to prawdą?

EZRA BLAZER: No, to jest zawsze prawda, kiedy człowieka dopada depresja, która mnie na szczęście zdarzyła się zaledwie dwa albo trzy razy. Pierwszy raz, gdy porzuciła mnie kobieta, którą ogromnie kochałem. Drugi raz, gdy porzuciła mnie kobieta, którą ogromnie kochałem. Trzeci raz, gdy umarł mój brat i zostałem jedynym Blazerem na świecie. No dobrze, może cztery razy. W każdym razie jest to prawda w obliczu każdego rodzaju załamania – emocjonalnego albo gospodarczego: katastrofa przychodzi wtedy, kiedy się wzbijamy zbyt wysoko. Wznosimy się za wysoko na iluzorycznych skrzydłach władzy, bezpieczeństwa i kontroli, a potem, gdy wszystko wali się nam na głowę, depresja okazuje się tym głębsza, im wyżej lataliśmy. Pogarsza ją więc zawrotna wysokość, ale także upokorzenie, jakie odczuwasz dlatego, że nie

przewidziałeś nadchodzącego upadku. Jak powiedziałem: zdarza się depresja osobista, gospodarcza, a czasami nawet poniekąd polityczna. Uśpieni przez lata relatywnego spokoju i dostatku, zaczynamy prowadzić ustabilizowane życie, zarządzane w mikroskali za pomocą wyrafinowanej technologii, negocjowanych stóp procentowych i jedenastu różnych rodzajów mleka, a to prowadzi do swoistej wsobności, do niekontrolowanego zawężenia horyzontów, do mglistej nadziei, że nawet jeśli nie zasługujemy na podstawowe przyjemności życia i nie dbamy o nie autentycznie, to i tak będą nam już zawsze dostępne, tak jak teraz. Ufamy, że sklepu z wolnościami obywatelskimi pilnuje ktoś inny, więc my już nie musimy tego robić. Nasza potęga militarna nie ma sobie równych, a poza tym od oblędu dzieli nas przynajmniej jeden ocean. A potem, składając zamówienie online na papierowe ręczniki, podnosimy wzrok i okazuje się, że właśnie wpadliśmy prościutko w ten oblęd. I myślimy: jak do tego doszło? Co ja robiłem, kiedy się na to zanosilo? Czy jest już za późno, żeby zastanawiać się nad tym problemem? A zresztą czy takie rozmyślnie i spóźnione poszerzenie mojej wyobraźni przyniesie jakiś pożytek? Pewna moja młoda przyjaciółka napisała dość na swój sposób zaskakującą powiastkę na ten temat. O tym, na ile potrafimy wejść w lustro i wyobrazić sobie ludzką egzystencję, czy może po prostu świadomość, która do pewnego stopnia pozwala człowiekowi zmniejszyć liczbę martwych pól w swoim życiu. Ta powieść na pierwszy rzut oka nie mówi nic o autorce, ale po prawdzie jest czymś w rodzaju zawoalowanego portretu kobiety, która próbuje wykroczyć poza swoje pochodzenie, przywileje i naiwność. (*Cichy śmiech*). Nawiasem mówiąc, ta moja przyjaciółka była jedną z... Ale nie. Tego nie powiem. Nie powiem, jak się nazywa. Mniejsza z tym. To tyle. Jak brzmi to powiedzenie? Wojna to sposób, w jaki Pan Bóg uczy Amerykanów geografii.

DZIENNIKARKA: Pan w to nie wierzy.

EZRA BLAZER: Wydaje mi się, że znacząca liczba Amerykanów nie potrafiłaby tak od razu wskazać na mapie Mosulu. Ale wydaje mi się też, że Bóg jest zbyt zajęty planowaniem kolejnych homerunów dla

Davida Ortiza, by miał się zbytnio przejmować uczeniem nas geografii.

DZIENNIKARKA: I znowu czas na muzykę.

EZRA BLAZER: Ile płyt nam zostało?

DZIENNIKARKA: Dwie.

EZRA BLAZER: Dwie. A doszliśmy dopiero do moich zainteresowań sprzed czterdziestki. Dalej już nie sięgniemy. Moją następną płytą są *Cztery ostatnie pieśni* Straussa. Nie słuchałem ich w Niemczech. Nie byłem też w stanie słuchać wtedy Wagnera. Dopiero później odzyskałem zmysły. Uwielbiam *Cztery ostatnie pieśni* w wykonaniu Kiri Te Kanawy. Kto ich nie lubi?

* * * * *

 * * * *

* * * * *

DZIENNIKARKA: *Im Abendrot* zaśpiewała dla nas dama imperium brytyjskiego Kiri Te Kanawa z akompaniamentem Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej pod dyрекcją Andrew Davisa. Panie Blazer, powiedział pan wcześniej, że nie żałuje, że nie ma dzieci, ale krążyły plotki, że jednak spłodził pan jedno dziecko w Europie. Czy w tych pogłoskach tkwi chociaż ziarno prawdy?

EZRA BLAZER: Spłodziłem dwoje dzieci.

DZIENNIKARKA: Naprawdę?

EZRA BLAZER: Bliźnięta. Skoro pani pyta. Dość zresztą impertynencko, muszę przyznać. Opowiadałem pani o swojej przyjaciółce? Tej z czarnym skuterkiem, dzięki której poznałem Faurégo? No więc zaszła w ciążę, kiedy miałem już wyjeżdżać z Paryża, ale ja wtedy nie wiedziałem, że jest brzemienna, i wróciłem do Stanów. Musiałem. Nie miałem z czego żyć.

DZIENNIKARKA: Nie utrzymywaliście ze sobą kontaktu?

EZRA BLAZER: Korespondowaliśmy przez jakiś czas, ale ona potem zniknęła. To było w 1956. W 1977 roku pojechałem na tydzień do Paryża, żeby promować francuskie wydania moich książek.

Mieszkałem w Montalembert, niedaleko mojego wydawnictwa, siedziałem akurat w barze i rozmawiałem z wydawcą, kiedy podeszła do mnie jakaś młoda kobieta, bardzo ładna, i powiedziała po francusku: „Przepraszam, ale pan jest chyba moim ojcem”. Pomyślałem sobie, dobrze, skoro ma ochotę pogrywać ze mną w ten sposób... I odpowiedziałem: „Proszę siadać, *mademoiselle*”. Powiedziała mi, jak się nazywa, i oczywiście rozpoznałem nazwisko. Moja francuska kochanka, Geneviève, kiedy ją poznałem, była dokładnie w tym wieku co ta dziewczyna. No więc spytałem: „Jest pani córką Geneviève?”. A ona na to: *Oui. Je suis la fille de Geneviève et je suis votre fille*. No to pytam ją: „Czy to możliwe? Ile ma pani lat?”. Odpowiedziała. Więc mówię: „Ale skąd pani ma pewność, że to ja jestem pani ojcem?”. A ona na to: „Mama mi powiedziała”. Wtedy zapytałem: „Czekała tu pani na mnie?”. *Oui*. „Wiedziała pani, że jestem w Paryżu?” *Oui*. I dodała: „Jedzie tu też mój brat”. „Tak? A ile on ma lat?” „Tyle samo co ja. Tak jest, ma pan córkę i syna”. W tym momencie mój wydawca wstał i powiedział: „O przekładach możemy porozmawiać kiedy indziej”.

DZIENNIKARKA: Opowiada pan tę historię tak spokojnie, ale to na pewno był dla pana szok.

EZRA BLAZER: Kolosalny szok i kolosalna rozkosz. Bo nie musiałem się nimi opiekować, rozumie pani. Poznałem swoje dzieci już jako dorosłych ludzi, następnego wieczoru zjedliśmy wspólnie kolację w towarzystwie ich matki i cudownie się bawiliśmy. A teraz oni sami mają dzieci, czyli moje wnuki, i jestem nimi kompletnie urzeczony. Lubię swoje dzieci, ale moimi francuskimi wnuczętami jestem urzeczony.

DZIENNIKARKA: Widuje pan tę swoją sekretną rodzinę?

EZRA BLAZER: Jeżdżę do Paryża raz w roku. Spotykam się z nimi we Francji, ale w Stanach rzadko, żeby unikać plotek. Może teraz zacznę się z nimi widywać także w Ameryce. Pomagam im finansowo. Kocham ich. Nie wiedziałem, że krążyły plotki. Gdzie pani o tym usłyszała? Skąd pani wie?

DZIENNIKARKA: Powiedział mi mały ptaszek.

EZRA BLAZER: Mały ptaszek. To urocze określenie, wie pani, zwłaszcza jeśli się je wymawia z angielskim akcentem.

DZIENNIKARKA: Szkockim.

EZRA BLAZER: Więc i pani jest Szkotką. Wszyscy są Szkotami. Za chwilę mi pani powie, że Obama jest Szkotem.

DZIENNIKARKA: W każdym razie, panie Blazer, pomyślałam sobie, że może skorzysta pan z dzisiejszej okazji i przyzna się do wszystkiego. Własnymi słowami.

EZRA BLAZER: No, z pewnością nie spodziewałem się, że ten wywiad okaże się taki ważny. Jako ojciec zostałem odsunięty na boczny tor. To tyle. To, co mi się przydarzyło, jest wspaniałe. Cudowne. Jak mówiłem wcześniej, całe życie składa się z przypadków. Nawet to, co nie wygląda na przypadek, jest przypadkiem. Zaczynając oczywiście od poczęcia. Poczęcie wyznacza nam drogę.

DZIENNIKARKA: Czy to zdarzenie wpłynęło w jakiś sposób na pana pracę?

EZRA BLAZER: Wpłynęłoby, gdybym musiał wychowywać swoje dzieci. Ale nie musiałem. I nie, nigdy o nich nie pisałem, nie wprost. Jestem nawet zadziwiony tym, że teraz o nich mówię. Nie wiem, dlaczego pani nie okłamałem. Zaskoczyła mnie pani. Jest pani po prostu czarującą młodą kobietą. A ja zgrzybiałym starcem. Nie ma już dzisiaj znaczenia, jakie fakty z mojej biografii zostaną dodane do mojego życia albo od niego odjęte.

DZIENNIKARKA: Nie jest pan zgrzybiały.

EZRA BLAZER: Jestem zgrzybiały do cna.

DZIENNIKARKA: Czas na ostatnią płytę. Czego posłuchamy?

EZRA BLAZER: Czegoś z *Iberii* Albéniza, którą napisał w ostatnich latach życia – umarł przed pięćdziesiątką, zdaje się, że na nerki – i proszę pamiętać, kiedy będziemy słuchać tej muzyki, że to dzieło zrodziło się w umyśle i z wrażliwości, które miały zgasnąć bardzo szybko, pozostawiając po sobie jednak tę wspaniałą erupcję, tę dymiącą flarę... Gdybym to ja prowadził naszą audycję, siedzielibyśmy tutaj i słuchali go przez bite półtorej godziny, bo każdy kolejny utwór wspiera się na poprzednim, one są osobne, ale tym treściwsze, jeżeli

słuchać ich razem, a ich narastająca intensywność dosłownie sprawia ból. Jest w nich rozedrganie. Niewinność. Skupienie. Podoba mi się wersja Barenboima, częściowo z uwagi na jego powiązania z Edwardem Saidem, który – przed swoją śmiercią, rzecz jasna – napisał esej o stylu, jaki pod koniec życia często przyjmują artyści; podoba mi się myśl, że świadomość kresu życia, a zatem także pracy artystycznej, wpływa na styl twórczy, przepełniając go poczuciem końca i spokoju albo nieprzejednaniem, oporem, sprzeciwem. Czy można jednak tu mówić o „późnym stylu”, skoro Albéniz zmarł w wieku zaledwie czterdziestu ośmiu lat? Jak udało mu się skomponować takie wspaniałe, pogodne, triumfalne arcydzieło, kiedy musiał się zmagać z nieznośnym bólem, spowodowanym przez kamice nerkową? Powiedziałem już, że chciałbym posłuchać z panią całej płyty, ale skoro daje mi pani znaki, że mam już kończyć, to puśćmy utwór drugi, zatytułowany *El Puerto*. O ile wiem, techniczne określenie tego gatunku brzmi *zapataedo*, co jak podejrzewam, w meksykańskiej hiszpańszczyźnie oznacza muzykę do stepowania.

* * * * *

 * * * *

* * * * *

DZIENNIKARKA: Słuchaliśmy *El Puerto* z *Iberii* Isaaca Albéniza w fortepianowym wykonaniu Daniela Barenboima. A teraz proszę mi powiedzieć, panie Blazer, dlaczego pan odrzuca monogamię?

EZRA BLAZER: Dlaczego odrzucam monogamię. A to dobre. Bo jest wbrew naturze.

DZIENNIKARKA: Tak jak pisanie powieści.

EZRA BLAZER: Zgoda.

DZIENNIKARKA: Z pewnością jednak dzięki monogamii zaznał pan jakichś korzyści albo przyjemności.

EZRA BLAZER: Kiedy bywałem w związkach monogamicznych, owszem. Teraz jednak żyję w celibacie, już od kilku lat. I ku mojemu

zdzumieniu okazało się, że celibat jest wielką przyjemnością. Czy to nie Sokrates albo któryś z jego akolitów powiedział, że żyć w celibacie na starość to tak, jak zostać wreszcie odwiązanym z grzbietu dzikiego konia?

DZIENNIKARKA: Celibat jest na pewno wbrew naturze.

EZRA BLAZER: Nie jeśli chodzi o starców. Natura upodobała sobie wstrzemięźliwość wśród leciwych organizmów. Zresztą spłodziłem bliźnięta, żeby podtrzymać gatunek. A one z kolei spłodziły własne dzieci. Spełniłem swój obowiązek.

DZIENNIKARKA: Mimo woli.

EZRA BLAZER: I może tak jest najlepiej. Bycie narzędziem ewolucji sprawiało mi frajdę. Ewolucja zwykle mówi „Chcę cię”, kiedy jesteś młody; młody i energiczny.

DZIENNIKARKA: Jak Wuj Sam.

EZRA BLAZER: Tak, jak Wuj Sam. Nieźle jak na Szkotkę. Ewolucja wkłada cylinder, szarpie się za bródkę, wskazuje człowieka palcem i mówi: „Chcę. Cię”. Ludzie szaleją za seksem, oddając ewolucji mimowolną przysługę.

DZIENNIKARKA: Co czyni pana wielokrotnie odznaczanym żołnierzem w tej dziedzinie.

EZRA BLAZER: Wąchałem proch. Dostałem Szkarłatne Serce. Wiem, co to jest desant z morza. Należałem do pokolenia, które już w latach pięćdziesiątych, na długo przed początkiem rewolucji seksualnej, lądowało na plażach i zdobywało teren pod ogniem nieprzyjaciela. Biliśmy się dzielnie i posuwaliśmy naprzód pomimo znacznego oporu, a potem dzieci kwiaty potykały się o nasze skrwawione zwłoki, przeżywając po drodze te swoje słynne wielokrotne orgazmy. Ale pytała pani o zgrzybiałość. Jak to jest być takim starcem jak ja. Krótka odpowiedź brzmi, że trzeba robić swoje, pamiętając o tym, by patrzeć na świat w taki sposób, jak gdyby patrzyło się na niego po raz ostatni. I ze mną zapewne tak jest.

DZIENNIKARKA: Boi się pan końca?

EZRA BLAZER: Wiem, że on nastąpi. Zostały mi może trzy, cztery lata, może siedem, a najwyżej dziewięć albo dziesięć. Potem przekracza

się już granice zgrzybiałości. (*Śmiech*). Chyba że jest się Casalsem. Casals, który swoją drogą grał też na fortepianie, powiedział kiedyś jednemu reporterowi, będąc już po dziewięćdziesiątce, że przez osiemdziesiąt pięć lat grywał codziennie jeden utwór Bacha. Dziennikarz zapytał, czy mu się to nie znudziło, a Casals odpowiedział, że nie, przeciwnie, każde wykonanie było nowym doświadczeniem, nowym odkryciem. Więc Casals może nigdy nie zgrzybiał. Może wydał ostatnie tchnienie, grając *bourrée*. Ale ja nie jestem Casalsem. Nie wylosowałem słomki z napisem „dieta śródziemnomorska”. Co myślę o końcu? Nie myślę o nim. Myślę całościowo, o całym swoim życiu.

DZIENNIKARKA: Jest pan zadowolony z tego, co pan osiągnął?

EZRA BLAZER: Uważam, że nie mogłem osiągnąć więcej. Nigdy nie wymigiwałem się od obowiązków pisarza. Ciężko pracowałem. Robiłem, co mogłem. Nigdy nie wypuściłem w świat niczego, czego moim zdaniem nie pociągnąłem najdalej, jak potrafiłem. Czy żałuję wydania kilku gorszych książek? Właściwie to nie. Do powieści numer trzy dochodzi się tylko, pisząc powieści numer jeden i dwa. Nikt nie pisze jednej długiej książki; to nazbyt poetyckie spojrzenie na sprawę. Ale droga zawodowa jest jedna. I koniec końców każdy utwór jest niezbędny, by ją kontynuować.

DZIENNIKARKA: Pracuje pan teraz nad czymś?

EZRA BLAZER: Właśnie zacząłem potężną trylogię. Prawdę mówiąc, dzisiaj napisałem jej pierwszą stronę.

DZIENNIKARKA: Tak?

EZRA BLAZER: No. Każdy tom będzie ich liczył trzysta pięćdziesiąt dwie. Nie muszę chyba wyjaśniać znaczenia tej liczby. I najpierw napiszę koniec, więc dostaniemy zakończenie, środek i początek, w tej kolejności. Pierwsze dwa tomy będą zawierały środek, początek i koniec. Ostatni tom to będą pierwociny. Myślę, że realizacja tego planu pokaże całemu światu, że nie mam pojęcia o pisaniu i nigdy nie miałem.

DZIENNIKARKA: Jak pan sądzi, ile zajmie panu praca nad tym projektem?

EZRA BLAZER: Och, miesiąc albo dwa.

DZIENNIKARKA: To niech mi pan jeszcze powie, panie Blazer, gdyby fale miały zalać brzeg, grożąc zmyciem wszystkich płyt z naszej bezludnej wyspy, którą z nich pobiegłby pan uratować?

EZRA BLAZER: Ojej. Tylko jedną? A gdzie leży ta wyspa?

DZIENNIKARKA: Bardzo daleko.

EZRA BLAZER: Bardzo daleko. I nikogo nie ma w pobliżu?

DZIENNIKARKA: Nie.

EZRA BLAZER: Jestem na wyspie sam.

DZIENNIKARKA: Tak jest.

EZRA BLAZER: Co jeszcze mogę na nią zabrać?

DZIENNIKARKA: Biblię. Albo Torę, jeśli pan woli. Albo Koran.

EZRA BLAZER: To ostatnie książki, jakie bym wziął ze sobą. Będę szczęśliwy, jeśli nigdy więcej nie będę ich musiał oglądać.

DZIENNIKARKA: *Dzieła wszystkie* Williama Shakespeare'a.

EZRA BLAZER: Doskonale.

DZIENNIKARKA: I jeszcze jedną książkę, jaką pan chce.

EZRA BLAZER: Wrócimy do tego. Co więcej?

DZIENNIKARKA: Coś zbytkownego.

EZRA BLAZER: Jedzenie.

DZIENNIKARKA: Zajmiemy się tym. O jedzenie proszę się nie martwić.

EZRA BLAZER: No to kobietę.

DZIENNIKARKA: Przykro mi, powinnam była panu o tym powiedzieć wcześniej. Nie może pan zabrać ze sobą drugiej osoby.

EZRA BLAZER: Nawet pani?

DZIENNIKARKA: Nie.

EZRA BLAZER: No to wezmę lalkę. Taką dmuchaną. Sam ją sobie wybiorę. W dowolnym kolorze.

DZIENNIKARKA: Damy panu dmuchaną lalkę, dobrze. A płyta?

EZRA BLAZER: No, wskazałem już te, które naprawdę uwielbiam, więc trudno powiedzieć, czego chciałbym słuchać w kółko. Czasami człowiek jest w nastroju na *Tęczę Finiana*, a czasem na Debussy'ego. Wydaje mi się jednak, że musiałby to być jakiś wielki utwór

z obszaru muzyki poważnej i że zawsze będzie mi się podobała górnolotność – gór-no-lot-ność – *Czterech ostatnich pieśni* Straussa. Mogę zabrać ze sobą wszystkie cztery?

DZIENNIKARKA: Bardzo mi przykro...

EZRA BLAZER: Trudno się z panią targować.

DZIENNIKARKA: Nie ja ustalałam reguły audycji.

EZRA BLAZER: A kto?

DZIENNIKARKA: Roy Plomley.

EZRA BLAZER: Szkot?

DZIENNIKARKA: Obawiam się, że zaczyna nam brakować czasu.

EZRA BLAZER: Dobrze. *Im Abendrot*. Wydaje mi się, że z tym utworem miałbym dość animuszu, żeby przeżyć swój czas na wyspie w towarzystwie mojej nadmuchiwanej kobiety. Moglibyśmy nawet wieść razem przyjemne życie. Bardzo spokojne.

DZIENNIKARKA: A którą ze swoich książek by pan zabrał?

EZRA BLAZER: Ze swoich na pewno żadnej. Wydaje mi się, że wziąłbym *Ulissesa*. Którego czytałem dwukrotnie. Jak dotąd. Jest niewyczerpany i nie przestaje dawać do myślenia. Ilekroć by się go czytało, napotyka się na nowe zagadki. Przyjemności tej książki wymagają nieustannej koncentracji. Ale oczywiście miałbym mnóstwo czasu, więc tak, wziąłbym *Ulissesa* Joyce'a, razem z komentarzami. Powiem pani, po co one są potrzebne. Geniusz Joyce'a, geniusz komiczny, zapewnia czytelnikowi doskonałą rozrywkę, jego erudycja jest porywająca, no ale mamy jeszcze Dublin, pejzaż powieści, który sam jest powieścią, chociaż nie moim miastem. Szkoda, że nie zrobiłem z Pittsburghiem tego, co Joyce z Dublinem. Ale mógłbym zrobić coś takiego, tylko gdybym został w Pittsburghu razem ze swoją siostrą, matką, ojcem, ciotkami, wujami, siostrzeńcami i siostrzenicami. Co prawda Joyce, proszę pamiętać, nie mieszkał przecież w Dublinie przez całe życie, bo kiedy tylko zdołał się stamtąd wydostać, uciekł do Triestu, do Zurychu, a w końcu do Paryża. Wydaje mi się, że nie powrócił już nigdy do Dublina, ale przez całe życie miał obsesję na punkcie tego miasta i mnóstwa różnych dotyczących go szczegółów. Miał obsesję

na punkcie uchwycenia Dublina w prozie w całkowicie oryginalny sposób. Erudycja, dowcip, bogactwo, ogromne nowatorstwo tego przedsięwzięcia... Mój Boże, to wspaniałe! Pogubiłbym się jednak bez przypisów. Nawiasem mówiąc, analogie homeryckie nie za bardzo mnie interesują. Prawdę powiedziawszy, nie interesują mnie w ogóle. Podejrzewam jednak, że na bezludnej wyspie odniesienia do *Odysei* stałyby się ciekawe, bo czym innym mógłbym się interesować w takiej sytuacji? Nie można poświęcić całego swojego czasu nadmuchiwaney kobiecie, chociaż może i jest idealna. Więc tak, zdecyduję się na Joyce'a.

DZIENNIKARKA: Dziękuję, panie Blazer, że pozwolił nam pan posłuchać pańskich...

EZRA BLAZER: Ale w nadmuchiwaney kobiecie najbardziej podoba mi się to, że nie byłoby między nami tarcia, i to nie w sensie fizycznym, tylko emocjonalnym. Wprawdzie bardzo kochałem te moje cudowne tancerki, ale nieustannie między nami iskrzyło. Bo one należały do Balanchine'a, nie do mnie.

DZIENNIKARKA: Czy mówiąc o miłości, zawsze używa pan tak zaborczego języka?

EZRA BLAZER: Nie można go nie używać! Miłość jest ulotna. Oporna. Nieposkromiona. Staramy się, jak możemy, żeby ją ujarzmić, nazwać, zaplanować, może nawet zmieścić pomiędzy godziną szóstą i dwunastą, a jeżeli jesteśmy paryżanami, to pomiędzy piątą i siódmą, ale tak jak wiele różnych rzeczy na tym świecie, które są lube i porywające, miłość w końcu jakby się od nas odrywa i tak, w tym procesie człowiek zostaje czasem pokaleczony. Narzucanie porządku i formy nawet najbardziej buntowniczo chaotycznym i amorficznym przejawom życia leży w ludzkiej naturze. Niektórzy z nas robią to, stanowiąc prawo, malując pasy na drodze, budując tamy na rzekach, wyodrębniając izotopy albo opracowując coraz lepsze biustonosze. Niektórzy wzniecają wojny. Inni piszą książki. To ostatnie robią najbardziej obłąkani. Nie mamy za dużego wyboru, właściwie możemy spędzać czas, tylko starając się uporządkować i zrozumieć to odwieczne pandemonium. Ustalać fałszywe wzorce i proporcje tam, gdzie ich w zasadzie nie ma. To ta

sama chęć, ta sama mania, która nakazuje nam ujarzmiąć i posiadać, to niezbędne szaleństwo, które rozpala i podtrzymuje płomień miłości.

DZIENNIKARKA: Czy nie sądzi pan jednak, że w miłości ważne jest to, by kultywować wolność? Wolność i zaufanie? Bezwzględna akceptacja?

EZRA BLAZER: Następna płyta.

DZIENNIKARKA: Teraz kiedy już wiemy, że ma pan dzieci, panie Blazer... Czy czegoś pan żałuje?

EZRA BLAZER: Że nie poznałem pani wcześniej. Czy pani z tego żyje?

DZIENNIKARKA: Tak.

EZRA BLAZER: Lubi pani swoją pracę?

DZIENNIKARKA: Oczywiście.

EZRA BLAZER: Oczywiście. Wie pani, znam pewną poetkę mieszkającą w Hiszpanii, wspaniałą hiszpańską poetkę, dzisiaj po sześćdziesiątce, ale kiedy miała trzydzieści kilka lat, prawie trzydzieści albo zaledwie przekroczyła trzydziestkę, była bardzo żądna przygód i odwiedzała wszystkie knajpy w Madrycie w poszukiwaniu najstarszego mężczyzny, którego zabierała potem do domu. Postawiła sobie taki cel: przespać się z najstarszym facetem w Madrycie. Robiła pani kiedyś coś podobnego?

DZIENNIKARKA: Nie.

EZRA BLAZER: A chciałaby pani zacząć?

DZIENNIKARKA: ...Niby z panem?

EZRA BLAZER: Niby ze mną. Jest pani mężatką?

DZIENNIKARKA: Tak.

EZRA BLAZER: Mężatka. No tak. Annie Kareninie to by nie przeszkadzało.

DZIENNIKARKA: Nie.

EZRA BLAZER: Ani Emmie Bovary.

DZIENNIKARKA: Nie.

EZRA BLAZER: Czy powinno zatem przeszkadzać pani?

DZIENNIKARKA: Anna i Emma źle skończyły.

EZRA BLAZER: Dzieci?

DZIENNIKARKA: Dwoje.

EZRA BLAZER: Dwoje dzieci i mąż.

DZIENNIKARKA: Zgadza się.

EZRA BLAZER: No (*śmiech*), nie mówmy o mężu. Uważam panią za bardzo atrakcyjną kobietę i bardzo mi się podobała nasza rozmowa. Jutro wieczorem wybieram się na koncert i dysponuję dwoma biletami. Miałem iść ze znajomym, jestem jednak pewien, że on z przyjemnością pójdzie kiedy indziej. W Londynie jest teraz Pollini, cudowny Maurizio Pollini, gra trzy ostatnie sonaty fortepianowe Beethovena. A więc czy mogę zadać pani ostatnie pytanie? W tej audycji? Jutro wieczorem, Maurizio Pollini, Royal Festival Hall, mogę przyprowadzić tylko jedną kobietę, i chciałbym, żeby była nią właśnie pani. A więc... Co pani na to? Jest pani odważna?

Źródła cytatów i zapożyczeń nieuwzględnionych w przypisach

Fragment na s. 35–36 jest adaptacją tekstu ulotki informacyjnej Parkmed Physicians of New York.

Zgodnie z tym, co sugeruje Alice, piosenki, które śpiewa Ezra na s. 59, to *My Heart Stood Still* i *September Song*. *September Song* pochodzi z musicalu *Knickerbocker Holiday*. Copyright © 1938 (renewed) Chappell & Co., Inc., oraz Tro-Hampshire House Publishing Corp. Wszystkie prawa zastrzeżone. Wykorzystano za zgodą Alfred Publishing, LLC. Copyright © 1927 (renewed) WB Music Corp. i Williamson Music Co. Wszystkie prawa zastrzeżone. Wykorzystano za pozwoleniem Alfred Publishing, LLC. Copyright © 1927 Harms, Inc. Copyright renewed. Właścicielem praw na przedłużony czas ochrony w USA są Williamson Music i WB Music Corp. International copyright secured. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Piosenka ze s. 81, *Beyond the Blue Horizon*, pochodzi z filmu *Monte Carlo*, wyprodukowanego przez Paramount Pictures. Słowa i muzyka copyright © 1930 Sony/ATV Music Publishing LLC. Copyright renewed. Wszystkimi prawami do utworu zarządza Sony/ATV Music Publishing LLC, 424 Church Street, Suite 1200, Nashville, TN, 37219. International copyright secured. Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk za pozwoleniem Hal Leonard LLC.

Fragment poświęcony krawcowi Jordy'emu na s. 108 pochodzi z pisma „Lickety Split” z 1978 roku.

Fragmenty ścieżki dźwiękowej cytowane na s. 155 pochodzą z filmu edukacyjno-instruktażowego pod tytułem *Your Turn* (scenariusz, reżyseria i produkcja: Ted Steeg).

Piosenkę *They All Laughed*, której słucha Amar na s. 240–241, wykonuje Chet Baker z niewielkimi zmianami w stosunku do (angielskiego) oryginału. © 1936 (Renewed) NOKAWI MUSIC, FRANKIE G. SONGS,

IRA GERSHWIN MUSIC. © 1936 (Renewed) IRA GERSHWIN MUSIC and GEORGE GERSHWIN MUSIC. Wszystkimi prawami do NOKAWI MUSIC zarządza IMAGEM SOUNDS. Wszystkimi prawami do FRANKIE G. SONGS zarządza SONGS MUSIC PUBLISHING. Wszystkimi prawami w imieniu IRA GERSHWIN MUSIC zarządza WB MUSIC CORP. Wszystkie prawa zastrzeżone. Słowa wykorzystano za pozwoleniem ALFRED PUBLISHING, LLC. Przedruk za pozwoleniem Hal Leonard LLC.

Fragment poświęcony jednej z audycji z cyklu *Desert Island Discs* na stronach 258–261 został oparty na wywiadzie Sue Lawley z Josephem Rotblatem, wyemitowanym 8 listopada 1998 roku.

Cytat na s. 356 (w przekładzie tłumacza) jest dokonaną przez Ezrę parafrazą wiersza e.e. cummingsa #24 z tomiku *No Thanks*, wydanego pierwotnie własnym sumptem autora w roku 1935.

Przypisy

[1] Mark Twain, *Przygody Hucka*, przełożyła Krystyna Tarnowska, Warszawa 1985. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Tamże.

[3] Jean Genet, *Dziennik złodzieja*, przełożył Piotr Kamiński, Gdańsk 1992.

[4] Albert Camus, *Pierwszy człowiek*, przełożyła Magdalena Kamińska-Maurugeon, Warszawa 2016.

[5] Henry Miller, *Zwrotnik Raka*, przełożył Lesław Ludwig, Kraków 1990.

[6] Tamże.

[7] Fragment listu (tłum. M. Świerkocki) Jamesa Joyce'a do życiowej partnerki i późniejszej żony, Nory Barnacle, z 8 grudnia 1909 roku; polskie wydanie *Listów Joyce'a* (przekład i wybór Michała Ronikiera, Kraków 1986) nie uwzględniło tej korespondencji, najprawdopodobniej ze względów cenzuralnych.

[8] „Spojrzałem raz na ciebie, Tylko tego pragnąłem / I wtedy mi serce zamarło...” (*My Heart Stood Still*, muzyka Richard Rodgers, słowa Lorenz Hart).

[9] „Bo maj i grudzień dzieli dużo czasu / Ale dni robią się krótsze, gdy przychodzi wrzesień...” (*September Song*, muzyka Kurt Weill, słowa Maxwell Anderson).

[10] Camus, *Pierwszy człowiek*.

[11] *Bargeman* (ang.) – flisak, marynarz pracujący na barce, chłopak okrętowy.

[12] Charles Dickens, *David Copperfield*, przełożyła Wilhelmina Kościałkowska, Warszawa 1954. Tłumaczka słowo „bargeman” oddała jako „tragarz”.

[13] „Za błękitnym horyzontem / Piękny dzień czeka mnie / Żegnajcie wszystkie nudy / Radość czeka na mnie!” (*Beyond the Blue Horizon*, słowa Leo Robin, muzyka Richard A. Whiting i W. Franke Harling). Ezra śpiewa razem z Lou Christie, bo to jego wykonania tej piosenki słucha.

[14] Gitta Sereny, *W stronę ciemności. Rozmowy z komendantem Treblinki*, przełożył Jan K. Milencki, Warszawa 2002.

[15] Hannah Arendt, *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*, przełożył Adam Szostkiewicz, Kraków 1988.

[16] Gitta Sereny, *W stronę ciemności. Rozmowy z komendantem Treblinki*, przełożył Jan K. Milencki, Warszawa 2002.

[17] Primo Levi, *Czy to jest człowiek*, przełożyła Halszka Wiśniowska, Kraków 2008.

[18] Zaimprovizowana piosenka (*Nonsense Song*) o nic nieznaczących słowach autorstwa Charliego Chaplina, którą w *Dzisiejszych czasach* kreowany przez niego bohater śpiewa na melodię kabaretowego przeboju Leo Daniderffa z 1917 roku, znanego jako *Titina* (*Je cherche après Titine*).

[19] Czyli członkiem założonej w 1872 roku organizacji dobroczynnej Order of Nobles of the Mystic Shrine, wywodzącej się z wolnomularstwa.

[20] Niedokładny cytat z *Trzech sióstr* Antoniego Czechowa (zniekształcony nieco przez narratora i powieściowe aktorki) podaję na podstawie przekładu Natalii Gałczyńskiej.

[21] „Wszyscy się śmiali z Krzysztofa Kolumba, gdy twierdził, że Ziemia jest okrągła. / Wszyscy się śmiali, kiedy Edison nagrał dźwięk. / Wszyscy się śmiali z Wilbura i jego brata, kiedy mówili, że człowiek może latać. / Mówili Marconiemu, że telegraf bez drutu to lipa; zawsze

mówią to samo! / Śmiali się ze mnie, że cię pragnę, mówili, że porywam się z motyką na słońce. / Ale och, udało się i teraz będą musieli zmienić płytę! / Wszyscy mówili, że nigdy nie będziemy szczęśliwi; śmiali się z nas, i to jak. / Ale ho-ho-ho, kto śmieje się ostatni?" (*They All Laughed*, muzyka i słowa George Gershwin i Ira Gershwin).

[22] Przekład Marii Leśniewskiej.

[23] Przytoczenie na podstawie przekładu Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

[24] Mała kafejka, mam'selle. Randka, mam'selle.

[25] Co słyszeć w Glocca Morra?

[26] Zostawiłem kapelusz na Haiti! W jakimś zapomniam...